TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

LISTOPAD 1945

ROK 1

ZESZYT 4

TWÓRCZOŚĆ

LISTOPAD

1945

TREŚĆ ZESZYTU:

ADAM MICKIEWICZ: NIEZNANE PISMA FILOMACKIE
FILOMACKIE RECENZJE UTWORÓW MICKIEWICZA
JULIAN PRZYBOŚ: SŁOWO OSTATECZNE
KRYSTYNA GRZYBOWSKA: NIEBIESKIE KORALKI
KSAWERY PRUSZYŃSKI: PODRZUCONA KSIĄŻKA
JULIUSZ KLEINER: „KONRAD WALLENROD"
WACŁAW KUBACKI: MONOLOG KONRADA
LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW: TRADYCJE GDAŃSKIE
W RODZINNYCH STRONACH MICKIEWICZA
OSTATNIE LATA MICKIEWICZA
SPRAWY I TROSKI: „LUD WE ŚNIE LEŻY"
SPRAWOZDANIA

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK I

ZESZYT 4

LISTOPAD 1945

10.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 03959

26. XI. 1855 26. XI. 1945

OD ŚMIERCI
ADAMA MICKIEWICZA
MIJA LAT DZIEWIĘĆDZIESIĄT

ON SŁOWOM, NAZBYT WĄSKIM, BY ZNACZYŁY WIĘCEJ
NIŻ GŁOS POMIEŚCIĆ ZDOŁA, DAWAŁ OBWÓD ZIEMI,
ON WIEKI Z GÓR ZDEJMOWAŁ I BRAŁ W LUDZKIE RĘCE
PRZEPAŚCIE NOCNE LEKKO, JAK MY CHLEB BIERZEMY.

MIECZYSŁAW JASTRUN

NIEZNANE PISMA FILOMACKIE

podał do druku
Tadeusz Łopalewski

Z bogatej działalności estetyczno-krytycznej Mickiewicza w Towarzystwie Filomatów w rękopisach Archiwum Filomatów przechowała się tylko część: „Uwagi nad 'Dumaniem u rozwalin zamku Giedymina'" (O. Pietraszkiewicza), „Uwagi nad wierszem 'Do Anieli'" (J. Czeczota), „Uwagi nad 'Dumą'" ('Nad mogiłami Francuzów' — J. Czeczota) oraz „Recenzja operetki w I akcie p. t. 'Małgorzata z Zębocina'" (J. Czeczota). Jeżeli piątą i najobszerniejszą pracę Mickiewicza z tych lat „Uwagi nad 'Jagiellonidą' D. B. Tomaszewskiego" znamy w całości, to tylko dzięki temu, że była drukowana w „Pamiętniku Warszawskim" (1819, styczeń), albowiem Archiwum Filomatów przechowało z niej tylko urywek. Tymczasem, jak wynika ze sprawozdania sekretarza T. Zana za pierwsze trzy miesiące działalności Towarzystwa *(Materiały do historii Towarzystwa Filomatów*, t. I, str. 31—41) oraz z późniejszych sprawozdań sekretarzy wydziałowych (ibid. 231—233), Mickiewicz do chwili opuszczenia Wilna odczytał jeszcze kilkanaście niezachowanych krytyk i prac oryginalnych.

Szczęśliwy przypadek odsłania obecnie sześć dalszych rozpraw poety z tego okresu. Wszystkie (por. przypisy) wymienione są w protokołach jako będące pióra Mickiewicza, z wyjątkiem „Uwag krytycznych nad poematem komicznym 'Zgon Tabakiery'". Autorstwo tych uwag należy również przypisać Mickiewiczowi (por. przypisy). Z podanych rozpraw szczególną wartość dla poznania poglądów estetycznych i filozoficznych młodego Mickiewicza posiadają rozbiory rozprawy F. Malewskiego o początku czynności moralnych oraz T. Zana o dramatyce Greków i Rzymian, pełne własnych dygresyj i zapatrywań Mickiewicza na dane tematy. Wśród odnalezionych rozpraw brakuje najciekawszej, jak temat wskazuje, mianowicie „Przechadzek wiejskich", z których „Przechadzkę I-szą: O piękności" czytał Mickiewicz 1 i 17. XI. 1818 *(Archiwum*, t. I, str. 231). W odnalezionych recenzjach innych prac Mickiewicza, pisanych przez jego filomackich przyjaciół, znajdujemy streszczenie tej rozprawy przez Jeżowskiego. Dlatego wszystkie te przyjacielskie rozprawki drukujemy w dodatku.

Pochodzenie rękopisów jest następujące: w roku 1936 Archiwum Miejskie w Wilnie nabyło od jednego z miejscowych antykwariuszy plik około stu drobnych rękopisów, zawierających rozprawki naukowe i literackie, opatrzone nazwiskami Onufrego Pietraszkiewicza, Jana Czeczota, Tomasza Zana i Franciszka Malewskiego. Szczegółową inwentaryzację tego nabytku rozpoczął w lipcu 1940 roku Euzebiusz Łopaciński, lecz wkrótce przekazał ją podpisanemu, który wobec tego, że większość rękopisów nie była podpisana, zajął się ustaleniem nazwisk autorów na podstawie protokółów posiedzeń i sprawozdań Towarzystwa Filomatów. Wówczas okazało się, że pośród skryptów znajdują się prace krytyczne Mickiewicza, uważane dotąd za zaginione, a znane jedynie z tytułów. Nie są to autografy Mickiewicza, lecz odpisy poczynione rękoma kolegów. Rozpraw tych odnalazło się pięć: „Uwagi nad tłumaczeniem romansu pod tytułem: „Dziennik Karola Engielmana", „Rozbiór przekładu z Kwintą Kalabra ‚Śmierć Achillesa'", „Uwagi nad pisemkiem ‚O początkach moralnych czynności'", „Uwagi nad pismem pod tytułem: ‚Początek i postęp poezji dramatycznej u Greków i Rzymian'" oraz „Recenzja pisma pod tytułem: ‚Jakim sposobem wybierać należy naukę dla ciągłego jej się poświęcania i jaką ostrożność zachować, aby wybrana nauka skutecznie nabywana być mogła'".

Następnie udało się ustalić autorstwo rozprawy „Uwagi krytyczne nad poematem komicznym ‚Zgon tabakiery' ", w protokółach przypisanej mylnie Poluszyńskiemu.

Omawiany zbiór rękopisów pozostał w Wilnie i dosyć szybko po odkryciu i zrobieniu odpisów został zabrany z Muzeum Miejskiego do Litewskiej Akademii Literatury. Jakie były jego losy za okupacji niemieckiej i obecnie — nie wiadomo. Wobec rychłego uniedostępnienia rękopisów skolacjonowanie poczynionych odpisów z oryginałami było niemożliwe. Wobec tego teksty, podane w pisowni zmodernizowanej przy czynieniu odpisów, nie mogą sobie rościć pretensji do absolutnej ścisłości filologicznej. Do wydania krytycznego będą musiały być jeszcze sprawdzone, o ile całe znalezisko przetrzymało wojnę, a ogłoszone niżej teksty nie są jego jedynym śladem.

UWAGI NAD TŁUMACZENIEM ROMANSU POD TYTUŁEM: „DZIENNIK KAROLA ENGIELMANA"

Mając sobie zlecone do roztrząśnienia zacnego członka pismo, nim szczególne nad nim tak we względzie rzeczy, jako też i stylu poczynię uwagi, winienem wprzódy oddać autorowi sprawiedliwą pochwałę, że wybrał sobie rodzaj pracy, najskuteczniej smak i pióro młodych pisarzów kształcić mogącej. Zrobienie bowiem treści dobrego dzieła, ocenienie jego zalet, ukazanie błędów równej wymaga sztuki, jak zdjęcie rysu z doskonałych obrazów. Tutaj pisarz, szczupłe dzieła swojego zakreśliwszy granice, przyzwyczaja się do wybierania rzeczy główniejszych, do ich porządnego ułożenia, do zwięzłości na koniec, zawsze i osobliwie w początkowych ćwiczeniach pożytecznej. Co większa: żeby swoje [snuć] wypadki, chociaż z gotowej roboty wzięte, potrzeba zawsze mocnej uwagi i dokładnego rzeczy objęcia; w tym ostatnim względzie autor najbardziej biegłym się ukazał; intryga u niego jest rozwikłana naturalnie, opisy jedne po drugich w związku i przyzwoitej rozciągłości postępują; jeśli zaś gdzie przydłuższym się staje, to zapewne w chęci okazania jawniejszego wdzięku pisma, z którego treść wyciągnąć przedsięwziąłem.

Zresztą nie znając oryginału, nie mogąc przeto ściślej rozebrać samego układu, ograniczę się na tym, com powiedział, a przystąpię do najważniejszej [rzeczy], to jest stylu.

Roboty, w których imaginacja więcej ma do działania, jak na przykład [w] poezji, z niewielką pracą dokonane, zawsze podobającymi się będą; w mowie prozaicznej rzecz idzie cale inaczej: bez usilności i poprzedniczej pracy, można powiedzieć, że nie podobna jest dobrym zostać pisarzem. Rousseau, wzór wymowy i stylu w literaturze francuskiej, sam wyznaje, że młodym będąc całe noce trawił na ułożeniu jednego periodu. Buffon toż o sobie powtarza, zapewniając, że styl czyni pisarza. Stąd każdy się łatwo przekona, że w robocie młodych autorów, w robocie śpiesznej, stylu doskonałego znaleźć nie podobna; mówię tu o naszym autorze, który, jakkolwiek co do rzeczy i układu zasługuje na pochwałę, w stylu jednak często popełnia uchybienia, najprzód zaniedbując budowy szczególnych periodów, co jest rzeczą konieczną. Uczymy się bowiem tym sposobem myśl porządnie rozłożyć i ucho do harmonii mowy przyzwyczaić. Autor jednak względu na to zdaje się nie mieć, kładąc myśli w tym porządku, w jakim mu przyszły do głowy.

Weźmy na dowód początek sam pisma: „Autor romansu pod tytułem Karola Engielmana, wziętego przeze mnie do przekładania, jest August Lafontaine. Uczony ten znany z pism wielu, a między innymi z romansu mitologicznego „Arystolomen i Gorgus", który z oklaskiem został przyjęty, we wszystkich płodach dowcipu swojego okazuje głęboką znajomość serca ludzkiego itd."...

Mało jest wprawdzie podobnych periodów, jednak i gorsze gdzieniegdzie się znajdują. Oprócz tej wady grzeszy jeszcze autor używaniem zbyt częstym i niewłaściwym zaimków, odnosząc je do bardzo dalekich rzeczowników, np.: „Litowała się Zuzia nad Waldembruchem, a ta litość najsłodszą czyniła ulgę jego sercu, czuł jej wartość, chciał przeto, żeby go częściej odwiedzała". Wiele znajduje się wyrażeń bez precyzji, np.: „Dając baczenie odkryła i nie powątpiewała, że Zuzia była brzemienną", albo: „Niejeden ojciec, czytając ten rozdział, łzę litości uroni, niejeden, którego by postępowanie było podobne, dotknięty nigdy spokojnym nie będzie. Człowiek najdzikszego nawet charakteru na te kilka kartek obojętnym być nie może." Albo jeszcze: „Zdawał się utwierdzać opinię rodziców, lubo w rzeczy samej nie był temu winien." Pytam się, za co nie był winien, kiedy wprzódy przemarnowawszy [pieniądze], z uniwersytetu wygnany został.

Tak surowo rozbierając, wiele miejsc w tym piśmie krytyki wytrzymać by nie mogło; rozumieć to jednakże należy o samej treści. Próba bowiem tłumaczenia i uwagi naszego autora z większą pracą wykończone niewiele poprawy wymagają.

„Uwagi" czytane były 14. X. 1817. (Por. *Materiały do hist. Tow. Filom.* t. I., str. 34.) Papier blado niebieski, znaki wodne. Rękopis składa się z dwóch luźnych kart zeszytych, zapisane 2 i pół strony, reszta czyste. Na pierwszej stronicy, w górnym rogu adnotacja innym charakterem „do Nru II". Streszczenie „Dziennika Karola Engielmana" wraz z próbą tłumaczenia czytał Erazm Paluszyński na tym samym posiedzeniu 14. X. 1817. Rozbiór jego pracy był więc debiutem Mickiewicza w roli krytyka.

Rousseau Jean-Baptiste (1671—1741) — poeta francuski, autor *Ód* uchodzących w XVIII wieku za wzór smaku.

Buffon Georges-Louis (1707—1788) — przyrodnik i pisarz francuski. Powiedzenie, do którego Mickiewicz czyni aluzję *(Le style est l'homme même)*, pochodzi z jego mowy wygłoszonej przy wstępowaniu do Akademii Francuskiej *(Discours sur le style*, 1753).

Lafontaine August Henryk (1758—1831) — bardzo płodny powieściopisarz niemiecki, autor mnóstwa czułostkowo-mieszczańskich powieści z życia rodzinnego. Romans p. t. *Karl Engelman's Tagebuch* ukazał się w roku 1800.

UWAGI KRYTYCZNE NAD POEMATEM KOMICZNYM „ZGON TABAKIERY" (PIEŚŃ I)

Dla zachowania pewnego porządku w rozbiorze tego pisma dzielę moje uwagi na trzy części. W pierwszej zastanowię się nad układem. W drugiej wytknę wady szczególne tak co do rymowania i związku, jako też obrazów i wyrażeń, w której i celniejsze piękności wymienione zostaną. W trzeciej na koniec uczynię uwagi ogólne.

I tak co do pierwszego. Lubo mając sobie powierzoną pieśń tylko pierwszą z tego poematu, nie mogę sądzić z precyzją o układzie całego dzieła, wyznać jednakże muszę, że wiele obiecuje. Lecz zdaje mi się, że w poematach, a szczególniej poematach komicznych, najpierwej zaczynać powinni ludzie, a przynajmniej choć przytomnymi na scenie być powinni, czynności bowiem człowieka zawsze nas więcej interesują. W drugiej już pieśni mogą następować bogowie i duchy — czyli raczej mogą być przytomne duchy i w pierwszej, byle i ludzie zaniedbani nie byli.

I tak weźmy za przykład poema w podobnym rodzaju przez Popa napisane: „Pukiel z włosów ucięty"; lubo w nim duch najpierw zaczyna, lecz wnet nas

i osoba Belindy interesować zaczyna. Wszystkie poemata najsławniejszych autorów zaręczają nas o tej prawdzie, a podobny porządek jest nawet regułą, ustaloną w rozmaitego rodzaju poematach. W tym zaś pisemku zupełnie dzieje się przeciwnie; sny naturalne w postaci duchów wystawione zaczynają najpierwej; opuszczają ziemię, przybywają do siedliska swojego króla, a przyczyna nawet tak nagłego ich powrotu, lubo z przyczyny ludzkiej, równie przez ducha duchowi, ich królowi, zostaje opowiadaną.

Tu więc wszystko dzieje się między duchami. Ludzie są za sceną. Lecz pomimo tych wszystkich uwag przyznać należy autorowi, że w tym poemacie niedostatek ludzi na scenie wcale się czuć nie daje, gdyż ten zastąpiony jest przyczyną wygnania snów, które jest dziełem ludzi. Ponieważ pisarze, wstawiając na scenie ludzi, mają za cel zaostrzyć ciekawość czytającego, gdyby zaś autor do żadnej rzeczy ziemskiej nie kierował swojego celu, samych tylko duchów stawiąc na scenie, pewno by nie wzbudził baczności czytającego. Lecz Chrapanko dowcipnie przez swoje opowiadania interesować zaczyna, żaląc się na tabakierę, która zmniejsza jego powagę. Nierozsądkiem byłoby winić zbytecznie autora za uchybienie wyrażone, jak równie ze strony krytykującego niebacznie w tym punkcie zaniechać uwag.

Uważając po szczegółach wiersze i strofy, postrzegać się dają rozmaite uchybienia. I tak w malowaniu obrazów nazbyt jest rozwlekły; strona 23, opisująca wschodzące słońce, łączy trzy obrazy niezupełnie dobrze z sobą związane. Pierwszy z nich jest piękny:

Już gęsty obłok zwiastunka słońca
Ciemnym okrywa przepasem —

Jest to niejako cząstka, czyli stopniowanie wkrótce mającego się zjawić w całości obrazu; uważmy dalej:

Już góra sadzona lasem
Wschodnich promieni jasność roztrąca —

I ten obraz nie mniej jest piękny, lecz trzeci:

Już w kole wielkim światłość rosnąca
Widzi świat pędzona czasem.

Mimo to, że dwa te ostatnie wiersze dokańczają prawie obrazu, niewłaściwie i sposobem bardzo urojonym rzecz malują. Rzeczy bowiem tylko uosobowane widzieć mogą; można to powiedzieć o księżycu, słońcu, górach; lecz światłość, która jest przyczyną naszego widzenia przedmiotów, aby widziała świat — jest to wyrażenie mimo wszelkich wolności poetycznych niewłaściwe i ciemne, czyli raczej jest to tłumaczyć przyczynę za skutek.

Oprócz tego cztery (!) te obrazy jednym wyrazem „już" zaczynają się, co także ich połączenia nie czyni zbyt przyjemnym.

Podobnie w strofie 13:

Jakież to mary różnej postawy?
Jak twarze blade i słone. —

Twarze „słone"; wyraz „słony" niewłaściwie maluje wynędzniałą twarz duchów, czyli raczej jest tu niepotrzebny; w ścisłym bowiem znaczeniu wzięty nie wiadomo co ma oznaczać; nie jest to nawet wyraz szlachetny, owszem, zdolny wzbudzić obrzydliwość. Lubo zwykliśmy mawiać: słoną lub kwaśną ma minę, lecz co innego w poemacie. Prócz tego metafory od widzenia do smaku czynić nie można, nie sądzę przeto, aby te przymiotniki do twarzy mogły być odniesione. Na tejże samej strofie czytamy dwa ostatnie wiersze:

A cała ziewania puszcza
Blada i zaspana tłuszcza.

Przez podobne ułożenie wyrazów nie pozwala się odkryć myśl autora, a chcąc ją wyśledzić, wypadałoby nadać inny tok wyrazów i jeden z dwóch przymiotników „blada" i „zaspana" wyrzucić, na ich zaś miejsce inny wyraz wprowadzić. Uczynię tu takową przemianę, nie mogąc być pewnym, czyli odpowie zamiarowi autora. Będzie więc:

A cała zaspana tłuszcza
Gęste ziewania puszcza.

Lubo „gęste ziewania puszcza" nie jest także szczególniejszym wyrażeniem. Lecz z dwóch tych wierszy nie mogąc się dopytać rzeczywistej myśli autora, innego przeistoczenia uczynić nie mogłem.

Rymowania nieosobliwe ukazują się w strofie 20. Wszakże całkowicie nie jest ogołocona z piękności. Sześć wierszy, następujących po sobie, lubo przekładanych, mają rymowanie zakończone na podobną zgłoskę „ywa, ewa". I tak:

Wnet cichość miła ku nam przypływa,
Wietrzyk chłodnawy powiewa,
Głuchy szmer wydają drzewa etc.

Strofa ta maluje powrót spokojności po burzy, a porządek takowy i ułagodzenie się żywiołów oraz zwykłą wesołość wszystkich istot, gdy grożące niebezpieczeństwo minęło, szczęśliwie dwa następujące wiersze wyrażają:

Piórka zmoczony ptaszek wyrywa
I próżen strachu już śpiewa.

Szkoda tylko, że dwa te piękne wiersze skoligacone są jednostajnym rymowaniem z czterema pierwszymi. Wytknąwszy niedoskonałość tej strofy, byłoby niesprawiedliwością przemilczeć piękność obrazu, tuż w następującej strofie skreślonego (strofa 21):

Wilczą na siebie przywdziewa skórę,
Ząb głodny, jaskrawe oczy, etc.

Wszystko w nim jest piękne, wszystko zastanawia uwagę i każe się dziwić dowcipowi autora. Niemniej jest piękne wyrażenie w strofie 22:

I który w odwiecznym prawie
I w przyszłym widzeniu głęboki
Roztrząsał boskie wyroki, etc.

Lecz nie mogą tu także być zaniedbane prawdziwie wspaniałe i naturalne porównania w strofie 9 zawarte. Autor w niej maluje porównalnie nawałę i nieład, w jakim sny, proszkiem tabakiery odstraszone, do swoich powracają siedlisk, w następujących słowach:

Tak się cisnęła hurma do drzewa
Jako na wiatrów powiewy
Rzucone z ziarnami plewy,
Jak liście, gdy się wicher rozgniewa
I żółte lasów szaty rozsiewa etc.

„Żółte lasów szaty rozsiewa" wyrażenie prawdziwie piękne, nie byłoby tak naturalne, gdyby autor powiedział: zielone szaty lasów rozsiewa; pora bowiem jesienna, w której liście pożółkłe hurmem i z wielką łatwością za powiewem wiatru z drzew się osypują, czyni porównanie trafniejszym, a stąd więc większe wrażenie w umyśle czytającego. Wszakże piękne te porównania, wyjąwszy dwa wiersze ostatnie, wszystkie kończą się jednozgłoskowym rymowaniem „ywa, ewa". Wyznać jednakże należy, że podobne uchybienia mniej się tu czuć dają, aniżeli w strofie 20. Niewłaściwie autor także wyraża kichanie, sprawione przez proszek tabakiery w całej rzeszy, następującymi wierszami:

Ale kichanie po całej rzeszy
Tego to owego stuka.

Wszakże dwa piękne po nich następują wiersze:

A przestraszeni i zbladli
Ledwo mieszkań swych dopadli.

Sala algebraiczna, dowcipnie przez autora przeznaczona licznym swobodom Chrapanki, lubo dosyć dobrze następującymi wierszami jest oddana:

Lecz co najbardziej sercu dopieka
Sala, gdzie przez maniery
Różne pędzają litery —

niezupełnie dokładnie rzecz maluje; trzeba by coś dodać lub odmienić, a przynajmniej życzyłbym dać na dole przypisek objaśniający.

Zastanawiając się w ogólności nad tym poematem, nie można zaprzeczyć autorowi, że trafnie oddawał obrazy; zdatność wielka świetnie się w nich okazuje, lubo rymowania gdzieniegdzie są łatwe. Co zaś dodaje większej jeszcze zalety temu pismu, że wyrażenia skądinąd pospolite, prawdziwie pięknie określone, właściwe zajmują miejsce. Wszakże monolog Chrapanki zdaje się być zanadto długi, autor czuł to dobrze i dlatego zręcznie przez usta tegoż Chrapanki pewnymi przestankami wymawia się. Nie widzę tu także przyczyny, dlaczego autor

czyni tak nagły przeskok z Litwy do Turcji? Pokazuje się stąd, że nie chcąc tracić nastręczających się obrazów, kładł je bez względu, że w każdym razie oszczędzać i przyzwoite im miejsce nadawać należy. Stąd też to pismo zawiera trzy obrazy wschodzącego słońca i wielu innymi, lubo wspaniałymi, dosyć jest natkane. Nie można tu także zgadnąć przyczyny, dlaczego autor detronizował Morfeusza, czyniąc go ministrem, nastawując na jego miejsce króla z utajonym nazwiskiem. Od dawna Morfeusz w mitologii był królem snów; jeżeli w tym szło jedynie o zrobienie ministra, łatwo Chrapanko mógłby go zastąpić, a Sapun na jego miejsce być wodzem lub którykolwiek z duchów podobne dostojeństwo piastować był w stanie. Nie czyni autor wzmianki, co ma znaczyć symbolum króla snów, ten ząb słoniowy; wypadałoby o nim choć w przypisku cokolwiek nadmienić. Słowem, ze wszystkich ogólnych uwag: niektóre przypadkowe uchybienia, które zapewne uszły baczności autora, aż nadto są nagrodzone wspaniałością obrazów, wyrażeniami szczęśliwymi i trafnymi porównaniami, a poema to komiczne przez wprowadzenie choć w małej części mitologii słowiańskiej, przez prosty z wspaniałością połączony obraz kapłana sarmackiego, łechcąc przyjemnie serce uczonego Polaka, a na koniec dla krytyki umiarkowanej nigdy obojętnym nie będzie. A jedynie prosić należy autora o prędsze wygotowanie.

Rękopis przez autora niepodpisany, składa się z 7 stronic zapisanych w całości, ósma zapisana do połowy. Wymiar 17.4 — 21.2 cm. Papier biały ze znakami wodnymi; na zewnętrznym półarkuszu postać rzymskiego rycerza z dzidą, nad nim napis PRO PATRIA, pod nim H. WOLVEN. Na wewnętrznym półarkuszu mitra w owalu i litery G. R. Z lewej margines, pismo bardzo staranne. W treści jest to recenzja pierwszej pieśni poematu Tomasza Zana *Zgon tabakiery*, czytanej na zebraniu Filomatów 21. X. 1817. *(Mater. do Hist. Tow. Filomatów*, t. I, str. 34). W protokołach zebrań podano mylnie jako autora krytyki Erazma Poluszyńskiego. Tymczasem Zan w wierszu swoim, zwróconym do Adama Mickiewicza, czytanym na jego imieninach (w oktawę) 31. XII. 1818, wymieniając napisane przez Mickiewicza rozbiory krytyczne utworów innych filomatów, powiada: „I biednej T a b a k i e r y ów twój rylec ostry — Wyprostował krzywizny i wytrzepał kostry". *(Poezja Filomatów*, t. II, str. 37). Drugim dowodem autorstwa Mickiewicza jest to, że Poluszyński, z wykształcenia medyk, był w gronie filomatów zbyt kiepskim i przypadkowym literatem, by mógł się zdobyć na tak fachowe i wnikliwe omówienie poematu Zana. Może więc Poluszyński czytał recenzję II lub III pieśni *Zgonu Tabakiery*, które były recytowane na następnych zebraniach — stąd powstała pomyłka w protokóle. Recenzję swoją podał Mickiewicz prawdopodobnie 28. X. 1817, jeżeli w protokole drukowanym w *Materiałach* nie zaszła i w tym wypadku pomyłka.

P o p e A l e k s a n d e r (1688—1744), poeta angielski, krytyk i essayista. Najgłówniejszym jego dziełem jest wspomniany tu przez Mickiewicza poemat komiczny *The Rape of the Lock* (1714). Przekład polski Niemcewicza (1796).

ROZBIÓR PRZEKŁADU Z KWINTA KALABRA „ŚMIERĆ ACHILLESA"

Pismo mojemu rozbiorowi polecone, jak widzą zacni członkowie, z dwóch składa się części. Naprzód z krótkiej wiadomości o Kwincie Kalabrze i dziele jego; po wtóre z przekładania ustępu, w którym się opiewa śmierć Achillesa. Należałoby rozebrać każdą tę część z osobna, w przedmowie jednakże ani pod względem stylu, ani rzeczy, żadnego uchybienia spostrzec nie mogłem. Życzyłbym tylko, ażeby obok zalet poematu Kalabra były wytknięte i niedorzeczności, jakie ten poeta często popełnia, szczególniej w rozwlekaniu zbytecznym i wykwintności wyrażeń; a stąd nie zgodziłbym się na to, że smak wielki albo raczej

udoskonalony czyni Kalabra godnym pochwał, gdyż właśnie obok imaginacji twórczej, homerycznych myśli, wykroczenia w nim przeciw smakowi spostrzegać się dają.

Po tej krótkiej uwadze przystąpimy do poezji, gdzie większa trudność i pośpiech pracy obszerniejsze zostawują krytyce pole. Nie będę z kolei w szczególnych wierszach uchybień wyliczać, gdyż dla ich wykazania wiele by wierszy bezpotrzebnie powtarzać przyszło; uczynię tylko niektóre spostrzeżenia i przykładami one zatwierdzić jest moim usiłowaniem.

Naprzód w ogólności wyznać muszę, że przekładanie to z gładkiego wiersza i wielu szczęśliwych wyrażeń główną ma zaletę. Prawda, że się napotykają niektóre przejścia z wiersza na wiersz, jak np. 1, 2, 3, które poeta tłumacz, ściśle pilnując się oryginału, w przekładni także zostawił. Ale to są wolności od największych poetów używane i tylko dlatego spostrzec je można, że są umieszczone obok piękności, np.: „... chrzęst rozszedł się od zbroi — W upadku bohatera i jeszcze się boi — Trojanin Achillesa ..."

Wiadomo, jak za podobne przejścia Przybylski na tłumacza „Iliady" powstawał. Są i wyrazy, na które bym nie przystał, np. „wzrok zbójniczy" zamiast „zbójczy", „Achilles biegły" zamiast „szybkonogi", blisko, zapewne przez nieuwagę, położone jednoznaczne wyrazy, np. „wypadły z czoła oczy, on pada i kona", „chciał się przyłbicą chronić, ale ta nie chroni", i przeciw harmonii: „bo jeszcze się karmiły krwią gorące żyły".

Tyle o zewnętrznym układzie wiersza; pójdziemy do wyrażeń. Poeta tłumacz zachowuje w nich po większej części szlachetną prostotę, stąd czasami nie zgadza się z duchem autora, który jest wykwintnym i wyszukanym. Niekiedy nawet widzieć można prozaiczność: „bo nie było przystojną etc. itd.". Z początku raz: „czując żal głęboki" nie oddaje greckiego μέγα στενάχοντες — „jęcząc mocno, ubolewając". Wyraz „żal" jest blisko w trzech wierszach powtórzony, co jednak znajdujemy w oryginale. „Rzezią napełnia Trojany" — tak się nie mówi, „stanęła pora", zamiast „nadeszła". „Spóźniały" jest to słowo czynne i nie kładzie się zamiast „opóźniały się"; „popruć wnętrzności" wydaje mi się niedelikatnie.

„Gniew nielekki w sercu obudziłeś" — „nie używaj na biednych ramieniu" — „strwożony przez boską niewidomą radę" — „bóstwa zguby latały", w greckim jest κῆρες; są to bóstwa (krwawe) podług Homera straszliwe i krwawe, które na ludzi w boju umierających rzucają się i onych szarpią. W polskim języku na wydanie tego trzeba by coś napisać.

Na tym kończąc mój rozbiór, nie chcę wymieniać piękności, w jakie ta robota obfituje, musiałbym albowiem daleko dłużej o tym pisać, nie mogąc jednakże przemilczeć wyrażeń i wierszy prawdziwie poetycznych, na których wyliczenie więcej czasu aniżeli na wytknięcie błędów łożyć bym musiał.

Rozbiór czytany 2 grudnia 1817 (*Mater. do hist. Tow. Fil.*, t. I, str. 34). Zachował się w kopii pisanej nieznaną ręką. Rękopis składa się z pół arkusza, złożonego w ćwiartkę, z czego zapisane 2¼ stronicy. Papier blado niebieski, prążkowany; znak wodny: Kowno i jakiś monogram w lewym rogu; nad tytułem adnotacja inną ręką: „do nr. XI". Przekład fragmentu z poematu Quintusa Calabra opracował Józef Jeżowski i czytał go na posiedzeniu Tow. Filomatów 2 grudnia 1817. Mickiewicz jako recenzent otrzymał snać tę pracę do przeczytania wcześniej, dzięki czemu i przekład i krytyka czytane były na tym samym zebraniu, podobnie jak krytyka przekładu *Dziennika K. Engielmana.*

Quintus ze Smyrny albo z Kalabrii — poeta epiczny grecki, żyjący prawdopodobnie pod koniec IV w. po Chrystusie. Autor poematu w 14 księgach τὰ μεθ' Ὁμήρου, podejmującego legendę o wojnie trojańskiej od chwili śmierci Hektora aż do odjazdu Greków po wzięciu miasta. Śmierć Achillesa przedstawiona jest w księdze trzeciej.

UWAGI NAD PISEMKIEM „O POCZĄTKACH MORALNYCH CZYNNOŚCI"

Przekonany mocno, że jedną z walnych przyczyn, tamujących oświatę masy narodu naszego, jest zaniedbana moralnej filozofii uprawa, z radosnym uczuciem przyjąłem pisemko, tak ważnego tyczące się przedmiotu. Zuchwałą a może i śmieszną byłoby rzeczą, na wiarę krótkiej rozprawki dawać zdanie o autorach mnie dotąd nieznajomych i o prawdach, które nawet w dziele systematycznym porządnie wyłożone dla mnie niełatwymi by może do przyjęcia były. Z tym wszystkim nie mogłem przewieść na sobie, ażebym mniemań w tym piśmie objętych podług mojego sposobu widzenia choć w części nie roztrząsnął; daleki jestem od przekonania, że uwagi moje są trafnymi, a omyłka w rzeczach, głębszego zastanowienia się wymagających, ani kogo dziwić, ani mnie zawstydzić nie może; owszem, poznawszy lepiej dowody przeciwne, chętnie zdanie moje poprawię lub odmienię.

Nie mówę nic przeciwko autorowi niniejszego pisemka, którego zamiarem było krótko wyłożyć główniejsze mniemania filozofów angielskich, zostawiwszy na potem obszerniejsze ich rozróżnienie. Lecz przystąpmy do pisma.

Naprzód autor, mówiąc o początku czyli sprężynie wszystkich moralnych czynników, pochwala dzieło Szmita [sic]; o tym piszący nie wymienia jednak, co Szmit za początek czynnościom moralnym naznacza; dalej następuje Goteson [sic], podług którego człowiek jest od natury pewnymi uczuciami obdarzony. Obaczmy, co to są za uczucia.

Naprzód uczucie cnoty, którym człowiek powodowany rozróżnia tak złe od dobrego, jak oko rozróżnia kolory. Trzeba by z początku bardzo ścisłą cnoty dać definicję, pod tym albowiem wyrazem zajmujemy wiele wyobrażeń, które u różnych ludzi są różnymi. Każde oko umie rozróżnić kolory; przeciwnie — jeśli nie każdy człowiek, to przynajmniej każdy naród inne ma cnoty pojęcie. Greczyn uznawał za cnotę nienawiść ku panom, muzułman — posłuszeństwo ku nim. Prawie wszystkie ludy barbarzyńskie nie oddzielały wyobrażenia cnoty od męstwa. W greckim języku wyraz jeden obojgu wyobrażeniom służy. Mahometanin ma za cnotę prześladować wszystkich innowierców, chrześcijanin — kochać tak jak braci.

Widzimy więc, że stosownie do religii i do praw każdego narodu rodzi się wyobrażenie cnoty; a zatem tego uczucia cnoty, uczucia, iż tak rzekę, z innych uczuć złożonego, człowiek z przyrodzenia w całej obszerności posiadać nie może. Są wprawdzie pewne uczucia u wszystkich prawie narodów za dobre miane, jak np. miłość dzieci ku rodzicom i wzajemnie, cześć bóstwa itd., ale stąd nie można wnosić, że uczucie cnoty w całej obszerności (jak ten wyraz dziś rozumiemy) jest każdemu człowiekowi wrodzone.

„Przypuścił jeszcze Goczeson [sic]" — są to słowa naszego autora — „w duszy inne jeszcze wewnętrzne uczucia, jako to uczucie pięknego i brzydkiego (albo raczej szpetnego), uczucie ogólnego dobra, za pomocą którego bierzemy udział w szczęściu lub w nieszczęściu drugich, uczucie wstydu i honoru, tudzież uczucie śmieszności." Dotąd słowa naszego autora.

Niech mnie teraz godzi się powiedzieć, co rozumiem przez uczucia przyrodzone. Uczucia przyrodzone, według mnie, są to uczucia każdemu człowiekowi, bez względu na stan w jakim on zostaje, od natury dane. Dla zbicia zdań Goczesona uważam człowieka odzielnie od towarzystwa; obaczmy, jakie będą jego uczucia przyrodzone.

Naprzód uczucie boleści, kiedy się zrani; uczucie radości, kiedy pożywienie sobie znajdzie; uczucie zadziwienia, przestrachu, kiedy jakiś przedmiot nadzwyczajny obaczy. Oto są uczucia przyrodzone, jak mnie się zdaje. Goczeson na ich miejsce powiada, że honor jest uczuciem przyrodzonym; podług mnie słowo „honor" jest czcze i zależące tylko na pewnym dowolnym ludzi mniemaniu. Przynajmniej to jest rzeczą pewną, że chcąc mieć wyobrażenie honoru, trzeba żyć w stanie towarzyskim, i że człowiek dziki tego wyobrażenia nie mając, wtenczas dopiero poczyna znać, co to jest honor, kiedy w społeczeństwo wnijdzie. A zatem honor nie jest uczuciem przyrodzonym; rodzi się z życia towarzyskiego i zależy, jak mówiłem, na dowolnym ludzi mniemaniu. Toż samo myślę o uczuciu wstydu. Lecz to mnie najbardziej dziwi, że Goczeson uczucie śmieszności liczy także za uczucie przyrodzone. Doświadczmyż to uczucie. „Śmieszność jest upatrzenie pewnej niestosowności między rzeczami, na których niestosowność wpływa bardzo wiele innych okoliczności."

Obaczmy przykłady. Pewny Greczyn, jak z historii wiadomo, po wyjściu z jaskini Trofoniusza nigdy się śmiać nie mogąc, przypadkiem zaszedł do wspaniałej świątyni; tam w miejscu bóstwa obaczył kłodkę drzewa, na ten widok nie wstrzymał się od śmiechu. W czym tu jest śmieszność? Oto w upatrzeniu niestosowności między klocem drzewa i wspaniałością świątyni.

Klovis, król Franków, słysząc historię męki Chrystusa, przysiągł w uniesieniu pobożnym, że gdyby się to za czasów jego stało, z Frankami swymi poszedłby Bogu na pomoc. Któż się z nas nie uśmiechnie na takie wyobrażenie Klovisa o męce Pańskiej? Z tym wszystkim toż samo zdarzenie w czasach Klovisa nie było śmiesznym i toż samo pewnie w wieśniakach i teraz nie wzbudziłoby śmiechu. Widzimy więc, jak od wielu okoliczności zależy śmieszność, a stąd jej uczucie możeż być uczuciem przyrodzonym?

Zgadzam się dalej z filozofami angielskimi, że nie jeden egoizm, czyli własny interes, jest sprężyną wszystkich czynności moralnych; ale zgadzam się nie dlatego, że teoria angielska ludzką naturę bardziej uświetnia — nie idzie tu bowiem o pochlebianie ludziom, ale tylko o znalezienie prawdy. Następnie nie rozumiem zgoła podziału namiętności na interesowne (selfish (?)), czyli do własnego dobra ściągające się i na dobrochętne (benevolent), to jest mające na celu szczęście całego rodu ludzkiego. Jeśli do wyrazu „namiętność" przywiązują Anglicy to znaczenie, które my mu nadajemy, to jest jeśli namiętnością zowią miłość, gniew, litość itd., tedy nie wiem, czyli która z tych namiętności ma za cel dobro szczególne człowieka albo szczęście towarzystwa. Mnie się zdaje, że każda namiętność, kierowana rozumem, obadwa te skutki sprawić może. Bardzo się zgadza z moim sposobem widzenia teoria Juma [Hume], który nie dzieląc namiętności, chwali tylko lub nagania każdy postępek stosownie do pożytku lub szkody, jaka z niego wypłynie; a stąd, porzuciwszy ogólny wyraz cnoty, można byłoby dać definicję postępku cnotliwego.

I tak, według mnie, postępek kierowany rozumem, który ma na celu pożytek i który ciągnie za sobą pożytek, taki postępek mianuję cnotliwym. A stąd bardzo

mi się podoba twierdzenie autora naszego w drugim pisemku umieszczone, że „tyle tylko wykraczamy, ile nieświadomi jesteśmy". Stąd znowu wypada, że chcąc być cnotliwym, potrzeba być rozumnym, nie mówię rozumnym uczenie, ale tylko trzeba mieć dokładne poznanie o postępku, który mamy wypełnić. Myślę więc, że człowiek, który z przypadku popełni dobrą sprawę, czyni dobrze ale nie cnotliwie; i przeciwnie: człowiek, który chcąc słuszną rzecz uczynić, mimochętnie popełnia zbrodnię — uczynił rzecz cnotliwą, ale niedobrą.

Na tej myśli kończę moje uwagi, przepraszając zacnych członków, jeślim nadużył ich cierpliwości. Przystąpię teraz do rozbioru pisma, gdyż poprzedzające zarzuty do autora polskiego nic się nie ściągały. Ta jednak część krytyki mojej będzie bardzo krótką, myśli bowiem w niniejszym pisemku umieszczone trafnie są z sobą związane; periody harmonijne, w których wydaje się praca i znajomość języka. Jeśli kiedy w stylu znajduje się kilka miejsc, które mam za uchybienie, potrzeba pamiętać na trudności przedmiotu, o którym autor pisał i na nieudoskonalony w Polsce język filozoficzny.

Lecz przystąpmy do stylu. Naprzód w pierwszym periodzie epitety „głębokomyślący", „uwielbienia godny", „sławny" nadto są skupione; dalej: „myśli, w których się daje widzieć doskonały badacz" itd., lepiej by było: „w których poznać możemy doskonałego badacza". Następnie period od tych słów zaczynający się: „Szkocja ojczyzna itd.", co wszystko wydaje mi się niepotrzebnym i ubocznym; wyrażenie „krąg umiejętności" ujść nie może, może by natomiast można powiedzieć: „nauka w całej obszerności". „Oczyścić z zarzutów egoizmu" wyrażenie niejasne; „przykładamy się do dobra całego systematu" dodać należy: ludzkości, albo, jak autor mówi: „człowieczeństwa".

Tych kilka wytknionych omyłek nie umniejsza zalety pisma; spodziewam się więc, że Sz[anowne] Tow[arzystwo] odda mu słusznie należną pochwałę, a tym samym zachęci autora do dotrzymania obietnicy rozwinięcia rzuconych tu myśli, które i wszystkim pożytek nauczający przynieść i moje w tej mierze powątpiewania poprawić i sprostać mogą.

„Uwagi" czytane 23 grudnia 1817 (*Mater. do hist. Tow. Fil.* I, 34), czyli w tym samym dniu, kiedy — według protokółów Tow. Filomatów — Franciszek Malewski przedstawił swoją, omawianą wyżej przez Mickiewicza, rozprawkę. Rękopis, kopia nieznaną ręką składa się z 2 półarkuszów złożonych w ćwiartkę, z czego zapisane 6½ stron. Papier blado-niebieski, znaki wodne. Obok tytułu na pierwszej stronie adnotacje innym charakterem pisma: „Do Nru XII". Na stronicy ósmej ręką O. Pietraszkiewicza rozpoczęte: „Uwagi nad pismem o ważności nauki moralnej", przerwane po kilku wierszach.

Smith Adam (1723—1790) — angielski ekonomista i filozof, twórca klasycznej szkoły ekonomii. W tekście chodzi zapewne o *Theory of moral sentiment* (1759).

Hutcheson Francis (1694—1746) — filozof i estetyk angielski, którego poglądy o bezinteresownych początkach uczuć estetycznych oddziałały na Smitha, Kanta i Herdera. W tekście chodzi prawdopodobnie o jego pośmiertne dzieło *A system of moral philosophy* (1755). Uparte pisanie nazwiska Hutchesona przez *G* zdaje się świadczyć, że poglądy Smitha i Hutchesona docierały do Filomatów za pośrednictwem jakichś przekładów czy omówień rosyjskich.

Hume Dawid (1711—1776) — jeden z głównych filozofów empiryzmu angielskiego i twórców współczesnej teorii poznania.

UWAGI NAD PISMEM POD TYTUŁEM: „POCZĄTEK I POSTĘP POEZJI DRAMATYCZNEJ U GREKÓW I RZYMIAN"

Zastanawiając się kolejno nad dziejami narodu i nad dziejami umiejętności albo sztuki pięknej, z zadziwieniem spostrzec można, że jak jedne tak i drugie, lubo w różnym sposobie, jednakże równie wielkie człowiekowi i artyście przynoszą użytki. Obraz nieszczęść przeszłych, wyjaśnione ich przyczyny nauczą, co w postępie jest złe, a co korzystne. Historia doskonalenia się jakiejkolwiek sztuki lub jej gatunku błędy — których się strzec, i piękności, jakie naśladować potrzeba, ukazać powinna. A więc dla obudwu dziejopisów te same służą prawidła, obadwa bowiem opisują nam, co się dawniej stało, obadwa mają za cel ukazać, jakim sposobem i dlaczego się stało. Z tym wszystkim, ażeby dokładnie rozwikłać pasmo przyczyn i skutków w miarę ważności przedmiotów, dzieje koniecznie mniej lub więcej obszerniejszymi być muszą, zwłaszcza kiedy autor rzecz wielką traktować zamyśla w całym jej ogromie.

Z tego to właśnie punktu widzenia naprzód pismo przeczytane rozważyć zamyślam; ma ono być, jak tytuł zwiastuje, niejako historią postępu sztuki dramatycznej u Greków i Rzymian. Łatwo stąd wniesiem, ile taki przedmiot przedstawiał trudności autorowi. Mamy we wszystkich prawie językach europejskich opisane dzieje sztuki dramatycznej, żadne jednak dzieło nie jest uznane za klasyczne, za takie, które by już nic do żądania nie zostawiało. Owszem, im dalej postępujemy w odkryciu prawd nowych, tym więcej otwiera się pole wyszukiwania przyczyn i skutków; lecz wróćmy się do naszego autora.

Przebiega on porządkiem sławniejszych tragików i komików tak greckich jako i rzymskich, a że porównałem wyżej dzieje sztuk z dziejami narodów, tegoż porównania trzymając się teraz — Sofokl, Eurypides, Pakuwiusz, Menander, Terencjusz będą tym, czym są w dziejach Cyrus, Aleksander i Juliusz Cezar. Chcąc każdego z nich zasługę ocenić, należałoby się zastanowić nad ich geniuszem, nad wzorami, na których się kształcili, nad okolicznościami, do których stosować się musieli, na koniec nad duchem czasu, w którym żyli.

Jedno zastanowienie się nad życiem Kornela i Szekspira, nad ówczesnym stanem oświaty i usposobieniem widzów angielskich i francuskich, rozwiązać może ważne pytanie: dlaczego gust dramatyczny obu narodów dotyla się rozróżnił? Wszystko potrzebuje pracy i obszernego traktowania. Nie myślę winić autora, jeśli tego nie zachował, gdyż — jak widać z pisma — pokrótce tylko dramatykę przebiec usiłował. Lecz jeżeli zechce dopełnić zamiarów, jak już przyobiecał, jeśli zechce napisać dzieje dramatyki — sam zapewne uczuje prawdziwość myśli nie moich, ale ode mnie teraz wyłożonych, a stąd plan pisma odmienić musi.

Co do porządku materii. Po krótkiej uwadze o początku sztuki dramatycznej mówi naprzód autor o tragedii, której wzrost naprzód opisuje; dalej następuje komedia; wraca się autor potem znowu do tragedii, zastanawia się nad jej charakterami, przechodzi do Rzymian, wylicza sławniejszych komików, wskazuje wzory, których się oni trzymali, zastanawia się nad tragedią, kończąc na tym swoje pismo.

Porządek ten — lubo czytając pismo zdają się materie same z siebie wypływać — nie jest jednak najlepszy; dogodniej byłoby, zacząwszy od komedii, przebiec jej epoki sławniejsze, a skończywszy ten przedmiot, dopiero do tragedii powracać, zachowując równy porządek w dziejach dramatyki rzymskiej.

A jako dla uwiecznienia bohatera nie dosyć jest wymienić liczbę zwycięstw

jego, jeżeli nie wymienimy, w jakich miejscach, kiedy, jakim sposobem i nad jakim nieprzyjacielem zwycięstwa te odniesione były, tak równie z tej tylko wiadomości, iż Sofokles 120 sztuk, a Menander blisko sto napisał, nie wiem czyli kto o geniuszu tych mężów poweźmie wyobrażenie; zdaje się więc, iż autor nad życiem, charakterami i dziełami poetów dramatycznych dłużej zastanawiać się był powinien. Uderzyłaby naprzód owa niezmienna, a prawie wszystkim pierwszego rzędu greckim dramatykom wspólna w tworzeniu dzieł klasycznych łatwość, tak dalece, iż gdyby ich [sic] czas oszczędził, liczba samych wzorowych tragedyj i komedyj greckich przeniosłaby może liczbę dzieł, którymi francuscy i angielscy pisarze teatr wzbogacili, i liczbę broszur, którymi teraz Europę zarzucają. Wytłumaczenie fenomenu nadzwyczajnej greckich poetów klasycznych płodności, dotąd od żadnego ze znajomych nam o dramaturgii pisarzów nie tentowane, szkoda że nie zajęło uwagi naszego autora; dostrzegłby może, iż natura języka greckiego — jeśli nam wolno zdanie otworzyć — była główną, a ustawiczna, sądem całego ludu podniecana emulacja — pomocniczą przyczyną. Rozebrawszy i zważywszy charakter ten łatwości, wszystkim dramaturgom greckim, jak powiedzieliśmy, wspólny, należałoby przejść do przymiotów każdemu właściwych; należało czułego i sztucznego Sofoklesa rozróżnić od górnego Eurypidesa i przerażającego okropnością opisów Eschyla; poszukać przyczyn, dlaczego się teatr w tak krótkim przeciągu czasu udoskonalił; czy to udoskonalenie przypadkowi, czy geniuszowi wynalazców przypisać. I ażeby się to wszystko uskuteczniło, wypada pisarzów z sobą porównać co do talentu, charakteru, sposobu życia i czasowych okoliczności. I tutaj śmiemy dodać, iż należałoby, mówiąc o Rzymianach, charakter ich dramatyki naśladowniczy, sztuczny i deklamatorczy topisać z wyrażeniem przyczyn, które na ustalenie takowego charakteru działały.

Co do szczególnych myśli, nie mogąc naprędce przebiec Berquina, z którego autor nasz czerpał, nie możemy własnych jego postrzeżeń od przyswojonych wyróżnić; życzylibyśmy jednak niewiele Berquinowi ufać, gdyż dziełka podobne, sposobem zupełnie nienaukowym traktowane, często wiele płaskich i fałszywych uwag zawierają; lepiej [by] autor uczynił, radząc się Grodka. Gdyby zaś obszerniej chciał o tym pisać — rozprawy Cesalbiego, umieszczone na czele dzieł Metastazjusza, rozprawki Woltera i innych przy „Teatrze Woltera" drukowane, „Historia i teoria dramatyki" Szlegla z nowszych; z dawnych zaś pisma, w dykcjonarzu Zulcera pod artykułem „Dram[atische] Dicht[ung]" wyliczone, pod ręką znajdować się powinny.

Zresztą styl wszędzie poprawny, wykład rzeczy jasny słuszną pismu temu przynoszą zaletę. Materie w nim rozłożone porządnie i dobrze traktowane, a chociaż krótkość zbytnia nie pozwoliła wszystkiego wyłuszczyć, chcący jednak o dramatyce greckiej szczególne powziąć wyobrażenie z pożytkiem czytać je będzie.

„Uwagi" czytane 10 marca 1818 r. (*Mater. do hist. Tow. Filom.*, t. I, str. 38), na tym samym posiedzeniu co omawiana rozprawka, której autorem jest Tomasz Zan. Recenzja zachowała się w kopii pisanej ręką O. Pietraszkiewicza. Rękopis składa się z 4 kartek (osiem stronic liczbowanych), znaki wodne: na pierwszym półarkuszu CCC, na drugim: BTH.

Pacuvius M. (220—130 prz. Chr.) — jeden z najdawniejszych tragików rzymskich.

Menandros (342—292 prz. Chr.) — twórca t. zw. nowej (psychologicznej) komedii greckiej.

Terentius P. A. (190—159 prz. Chr.) — komediopisarz rzymski, dostosowujący Menandra do warunków rzymskich.

Berquin Arnaud (1750—1791) — literat francuski, autor 6-tomowej *L'Amie des enfants*, mającej wiele wydań i znaczenie w ówczesnej literaturze pedagogicznej.

Groddeck Gotfried (1762—1826) — profesor literatur klasycznych w uniwersytecie wileńskim, nauczyciel Mickiewicza.

Metastasio Pietro Antonio (1698—1782) — poeta włoski i autor cenionych w XVIII wieku dramatów muzycznych. Do wydań Metastasia z rozprawami Cesalbiego nie udało się dotrzeć. W *Opere postume* (1795) Metastasia ogłoszono jego *Osservazioni sul teatro greco* i być może, że uwagi Mickiewicza odnoszą się do tej rozprawy.

Voltaire (François Marie Arouet) (1694—1778) — poeta, filozof i historyk, główny przedstawiciel Oświecenia francuskiego. Wolter miał zwyczaj zaopatrywać swoje tragedie w przedmowy, nieraz za każdym ich nowym wydaniem, w których wyłuszczał zamiary artystyczne danego utworu, a nawet, jeżeli temat był poprzednio traktowany przez jego poprzedników, poddawał takie próby krytyce i rozbiorowi. Dlatego te przedmowy mogły stanowić dla Mickiewicza materiał do poznania historii dramatu, poczynając od klasyczności.

Schlegel Wilhelm August (1767—1845) — niemiecki estetyk i krytyk literacki. Mickiewicz wspomina wygłoszone w 1808 roku *Vorlesungen über dramatische Kunst und Literatur*.

Sulzer Johann Georg (1720—1779) — estetyk i filozof niemiecki, którego główne dzieło *Allgemeine Theorie der schönen Künste* (1771—1774) stanowiło najszerszą encyklopedię podręczną ówczesnej estetyki.

RECENZJA PISMA POD TYTUŁEM: „JAKIM SPOSOBEM WYBIERAĆ NALEŻY NAUKĘ DLA CIĄGŁEGO JEJ SIĘ POŚWIĘCENIA I JAKĄ OSTROŻNOŚĆ ZACHOWAĆ, ABY WYBRANA NAUKA SKUTECZNIE NABYWANA BYĆ MOGŁA"...

Najważniejszym zapewne w życiu umysłowym wypadkiem jest obiór nauki, mającej stałe na przyszłość stanowić zatrudnienie; od tego bowiem obioru zależy szczęśliwe władz naszych rozwinienie, albo przytłumienie i zepsucie. Każdy zatem w tak ważnej materii długo namyślać się i długo samego siebie rozpoznawać powinien. Nie każdemu jednakże dało przyrodzenie łatwość zgłębiania rzeczy i zdrowego ich osądzenia; pisma zatem skazujące sposób, jakim sami nad sobą zastanawiać się, i prawidło, podług którego mylność sądów naszych sprostować powinniśmy, są zawsze znaczną dla uczących się pomocą, co większa, piszącym nawet niemałe przynoszą pożytki.

Z tych zapewne powodów kolega nasz postanowił trudne pytanie względem wyboru nauki każdemu właściwej filozoficznie roztrząsnąć. Treść pisma tego, w każdym niemal okresie ważne zawierającego myśli, byłaby zbyt długą; ogólnie jednak można powiedzieć, iż do kilku głównych i zasadniczych da się sprowadzić reguł, od autora samego wymienionych.

Naprzód [z] uwagi, iż ludzie jedne potrzeby, władze i przymioty mają wspólne, drugie każdemu z osobna w różnym stopniu udzielone, podziela autor doskonalenie się konieczne wszystkim ludziom [na ogólne] i na szczególne, do szczególnych władz i przymiotów indywidualnych stosowane. Doskonalenie się ogólne stanowi pierwszy okres edukacji; następnie każdy, mając sobie obrać szczególną gałąź nauk, powinien na dwa warunki wzgląd dawać: naprzód, ażeby poznać zasady i w ogólnym rysie związek, tudzież zawiłość nauk, spomiędzy których jedną ma obrać, po wtóre, ażeby poznał naturę władz umysłowych i wpływ, jakiego też władze doświadczają w uprawie każdej z nauk oddzielnie wziętych. Jeżeli to wszystko zostanie dopełnione, wybór nauki będzie trafny i doskonalenie się w niej łatwe i pewne.

Mając z obowiązku recenzenta wytknąć uchybienia w tym piśmie, wyznać muszę, iż ze znacznym pożytkiem kilkakroć odczytawszy, nic znaleźć nie mogłem, na co bym się nie zgodził.

Co do zalet, które także do mnie należało wymienić i na czym zależą okazać, część ta recenzji również krótką być musi, gdyż w tym celu należałoby zrobić rys pisma, zawierający główne od autora dowiedzione prawdy, okazujący całą układu tych prawd systematyczność, tudzież łańcuch, którym jedne z drugimi się łączą. Nie dosyć na tym: należałoby podług prawideł logiki rozważyć, czyli ten układ jest dokładny, czyli prawdy mają pewny stopień oczywistości, czyli naturalnie i przepisanym od logiki sposobem jedne z drugich wypływają. Łatwo postrzec, iż taka recenzja pisma filozoficznie napisanego wymagałaby przynajmniej takiego jak w autorze usposobienia, a przynajmniej tyle, ile autor łożył na napisanie dzieła, pracy i czasu.

Z tych powodów ogólnie tylko postanowiłem o tym piśmie wyrzec, iż w krótkości zawiera materiały, za dalszym rozwinięciem do obszernego dzieła służyć mogące; iż układ prosty i jednostajny nam się wydaje, iż dowodzenia silnie do rozumu przemawiają, a zatem cała ta robota, chlubna dla autora, Towarzystwu zaszczyt i pożytek przynieść bez wątpienia może.

Recenzja czytana 27 czerwca 1819 (*Mater. do hist. Tow. Fil.*, t. I, str. 38). Autorem omawianej przez Mickiewicza rozprawki jest Józef Jeżowski, który ją odczytał tegoż samego dnia. Zachowała się kopia recenzji, pisana ręką Pietraszkiewicza. Rękopis obejmuje pół arkusza, złożonego w ćwiartkę. Papier blado-niebieski, grubszy niż zwykle, znaki wodne rozmazane.

FILOMACKIE RECENZJE UTWORÓW MICKIEWICZA

ROZBIÓR „MIESZKA"

Powierzone mnie zostało pisemko pod tytułem „Mieszko, książe Nowogródka, naśladowanie z Woltera", abym je ścisłą uwagą rozstrząsnąwszy i wady wytknął i piękności pokazał. A lubo przekonany jestem, że mój sąd ani prawego wyroku, ani dokładnego zdania położyć nie umie, jednak gdy tylko sposób mojego uważania poznać chcecie, waszej woli choć z obawą zadość uczynię. Oddanie hołdu zdatności i talentom naszego poety oraz zachęcenie, aby w tym rodzaju pracy nie ustawał i dar od natury mu wlany ustawiczną wprawą ćwiczył, będzie moich uwag początkiem. Czytałem pokilkakrotnie to pismo i zawsze nowym uczuciem przyjemności napełniony byłem; z tym wszystkim, pomierzone z orginałem, jeżeli go nie krzywdzi, to nieco z swojej świetności utraca. Nie jest ono, jak chce nasz poeta, naśladowaniem, albowiem odmiana imion, do innych miejsc zastosowanie zdarzeń, opuszczenie mniej lub więcej częstsze a pospolicie nieszczęśliwe wierszy oryginału, wprowadzenie rzeczy obcych, częstokroć mało przydatnych, nazwiska tłumaczenia niszczyć nie może, jeżeli reszta wierszy po opuszczeniu tamtych niedorzeczności z oryginałem zgodna.

Zaczyna się od ośmiu bardzo pięknych wierszy, które przez opuszczenie jednej myśli oryginału stały się u tłumacza dla całej powieści obcymi. Wolter bowiem wystawuje starca, który chce opowiadać dzieciom rozliczne zdarzenia, w tych wyrazach:

Je veux au coin du feu vous faire un nouveau conte:
Nos plasirs sont plus doux par nos amusements.
Je suis vieux, je l'avoue, et je n'ai point de honte
De goûter avec vous le plaisir des enfants —

dlatego u Woltera bardzo dobrze się zaczyna.

W krągłych podróżach — krągłych prócz tego, że zamiast okrągłych, ściśle uważane fałszywe daje wyobrażenie, gdyż podług mojego mniemania dwanaście okrągłych podróży czynią 12 lat, tu zaś chce wyrażać poeta rok. Przeto lepiej Wolter: w swoich podróżach dwunastu. Wyśmiany za dudka, dobrze jest: wystrychnąć na dudka, a tutaj, cho-

ciaż ma znaczyć wyśmiany jako dudek, nie bardzo szczęśliwie — zwłaszcza że dla Nowogródka — użyte. Spowiednicy pospolicie bywają tłuści. Struć serce zamiast: zepsuć serce; dokazali w mowie zamiast: potrafili. Drzemiąc, moim zdaniem, nie w miejscu, zwłaszcza że i w Wolterze jest

Entouré des bouffons et d'insipides jeux —

A teraz jak poczciwy — zdawałoby się, że wprzódy pod Olgierdem czy Mieszkiem niepoczciwy i płatny służył. Do tego: a teraz służył nie idzie; zatem, ażeby wprzód gromiąc cały(!?), teraz bezpłatnie służyć!

„Ganił Pana", niegrzecznie i niebezpiecznie,

a w oryginale jest:

Qui, n'étant point payé, lui parlait librement

Powstaną nań zarazem, wiersz słaby; wkrótce wzgardzony zdaje się, że tam dobrowolnie jak wygnaniec poszedł zamieszkiwać, jeżeli tak można, otworzy [?]. Wolter mówi: *Émon fut exilé.*

Odbija się [słowo nieczytelne] piękniej daleko w oryginale:

Ce bruit sourd et lointain, qu'avec peine il entend
S'affaiblit dans sa course et meurt en arrivant.

Natychmiast nieprzytomny polubia ją: dlatego, że nieprzytomny skrycie. Dumny nie w miejscu, lepiejby tu było ufny.

Z biskupiej mitry — naprzód, że wtenczas biskupów nie było w Litwie, a potem że: dostał mitry, że był chytry. Argumenty chłostać uczonymi, rycerzy Monachomachii można, ale Mieszka nie ma potrzeby. Lucyper, ogień i smoła tak przestraszyły Mieszka, że ten mimo własną wolą, zgłupiawszy przystał, ażeby wygnać Żyłę znowu, kiedy raz wygoniona. Nie mógł nigdy przystać na jej wygnanie... [zakończenia recenzji brak w rękopisie].

Autograf nie posiada tytułu. Autorem rozprawki jest Bruno Suchecki; rozprawa czytana była w tydzień po wygłoszeniu *Mieszka* przez Mickiewicza, 14. X. 1817. (*Mater. do hist. Towarz. Filomatów*, t. I., str. 35).

KRYTYKA NA POWIEŚĆ „PANI ANIELA" (NAŚLADOWANĄ Z WOLTERA)

Powieść pt. „Pani Aniela", będąc płodem wolnej myśli i dowcipu igraszką, z natury swojej nie wymaga ani obrazów wielkich, ani uczuć gwałtownych, słowem wszystkiego, cokolwiek ma wyższy stopień namiętności; owszem łatwość, żywość, szczęśliwy zwrot myśli są jedynie jej właściwymi przymiotami.

Jakoż pisarz, temu wszystkiemu zadość czyniąc, dziwić się każe swemu

dowcipowi, przez nadanie myślom swoim cechę [sic!] niejakiejś wyższości, przez szczęśliwe ich wyrażenia, wszędzie przy łatwości jest rozmaitym, całemu pisemku nadał tok gładki, przyzwoitość i inne przymioty, które łatwiej dają się uczuć niż opisać.

Po takowym rysie osądzi zapewne niejeden, że pismo to nie ma nic do zarzucenia? Bynajmniej, są błędy, lecz te raczej z zaniedbania, niżeli niemożności pochodzą. Autor powiada na początku, że tylko naśladował tą powieść z Woltera, a przecież ona jest tłumaczeniem, z wyrzuceniem niektórych wierszy oryginału, które dość potrzebnymi być się zdają. Zresztą, uchybienie w niektórych miejscach prawideł gramatycznych, kilka wyrazów niewłaściwie użytych, brak w niektórych miejscach harmonii języka, są to wady, które wytknąć przedsięwziąłem. Nie mówię nic o pisowni, bo ta z trudnością postrzegać się daje.

Porównanie z oryginałem najlepiej pokaże, w czym pisarz uchybił we względzie ścisłości; co do gramatyki zaś: nie pisze się z a d z i w i e n i e m c i e k a w y m, lecz z a d z i w i e n i e m c i e k a w e m, nie k o b i t a, ale k o b i e t a, wyraz w r a c a s i ę nie bierze się za p r z e w r a c a s i ę, w r a z za z a r a z, w n e t — m a s k a nie może być siostrą miłości, z w d z i ę k ó w — do przyimka z trzeba dodać samogłoskę *e* dla łatwiejszego wymawiania.

W następnych dwóch wierszach:

Więc dla kobiet powolna, dla mężczyzn nie wroga
Darowała urazy dla miłości Boga,

lepiej będzie użytym wyraz p r z e b a c z a ł a na miejsce d a r o w a ł a.

Wiersze następne:

1. *Wreszcie zrywa się, wstaje, stawi błędne stopy —*
2. *Naprzód słyszy skrzyp łoża, kotar szelest głuchy —*
3. *Bo próżny odgłos sławy żyć podług swej woli —*

nie mają harmonii: sześć wyrazów dwuzgłoskowych, ciągiem po sobie następujących, niemiłe czynią wrażenie i sprzeciwiają się harmonii języka.

Takoż wiersze następujące:

Wiadomo jak nas látem udręcza skwar srogi,
Gdy słońce prosto z niebios wyrzuca pożogi,
Wtenczas kiedy noc zwykle kobity zachwyca,
Lubią one oglądać bladą twarz księżyca —

nie wyrażają tego, co w oryginale i nie robią tak dobrego przejścia do mówienia o córce.

W oryginale jest:

Vous savez qu' en été les ardeurs du soleil
Rendent souvent les nuits aux beaux jours préférables;
La lune fait aimer ses rayons favorables;
Les filles en ce temps goûtent peu le sommeil.

Ale za to są piękne wyrażenia i prawdziwie poetyckie i liczne, np. pierś częstym mordować westchnieniem, lub —

Gors śnieżny jak alabastr sztuką utajony
gdzieniegdzie z pod zazdrosnej wyglądał zasłony.

Cały początek dziwnie jest piękny, rymy zaś wszędzie są wyborne.

Autograf niepodpisany. Autorem rozprawki jest Bruno Suchecki. „Anielę" czytał Mickiewicz Filomatom 25. XI. 1817 roku. Suchecki recenzję odczytał na tym samym posiedzeniu (*Mater. do hist. Towarz. Filomatów*, t. I., str. 35).

Tekst *Pani Anieli* ogłosił prof. Czubek z kopii Józefa Jeżowskiego w *Poezji Filomatów*. Mickiewicz, być może pod wpływem recenzji Sucheckiego, wprowadził do swojego poemaciku pewne zmiany. Dwuwiersz zganiony przez krytyka otrzymał brzmienie następujące:

Więc mężczyznom powolna, kobietom niesroga
Grzech bliźni odpuszczała dla miłości Boga.

Poprawił też poeta i ten czterowiersz, który Suchecki cytuje w oryginale, i nadał mu formę bardziej do francuskiego wzoru zbliżoną, a mianowicie:

Wiadomo jak nas latem skwar udręcza srogi,
Gdy słońce ciężkie sypie na ziemię pożogi,
Wtenczas noc zwykle młode kobiety zachwyca,
Lubią one oglądać itd.

W trzech dalszych zganionych wierszach Mickiewicz również poczynił poprawki. W pierwszym — *błędne plącze stopy;* cały drugi wiersz przerobił na — *naprzód słyszy skrzyp jakiś, jakiś szelest głuchy;* trzeci zupełnie skreślił.

RECENZJA PIEŚNI PIERWSZEJ POEMATU POD TYTUŁEM „KARTOFLA"

Wewnętrzna zaleta poetyckiego dzieła polega na doborze przedmiotu i na jego traktowaniu, zewnętrzna zaś na zażyciu tych wszystkich środków, jakich styl poezji właściwej dostarczyć może do upiększenia przedmiotu. Pod tymi dwoma względami uważać będziemy poema, którego pieśń pierwszą na przeszłym czytaliśmy posiedzeniu.

Ile możemy z części wnosić o ogóle, zdaje się, że to poema dydaktycznym być musi, w którym autor ma opisać odkrycie, uprawę i pożytki kartofli! Poemata tego rodzaju ratują się od suchości, towarzyszącej wykładowi naukowemu, okrasą stylu, a szczególniej epizodami; a jakkolwiek te ustępy mogą mieć z przedmiotem związek, wszakże dlatego niezupełnie zdaje mi się, ażeby przedmiot sam miał być zaniedbany. Jak wiele tu z pieśni pierwszej dowiedzieliśmy się o kartofli, rozbiór układu pokaże. Poeta chciał śpiewać rośliny i już piękną apostrofą zaczął ich pochwałę, gdy kartofli głosem z pieca upomniany, ku niej zwraca swoje pienia i to o niej powiedzieć przyrzeka:

Powiem twą kraśną postać, różność twojej farby
I nad zwierzchnią ozdobę droższe wnętrza skarby,
Powiem jako przedziwnym znaleziona cudem
I w niebach spór zapalisz i pomiędzy ludem.

Jak stąd krwawe potyczki, jak wystawne bale,
Jakie morza i jakie odwiedzono fale.
Ile krain bolesnych, ile panien jękło,
Ilu mężów zginęło, ile butlów pękło.

Te wszystkie obietnice tyleż zapewne wyrodzą ustępów, wśród których — lękać się trzeba — aby kartofla nie utonęła.

Widzimy to na układzie tej pieśni, bo za pomienionymi wyżej częściami następuje opis Ameryki, do których [sic!] bogów pogańskich autor zgromadza, i wyprawy Kolumba, przerwanej fortelem Neptuna, a dokonanej po odbytym sporze w niebie między świętymi. W całym tym przeciągu kartofli opis ledwo 20 zawiera wierszy, który złączony z ich pochwałą każe nam te ustępy uważać za ustępy; bez nich albowiem kartofla byłaby bohaterem poematu i głównym działaczem. Wynalezienie tych ustępów dla związku, jaki zachodzi z przedmiotem, jest szczęśliwe i zupełnie odpowiada przepisom sztuki, spojenie jednak ich z sobą zdaje się mniej być trafne dla rozdwojonego miejsca akcji; dowodzi tego dwukrotne powtórzenie jednostajnego przejścia:

Tymczasem ów tworzący jedną mocą słowa
Zwołał do gmachów lanych z złotego obłoku
Niebianów...

I w drugim miejscu:

Tymczasem niewiedzący o tej losu zmianie
Wpośród morza przykuci tkwili Kastyllanie.

Ale nie tylko akcji miejsce jest podwójne, owszem troiste, bo naprzód w Ameryce, gdzie bogów pogańskich siedlisko, w niebiosach, gdzie święci, na morzu, gdzie Kolumb się znajduje, z tego jak mi się zdaje nieprzywoicie czytelnik przenosząc się z poetą, gdy jednym jest zajęty, o drugim zapomina. Moim zdaniem Kolumb powinien być główną osobą w ustępie i wszędzie tak sławiony, aby czytelnik nigdy o nim nie zapomniał.

Na tym moglibyśmy skończyć co do wewnętrznych, jak wyżej powiedziałem zalet, lecz jeszcze jedną niech mi wolno będzie przyłączyć. Autor w jednym z poprzednich pism swoich dał nam poznać myśli względem zastąpienia świętymi działaczów mitologicznych i tym sposobem usunąć zawadę powszechnie okrzyczaną w obraniu środka za machinę poematów epicznych. W tym dziele uskutecznia to niejakoś, sławi niebianów, „których ziemia powierzona oku", jako poradników Boga, jako ludzi wyższymi opatrzonych przymiotami wszechmocności, przewidywaniem przyszłości itd. Piękne, bez wątpienia, życzenie i gdyby przez nie można było okupić z niewoli poemata bohatyrskie godne uwielbienia, lecz szkoda że duchowi naszej religii przeciwne. W Grecji bogi, półbogi były to istoty wyższe ludzkimi namiętnościami obdarzone i ich systema wiary, bodaj czy nie przez poetów utworzone, dopuszczało takich mniemań; chrześcijanie, którzy się szczycą wyższym swej religii początkiem, jednego

Boga za Stwórcę i Władcę uznają, świętych nie mogą za pomocników boskich uważać. To nawet, że się do nich modlą, szukają ich opieki jest wyobrażenie fałszywe, niezgodne z układem wiary naszej. Święci są jedynie wzorem do naśladowania, przez Kościół wystawionymi [sic], i tak jakby można za wzór życia obrać Katona, Sokratesa, lecz lepiej się godzi obrać świętego Tadeusza, Andrzeja etc. Zmiana w opinii, której by poeci mogli dokazać, prowadziłaby do zmiany wielkiej i szkodliwej.

Przejdźmy do zewnętrznych zalet, których szukać należy w obrazach, języku i wierszowaniu. Tu wszystko się zbiega na sławę autora i nic prawie na przyganę znaleźć nie mogliśmy. Widać wprawę malarską i wielką poprawność w doborze obrazów. A język wszędzie mocny i zwięzły stanowi jakby osobny charakter poezji autora; wnosić z niego można o oczytaniu się z poetami wieku złotego naszego. Wówczas formował się on na wzorach Greków i Rzymian, a dziś zamiast pomykania dalej za tymi mistrzami, takeśmy uwięźli na próżnych sporach i na naśladownictwie francuskiego *faux brillant*, że gdy język za miarę oświecenia uważać zechcemy, wypadnie powiedzieć, żeśmy nic z tych korzyści, jakie europejska oświata od 16 wieku odniosła, myśmy nic nie przesadzili na ojczystą ziemię. I tak autor nasz jest wyższy w tym względzie od wszystkich współczesnych pisarzy, że go z żadnym porównać nie możemy. Dla prozy wiele się przysługuje Śniadecki i będzie pisarz epokowy, byle tylko jego szumność i nadętość nie znalazła naśladowców, jak to było z Tomassem we Francji. W poezji ukazał się Trembecki i obok niego można stawić autora naszego.

Któż sobie nie przypomni śpiewaka „Zofiówki" za przeczytaniem tej mowy Neptuna, która mi się zdaje być miejscem najpiękniejszym w całym poemacie. Jak dalece zaś ten język pomógł autorowi w ozdobieniu dzieła — można łatwo poznać z porównania opisu niebezpieczeństwa Kolumba, naśladowanego z pieśni 6 poematu Delilla „Les trois Règnes de la nature". Czytając francuski oryginał po przeczytaniu polskiego naśladownictwa, zdaje się, że prozę czytamy. A lubo nasz autor różni się od Delilla śmiałością w myślach (tamtego bowiem czułość i delikatność jest udziałem), wszakże trzeba by się wyprzeć prawdy, iżby w tym i językowi przewagi odmówić. Ten wiersz francuski:

Dans la voile pendante aucun vent ne frémit

słaby jest obok polskiego:

Żaden wietrzyk nie igra po obwisłem płótnie.

Dalszego opowiadania trudności pokonane są pomyślnie, wyjąwszy że gdy nadto często spotykać się daje:

Gdy zna, że losy świata od tego zawisły...
A gdy u granic stanął...
Gdy wczora nagle strząsł się kryształ...

Gdy się tak pierwszych radców zdania...
Gdy się tak mnoga korzyść w lewą szalę tłoczy...
Gdy Dominik owocu dziwną wyjął postać...
Wtem z radością młodzieńcy...

tym gorzej, że to są wszystko przejścia. Nie wiem też, po co autor w mowie powtórzył to, co było w opowiadaniu wprzódy powiedzianym.

Niektóre jeszcze pomniejsze wytkniemy uchybienia. Wierszowanie w ogóle jest płynne, prócz dwóch słabych rymów: b a l e — s a l e i kilku wierszy, dwuzgłoskowymi wyrazy przeciw harmonii grzeszących, nic się do zarzucenia nie znalazło. Wszelakoż pod tą płynnością kryje się praca nie na wymuskanie, lecz na urobienie wierszów łożona.

Autograf niepodpisany. Autorem recenzji jest Franciszek Malewski. *Kartoflę* czytał Mickiewicz Filomatom 4. II. 1819, recenzję powyższą czytał Malewski 16. II. (*Mater. do hist. Towarz. Filomatów*, t. I., str. 233). Myśl „zastąpienia świętymi działaczów mitologicznych" wysunął Mickiewicz w *Uwagach nad Jagiellonidą*.

T h o m a s A n t o i n e L é o n a r d (1732—1785) poeta francuski, autor pompatycznych i bardzo czytywanych *Eloges*.

UWAGI NAD WIERSZEM „WARCABY" DO HIERONIMA PISANYM

Wiemy, że przedmiotem dzieł dydaktycznych są prawidła jakiej nauki, bądź w sposobie poważnym, bądź żartobliwym opiewanej. Trudny to rodzaj pisania. Suchość bowiem, jaka pospolicie towarzyszyć zwykła i nauczeniu czego i uczeniu się, jest od niego nieoddzielną. Potrzeba więc szczęśliwego talentu, ażeby nudne z siebie rzeczy okrasić, miłymi dla gustu i dla pojęcia uczynić, a nadać im kształt przyjemnej zabawy. Jeżeli w innych rodzajach poezji — to w tym szczególnie potrzebna jest trafność w wybraniu myśli ważniejszych i interesujących; bogactwo kolorów, którymi się rzecz maluje, uprzejma słodycz i wdzięk, które niewolniczo pociągają zwabione uczucia, tak ich umieją podległość utrzymać, iż czytelnicy nie spostrzegą, jak się i z nauką poznają, jak się i zabawią. Gdy tak jest, nie biorą się suche szczegóły żadnego wdzięku, żadnej uwagi nie mające do składu takich poematów, lubo imaginacja obfita i im by jakążkolwiek uprawę nadać mogła. Nie znalazłby ogrodnik w Delilla „Ogrodach" podanych sposobów jak szczepić, jak oczkować. Nie są to traktaty naukowe, są to poemata. Poema jest nic warte, gdy nie bawi, nie włada i nie podnosi uczuć, nie podoba się. Zostawuje się prozie opowiadanie gruntowne nauki, dydaktyczny zaś wiersz chociaż naukę ogłasza, [ogłasza] ją raczej dla pokazania jej piękności i użyteczności, niż dla dokładnego jej wpojenia. Czytają dydaktyczne poemata i ci, którzy nauki opiewanej powziąć nie mają na celu, czytają tylko dla zabawy. Niejeden Rzymianin, siedzący w pałacach, rozpływał się nad pięknością „Georgik" Wirgilego, chociaż nigdy może w ul nie zajrzał. Nauka więc, jaką podobne dzieła za przedmiot biorą, osobnego im rodzaju nazwisko poezji nadaje, a postać, w jakiej zawsze powinna być wystawioną, kładzie ją w rzę-

dzie dzieł poetyckich. Że się zaś poważne i żartobliwe traktować mogą przedmioty, stąd pochodzą dwa rodzaje dzieł dydaktycznych, a do żartobliwych i poemko o „Warcabach" należy.

Rzecz sama z siebie małej wagi, jaką jest granie w warcaby, w opisaniu nie mogąca się podobać, jak tylko uosobowaniem cząstek tę grę składających, ozdobiona barwą poetycką staje się wcale przyjemną, a traktowana ujmującym, nierozwlekłym, nienudnym sposobem, pokazuje jej wydanie z gustem i znajomym talentem.

Zaczyna poeta „Warcaby" od opisania powabów wiosny i zachęcając Hieronima do porzucenia zagłębiania się w prawniczych foliałach, a na czas słoty woła do gry w warcaby. Zachwala ją, lecz Hieronim mało ją ceni; opiewa więc poeta wartość, opisuje skład tej gry, potem różne grania zwyczaje, każdego z nich zalety, nareszcie jakie miejsca w graniu wybierać, jakich się chronić, jakie w nich się odnoszą pożytki lub szkody, a ganiąc tych, którzy z nic wartym a długim namysłem grają i tych, którzy bez żadnego a płocho, chwali [tych], którzy z rozwagą niepłonną, a wykonaniem rychłym grają; kończy przez zwrot do Hieronima, że on także bez wątpienia będzie .

Lubo szachy mają tyle rozmaitości w swoich królach, królowych, popach, rycerzach itd., przecież warcaby nasze, składające się tylko z pionków i dam, przenoszą „Szachy" Widy w opisaniu samego składu gry. Mamy w „Szachach" posyłane ich opisanie przez króla Tarresa dwum współzalotnikom, ubiegającym się o rękę jego córki, którzy grając w nie mają rozstrzygnąć swe losy. Opisanie to, którem czytał w tłumaczeniu Kochanowskiego, zaleca się samą tylko prostotą, opisanie zaś składu warcab, oprócz wystawy poetyckiej w wydaniu, jest pomimo swojej w osobach rozmaitości, co do kolorowania raczej daleko rozmaitsze i interesowniejsze, a więcej obrotów uczące. Więcej tedy w nim jest nauki, a wydanej tak pięknie, pokazują wyższość nad opisem szachów. Szkoda, że nasz poeta powiedziawszy:

Wido, tak biegle w polskie przestrojony szaty,
Zdarz, niechaj ściśle twego trzymając się toru
Opisom mym udzielę mocy i koloru, —

szkoda, że mając zamiar podobnym trybem opisywać warcaby co szachy (to jest, wymieniwszy pierwej ważniejsze gry prawidła, posadzić graczów, dać im jaki zakład i opisać ich grę), tego nie wykonał. Mówił nam nasz autor, że chciał był te walki wprowadzić, a nawet zaczął opisywać, ale dla niedostatku czasu i innych przeszkód, poniechał swego zamiaru. Lecz dobrze by się było zająć przydaniem choć później opisania walki, bo znajoma nam zdatność zaręcza za piękne wydanie; a mamy, ile wiem, w „Szachach" Widy walkę z szachów, i w „Puklu włosów uciętych" grę w lombra, które pokazują, że bitwy takie przy dowcipnym i zgrabnym ich wystawieniu mają wiele wdzięku i przyjemności.

Jeśli mam chwalić poemko o „Warcabach", powinienen bym je całkiem odczytać; czy to myśli, czy to zwięzłość, czy wiersza wewnętrzność lub zewnętrz-

ność weźmiemy, wszystko jest piękne i wspaniałe. Jeśli mam wymienić uchybienia, prócz tych, które wymienię, nie dostrzegłem.

Z odmrożonych ziemic, „odmrożone" znaczy to co zmarzłe, tu położone za „uwolniony od mrozu", tak kłaść nie godzi się.

W cnotliwych oczach inne gry mają powaby,
Przemyślna wojna, szachy i krągłe warcaby.
Że nie znając, wysokiej ubliżasz ich cenie,
Pozwól, niechaj ci główne prawidła wymienię.

Zdaje się, że mają się prawidła wojny gry, szachów i warcab opisywać. Trzeba by powiedzieć, że samych warcab; bo nie przeczytawszy tytułu „Wierszyk o warcabach", nie posądzim raczej z przytoczonych wierszy, jak tylko, że te trzy rodzaje gry ma opisywać poeta.

I w miejscach opisanych rozsądź na przemiany...

Za co „opisanych", kiedy nie są miejsca opisane, chyba drogami przecinającymi się — ma to znaczyć — określone.

Pułk chce się z pułkiem zetrzeć...
Każdy [pułk] na czoło jednym występuje krokiem...
A skoro z tyłu za nim [rycerzem] próżny plac odkryje,
Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.

Mniemamy, że pułkiem mogą się zwać wszystkie razem wzięte warcaby, a przynajmniej każdy rząd warcab ustawionych, i mniemać musimy, że cały pułk ucina szyję jednemu przeciwnikowi. Czy jedno, czy drugie lepsze mniemanie — z tym wszystkim każdego pieszka (o ile powiedziawszy, że każda strona ma dwunastu rycerzy i nazywając przeciwnika rycerzem) pułkiem zwać nie wypada, a cały rząd warcab niepotrzebny na jednego pieszka zabicie.

Co wprzódy stąpał pieszo, dziś po całym szlaku

(to jest rycerz, który dostanie damę)

Wprzód i w tył, w lewo, w prawo hasa na rumaku.
Jeśli mu jakiś śmiałek waży się wejść w oczy,
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.

Nie mówi nam poeta z początku o rodzajach grania w warcaby; nie mówi, jaki rodzaj opisywać przedsiębierze, podaje tylko wiadomość o składzie gry warcabnej, lecz w przywiedzionych wierszach pokazuje się, że o hiszpańskiej pryncypialnie myśli.

Czy nie warto więc, by tej o damie wiadomości do następnego miejsca, gdzie się damy kastylskiej wymieniają przymioty, odnieść, a to byłby jej najpierwszy

(hasa po całym szlaku) przymiot, który w owym miejscu nie tak wyraźnie tłumaczy się.

Dama kastylska w bitwach różnym trybem stawa...

Staje zaś raz na bojowisko i pastwi się okrutnie, drugi raz zabija i sama ucieka. Hasać po całym szlaku jest przeciwnym damie polskiej przywilejem, chociaż i ona na wszystkie strony chodzić może, ale

...podskoków wyprawiać niezdolna
Równym jak mąż jej krokiem postępuje zwolna.

Polska także dama, kiedy zajdzie kto przed jej same oczy, zaraz go zabija; dopędzić i razem zabić i wnet nazad uskoczyć jak hiszpańska nie może.

Autograf niepodpisany. Autorem recenzji jest Jan Czeczot. *Warcaby* Mickiewicz czytał Filomatom 29. IV. 1819, recenzja Czeczota została odczytana I. VI. 1819 r. (*Mater. do hist. Towarz. Filomatów*, t. I., str. 235). Dzięki przytoczonym w recenzji cytatom możemy ustalić, że poeta wprowadził do swojego utworu znaczne poprawki. Apostrofa do autora *Szachów* otrzymała brzmienie:

Wido, tak biegle w polskie przystrojony szaty,
Zdarz, niech twojego toru idąc wynalazku
Opisom swym udzielę powabu i blasku,

Strofa zaczynająca się od słów: „w cnotliwych oczach"..., przytoczona przez Czeczota, w druku otrzymała zupełnie inne brzmienie:

Franciszku, sercem czuły a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nie masz dla Warcaby względu.
Pozwól, niech tobie gry tej prawidła wymienię,
Bo tamtej jedno kiedyś nauczy spojrzenie.

Vida M. H. (1480—1566) — humanista i poeta włoski, autor poematu o grze w szachy pt. *Scacchia ludus*, którego parafrazą są *Szachy* J. Kochanowskiego.
Delille Jacques (1738—1813) — poeta francuski, autor bardzo popularnych poematów opisowych, jak *Les jardins, l' Homme des champs.*

RECENZJA „PRZECHADZEK WIEJSKICH"

Przejdźmyż teraz do uwag nad pismem autora. Ażeby zaś te uwagi zrozumiane, a stąd i sądzone były — samo pismo wprzódy dostatecznie objęte być powinno i dlatego, nim do uwag przystąpimy, główniejsze myśli autora, w jednym połączone obrazku, wyłożyć czuję potrzebę.

Zamierzywszy autor mówić o piękności, uważa naprzód, że piękność oceniana [jest] przez uczucie; dla poznania zaś, co jest uczucie, doznaje potrzeby porównania istot czujących z nieczującymi, że zaś znowu nie wszystkie istoty czujące mogą czuć piękność, stąd nowy między istotami czującymi podział. Tym więc sposobem istoty żyjące i martwe, świat cały na uwadze autorowi stanął. Świat ten ma się składać z materii, sił i fenomenów. Materia sama przez się trwać by nie mogła, połączona z siłami w różnym kierunku działającymi,

składa ciała martwe. Do materii i sił prostych dodana siła organiczna tworzy rośliny, porusza nimi, karmi ich i czyni żyjącymi. Rośliny więc różnią się od ciał nieorganicznych [tym], że mają siłę ożywiającą, że mają całość, której ciała nieorganiczne są pozbawione.

Dla tej to całości, uszkodzona roślina psuje się, który fenomen cierpieniem rośliny nazywamy i czucie przyznajemy, gdy tymczasem roślina czucia nie potrzebuje i nie ma, bo skaleczenie i niszczenie rośliny jest prostym siły ożywiającej zniszczeniem. A jako siła organiczna rośliny do jednego miejsca przywiązane sama karmi i zachowuje, tak u zwierząt do miejsca nieprzywiązanych wola tę samą funkcję sprawuje. Wola ta zamieniona na wolną wolę jest udziałem człowieka i od zwierząt go różni. W jakim zaś porządku rzeczone siły po sobie następowały, w takim porządku na odwrót jedna siła rządzi drugą: wola organizacją — organizacja siłami prostymi. Ale jakimże sposobem wola prowadzi zwierzęta do wybierania pokarmów, mianowicie zaś do rozróżniania pożytecznych od niepożytecznych. Na wytłumaczenie tego, powiada autor, pospolicie przypisują zwierzętom szczególną władzę, instynktem zwaną, co nie jest rzeczą potrzebną, ponieważ bez przypuszczenia instynktu rzeczone ocenianie pokarmów wytłumaczyć się daje, i tłumaczy je autor przez ustawiczne doskonalenie zmysłów zwierzęcych i stowarzyszone ich działanie. Jakoż na tym doskonaleniu zmysłów w szukaniu i ocenianiu pokarmów, tudzież na unikaniu niebezpieczeństw całe życie zwierząt, całe ich przyjemności zależeć mają.

Do zmysłu smakowania odnoszą się prawie wszystkie przyjemności; do konieczności unikania niebezpieczeństw odnoszą się rozkosze popędu płciowego, to jest zwierzęta szukają rozkoszy dla uniknięcia dolegliwości, która by inaczej koniecznie nastąpić musiała.

Gdy zaś wszystkie przyjemności zwierzęce na zmyśle smakowania polegają, zdało się autorowi dłużej nad nim zastanowić; pokazuje, że zmysł smakowania jest „najgłówniejszym i najpotrzebniejszym dla zwierząt zmysłem", wszystkie zaś inne stają się mu tylko w prędkim ocenianiu pokarmów pomocą. Wola, przewodnicząc zwierzętom w smakowaniu pokarmów, odznacza się bardziej jeszcze w sposobności odróżniania pożytecznych od niepożytecznych pokarmów.

Sposobność tę, powiada autor, przypisują pospolicie osobnej władzy instynktem zwanej, której zaprzecza, ocenianie zaś rzeczone pokarmów tłumaczy przez doświadczenie zmysłami odbywane; że zaś nie widzimy, ażeby zwierzęta dla doświadczenia na kamienie i drzewa się rzucały, pochodzi to ze wczesnego zmysłu doskonalenia i stowarzyszonego ich działania tak dalece, że o użyteczności pokarmów wprzódy zwierzęta od zmysłów ostrzegane bywają, nim by doświadczenie nastąpić mogło.

Z uwag nad zmysłem smakowania wynikło naprzód, że wielkość i małość ciał jest dla zmysłu smakowania obojętna, po wtóre, że dla zmysłu smakowania wszystkie przedmioty nie są obojętne. Pominąwszy zaś różne niepewne zmieszania względem sposobu, jakim ciała na zmysł smakowania działają, przychodzi do ważnego zapytania, czyli wrażenia na zmyśle smakowania sprawiane przypominane być mogą? Po zastanowieniu się poprzedniczym nad sprawami przy-

pominania wypadło, że zmysł smakowania sam przez się bez pomocniczych zmysłów przypomnienia obudzić nie może i że to przypominanie jest nieczęste, trudne i słabe, i że nareszcie wszystkie zwierzęce przypomnienia są mimowolnym skutkiem jednej tylko potrzeby, to jest głodu.

Skończywszy autor ze zwierzętami, przechodzi do człowieka: uważa go w stosunku z całym światem. Stosunki człowieka z otaczającymi przedmiotami są takie, iż go przedmioty w stan zajęcia wprowadzają, rzadko zaś i niedługo zostawiają w obojętności. Stan zajęcia znowu dwojaki: przyjemny lub nieprzyjemny. Użycie z tego względu zmysłów porządkuje autor dwojako: do powzięcia wyobrażenia o przedmiotach zmysł dotykania najpierwsze zajmuje miejsce; do sądzenia o wielkości złożonej z części, widzenie najlepiej, smakowanie najmniej sposobne. Przedmioty na zmysły działające, składają się z pierwiastków, których są trzy rodzaje: atomy, kolory, tony. Rozmaitym sposobem zmysły o zbiorze takowych pierwiastków sądzą: przyjemne lub nieprzyjemne przedmiotów działanie pochodzi z dwojakiego rodzaju skombinowania tych pierwiastków; kombinacja znowu dzieje się dwojakim sposobem: według sił prostych i według proporcjonalnego pierwiastków założenia. Przedmioty złożone z pierwiastków według kombinacji sił prostych, działają na zwierzęta; złożone według proporcjonalnego pierwiastków połączenia szczególniej człowieka zajmują. Człowiek nadto jest zdolny czynić kombinacje według własnego upodobania, zdolny pierwiastki nowym sposobem układać, stosownie naśladować i stąd powstają sztuki piękne.

Ten jest rys nauki, który nam autor podaje w pierwszej rozmowie o piękności . . .

Następnie w rozbiorze swym cytuje Jeżowski, oznaczając cudzysłowem, następujące zdania wyjęte z „Przechadzek wiejskich“:

1. Wola organizacją rządzi.

2. Wola zwierząt rządzi siłą organiczną jednym tylko sposobem, to jest: pędząc zwierzęta ku materii, każe tej sile za pośrednictwem sił fizycznych chwytać materię, że zaś ta wprowadzona osłabia lub niszczy siły proste, a stąd i siłę ożywiającą, a wprowadzenie materii zależy od woli, zatem wola modyfikuje pośrednio rozmaitym sposobem siłę organiczną.

Autograf niepodpisany. Autorem recenzji jest Józef Jeżowski. „Przechadzki wiejskie. Rozmowa pierwsza: O piękności“ czytał Mickiewicz na posiedzeniach w dniu 1 i 17 listopada 1818 r., recenzja Jeżowskiego została odczytana 24. XI. i 12. XII. (*Mater. do hist. Towarz. Filomatów*, t. I, str. 231—232). Ponieważ autograf został podpisany tylko w części dotyczącej Mickiewicza, reszty obszernej recenzji Jeżowskiego, podającej przede wszystkim jego własne poglądy psychologiczno-estetyczne, nie jesteśmy w możności ogłosić.

JULIAN PRZYBOŚ

SŁOWO OSTATECZNE

Pisz tak, jakby słowa miały być ostatnimi twoimi słowami, jakbyś pisał testament, pisz tak, jakbyś miał za chwilę umrzeć. Takiego nakazu dosłuchać się można w mowie wielu poetów. Tylko słowo zaświadczone całym życiem, słowo-testament czynu, wznosi się do godności tej poezji, co ma przetrwać czas teraźniejszego jego brzmienia. I tylko do poetów mówiących takimi słowami zwraca się po wiatyk człowiek w ostatniej próbie swojego człowieczeństwa.

Nie było żarliwego Polaka, który by czasu minionej wojny nie został poddany tej próbie. Jakie słowa go koiły i gotowały na śmierć, jakie zdania umacniały go na męczeństwo? Tych, którzy odrzucili łatwą ułudę pociechy religijnej, podtrzymywała i zbroiła wiara patriotyczna, wiara w naród, w jego nieśmiertelność. Wiarę tę wyraził w słowach ostatecznych, prawdziwych tak, jakby były pierwszymi i ostatnimi na ziemi — Mickiewicz. Największy obok Chopina z czujących Polaków.

Cały naród stał w obliczu śmierci, bardziej bliskiej niż za życia twórcy „Dziadów" po klęsce jego pokolenia. Znów jak refren hymnu narodowego powtórzył się los pobitych, lecz zbrojących się i znów powstających. Tak, Mazurek Dąbrowskiego najprościej streszcza istotę naszego losu w ciągu dwóch wieków prawie: niekończącą się walkę o odrodzenie i wolność. W rytmie powstań i klęsk działa się także poezja narodowa; gdy wojsko składało broń, poezja podejmowała walkę napowietrzną. Nie było dla niej „cienia i pogody", marzenie o chlebie przecinał nie sen, lecz jawa obnażonej do boju szpady, okrzyk: jeszcze nie zginęła! Ta odwieczna piosenka żołnierska wydawała się w okresie dwudziestolecia nieaktualna i żenująca; nie zdążono jednak ułożyć nowego hymnu państwowego, gdy jesień 39 roku wyrwała z milionów serc ten sam głos żołnierskiej woli: póki my żyjemy.

Poeta martyrologii narodowej też wydawał się nieaktualny. Trzecia część „Dziadów", a zwłaszcza wiersz „Do matki Polki" — pamiętam o tym głosy przedwojenne — budziły bolesną wstydliwość. I pamiętam najciemniejszą noc wigilijną w życiu, noc 1942 roku — po unicestwieniu ghetta, — kiedy powszechnie ogół Polaków oczekiwał „dalszego ciągu" i zbroił się gorączkowo, by umrzeć z bronią. W tę rocznicową noc, noc urodzin poety, przeczytałem

sobie i najbliższym „Do matki Polki" i opowiadanie Adolfa o Cichowskim. Ze straszliwych wierszy biła ponad grozą i okrucieństwem prawdy, ujawnionej w piorunującej jasności widzenia — moc, niezwyciężona wola. Moc straceńców i bohaterów. Ci pierwsi budziciele do walki, młodzi chłopcy warszawscy, o których napisano w książeczce-nekrologu, że byli jak „kamienie na szaniec" — to ucieleśnione duchy tych wierszy. Ci, którzy powtórzyli beznadziejną walkę powstańczą w stolicy — uwiedzeni i oszukani — byli z ducha tych wierszy. Umierali bez nadziei zmartwychpowstania.

Ale pamiętam inne słowa, które hartowały myśl i wolę tych, co z walką o niepodległość wiązali zawsze walkę o sprawiedliwość społeczną: „Przyznajecie, że istnieją tylko niewolnicy i ciemięzcy, ofiary i katy; a chcecie uszczęśliwić ludzkość przez wprowadzenie harmonii między dobrem i złem?" To zdanie, wywieszone u wstępu na wielką wystawę mickiewiczowską we Lwowie 1940 roku, objawiało nam i dopełniało tego Mickiewicza, który wiódł wyobraźnie i patriotyczne serca Polaków i uzasadniał ich ostatnie chwile w czasie wojny. „Największy z czujących", on, który zmagał się o samą zasadę istnienia narodu, był w tych okrutnych czasach najprawdziwiej współcześnie obecny. Mieścił się obok niego i dzielił z nim naszą wiarą tylko Chopin, równie jak on czujący, lecz większy odeń, doskonalszy twórca. Chopin i Mickiewicz byli organizatorami naszej wyobraźni zbrojnej. I jeśli muzyka Chopina zbroiła nas moralnie w ukryte wśród róż armaty, okrutne słowo mickiewiczowskie było jak bagnet w natarciu.

*
* *

Wielkich poetów poznajemy tak, jak uczymy się nowych języków. I łatwiej nieraz opanować nieznany cudzoziemski język, niż poznać w ojczystej mowie wszystkie tajniki języka poety, języka osobnego, choć wynikłego z pospólnej mowy. Nie wielu danym jest stworzyć w zakresie języka ogólnego taki swój własny, żeby się uogólnił. Zazwyczaj poeci odgraniczają się, a nie otwierają dla ogólnego nurtu mowy. Mówi się wprawdzie o prawodawstwie językowym poetów, ale rozumie się zazwyczaj przez to pewien styl lub zasób nowych słów. Tylko najwięksi tworzą nie tylko swój ale i wspólny nowy język, nie tylko ich, ale i nasz. Mickiewicz to nie tylko twórca romantyzmu polskiego i poeta narodowy — to nowy język języka polskiego.

Każdego oryginalnego poetę o zarysowanym wyraźnie stylu własnym łatwo poznać. Wystarczy zacytować parę zdań ze Słowackiego, Norwida czy Wyspiańskiego, żeby odgadnąć, od którego z nich pochodzą. Ale cytaty z Mickiewicza dojrzałego (zapomnijmy, że znamy je na pamięć), są tak naturalne, tj. są samą naturą języka, że odróżnić je — jeśli pominiemy różnice czasowe, starość stuletnią słów — od ogólnego charakteru języka nie podobna. Świadczy to nie tylko o tym, jak głęboko oddziałał Mickiewicz na codzienny język następnych po nim pokoleń. Mickiewicz stworzył w języku polskim jak gdyby uniwersalny język poetycki.

Powiem, co wyglądać może na paradoks, a co jest głęboko odczutą rzeczywitością. Jeśli z dzieł twórców oryginalnych, ostro zarysowanych, wystarczy nieraz zacytować jedno nieznane zdanie, a nawet tylko część zdania, frazę, zespół paru słów, aby zgadnąć nieomylnie; kto jest ich autorem — to, aby poznać Mickiewicza, wystarczyłoby — jedno słowo, jedno samotne słowo, takie samo jak w mowie wspólnej, zwykłe słownikowe słowo, jeśli by je wypowiedzieć tak, jakby się przysięgało na oczywistą, choć nieujawnioną jeszcze nikomu prawdę.

Czy mnie rozumiecie? To jest jedyny, niespotykany u nikogo sekret mickiewiczowskiego geniuszu pisarskiego: mówi słowo, zwykłe, przez zużycie odwyraźnione słowo, a słowo to, — samo przez się, bez wsparcia innych, samo z siebie promieniuje poetycko. (Powtarzam, zwykłe, powszechne słowo, bo po słowie szczególnym, ulubionym, manierycznym, jak np. „mocarny", „dziejba", można poznać stylistów jaskrawych, jak Wyspiańskiego, Leśmiana). Ten największy polski człowiek słowa pod koniec swojej działalności lekceważył słowa, widząc w nich tylko chęć, a nie potęgę, zamilkł. Mógł się wyrzec słowa, bo było dlań aktem prawdomówności tak czynnej, że nawet gdy milczał, nie przestawał być poetą. To człowiek, który nie bywał, lecz był poetą. Pragnę być ścisły. Jeśli stwierdzeniom niektórym nie mogę dać gruntujących ich argumentów, to dlatego, że pewne sprawy pierwiastkowe poezji nie dadzą się umotywować. To bezpośrednie dane świadomości poetyckiej, doświadcza się ich lub nie, to wszystko.

Czy to jest tylko sprawa tzw. celności wyrazu, doboru słów najtrafniejszych, zamykających najkrócej a najkrąglej rzecz. Wydawałoby się, że to poczucie poetyckiej jedyności mickiewiczowskiego słowa wynika z realistycznego widzenia, z dokładności obserwacji, z tego, że słowo i zdanie przylega najściślej do przedmiotów i spraw. Ale zbyt wiele można przytoczyć przykładów świadczących u Mickiewicza przeciw naśladowczej wierności wobec natury. Wrażenie nasze można by tłumaczyć tym, że obeznani z wielką skalą form jego języka artystycznego, zdajemy sobie sprawę, czytając jakikolwiek nawet najbłahszy utwór Mickiewicza, iż jako poręka stoi za nim ogrom językowego osiągnięcia poetyckiego. Ale jak doszedł do tego sam Mickiewicz, do tego, co jest czymś więcej niż dokładna przyległość nazwy do rzeczy? Jak doszedł do aż takiej granicy poetyckiego mianowania rzeczy, że nazwane przestawały być napomknięciem dla fantazji czytelnika, a stawały się czymś równie dotykalnie materialnym, jak rzecz którą wskazywały?

Są to słowa — syntezy. Czytając dojrzałego Mickiewicza odczuwamy, że spośród wielu możliwych określeń jakiegoś faktu wielu możliwymi słowami i zdaniami, nie wybierał jakiegoś jednego słowa, ale jakby sporządził wyciąg z tych wszystkich możliwych. Poza słowem mickiewiczowskim drga, jak tło żywo jeszcze odczuwalne, rój wszystkich innych możliwych zastępczych słów. Tak jak w przedstawianiu rzeczywistości nie trzymał się naśladownictwa szczegółowego, lecz tworzył obrazy prawdziwsze niż naiwna wierność szczegółów, obrazy ogólniejszej prawdy, tak oczyszczał słowo od do-

raźności, poszerzając je intencjonalnie po wszystkie związane z nim możliwości znaczeniowe. Bocian rozpina skrzydła białe na tle wiosny. Słowo mickiewiczowskie też przybiera barwę wszechuzupełniającą się innymi, domyślnymi kolorami słów pokrewnych.

Nigdyż więc, nigdy ciebie zapomnieć nie mogę!

W tym jednym zdaniu ile brzmi domyślnych zdań i słów! I uczucie ogromnego (jak góry, wśród których wyrwał mu się ten okrzyk) zdumienia i granitowej pewności, że tak jest i tak będzie zawsze, i daremna wola zapomnienia i tęsknota, której przestrzeń nie oddala, lecz spiętrza. Powtórzone nigdy — to nie anafora dla retorycznego efektu, lecz echo tego słowa, które mu rozpacz wydarła z serca kiedyś na Litwie, w czasie ostatecznego, zdało się, rozstania. Całe światy wzruszeń i poezji, a wywołane jak? — anaforą, powtórzeniem tego nieodpartego słowa „nigdy" i owym, zdałoby się tak niepoetyckim, spójnikiem „więc" — który z tego zdania czyni wniosek z całej burzy uczuć w niewypowiedzianych lecz domyślnych zdaniach, zdaniach, których domyślamy się jeszcze przed dokończeniem tego jedynego napisanego. I tak zawsze w liryce Mickiewicza: słowo ostateczne, to które napisał, żyje w pośrodku gęstej warstwy tych wszystkich innych, z których poeta je wywiódł.

Nie zawsze łatwo jest ukazać, na czym polega zupełność mickiewiczowskiego słowa; łatwiej wyjaśnić, jak Mickiewicz do niej doszedł, i dlaczego czytelnik tak mocno ją odczuwa. Tylko Mickiewicz posiadał w poezji polskiej tę moc przemieniania, dar materializacji słowa. Doszedł do niej przez olbrzymi wysiłek stylistyczno-językowy. Od początku zaznacza się w jego pisarstwie konsekwentne dążenie do uchwycenia konkretności rzeczy, do języka dosłownego. Praktykowanie w szkole pseudoklasycznej mogło go raczej oddalić od dosłowności. Poeta, tak jak wszyscy inni naśladowcy klasyków, dobierał słowa, coraz to trafniejsze, krążył uparcie dziesiątkiem określeń wokół rzeczy danej do poetyckiego nazwania, aby ostatecznie, do napisania, wybrać jedno z ich wielu. Sądzę, że dopiero w okresie największego wysiłku stylotwórczego w życiu twórczym Mickiewicza, że dopiero w okresie „Sonetów krymskich" doszedł poeta do mistrzowskiego poczucia owej zupełności słowa. Dopiero od tego czasu nie wybiera, lecz przeznacza, niejako deleguje, słowo. Tak rój słów brzęczy wokół tego najważniejszego, królewskiego, i jeśli nawet tego współdźwięku ucho nie słyszy w tekście ostatecznie utrwalonym w wierszu, dobrzmiewa on w atmosferze przyjętego stylu. Przykładów tego zjawiska dostarcza nam prawie każdy wiersz „Pana Tadeusza".

Tak poprzez stały wysiłek stylistyczny, omotując każdą nazywaną rzecz wątkiem niewypowiedzianych lecz odczuwalnych słów, doszedł Mickiewicz do mistrzostwa, tylekroć przez siebie wyznawanego w improwizacjach. Mistrzowi wystarcza jedno słowo, abyśmy posłyszeli dzieje wielu spraw, niemistrzowi i dziesięć słów, którymi stara się osaczyć rzecz, nie nazwie ani śladu tej rzeczy.

Na szczycie wieszczego samopoczucia Mickiewicz wierzy w moc światobórczą poetyckiego słowa-myśli — i przeżywa katastrofę tej wiary. Taki jest sens Wielkiej Improwizacji, którą można uważać także za traktat z dziedziny poetyki i psychologii twórczości.

* * *

Gdy czytamy Mickiewicza i Słowackiego, uderza nas różnica ciężaru gatunkowego słów. Słowo Mickiewicza jest cięższe, nieoderwane od rzeczy. Czujemy, że stawiało ono poecie opór, że doszedł do niego Mickiewicz drogą obserwacji, długiego współżycia z rzeczami. Nie znam tekstu mickiewiczowskiego, w którym by słowo było tak zdematerializowane, jak u Słowackiego. Wystarczy zestawić tekst wizji mickiewiczowskich z wizjami Słowackiego. Niebiański sen Ewy lub sen w Dreźnie („Śniła się zima") jakże są obrysowane statycznymi, wyraźnie odgraniczonymi konturami rzeczy. Płynność i przemienność wizji nie objawia się naszym oczom w bezpośrednim przelewie i przenikaniu się fal wyobrażeniowych. Najbardziej lotne zdarzenia są wyodrębnione jedne od drugich, nie ma wśród nich prądu unoszącego spływającego w jednię rytmiczną wyobraźni.

Zestawmy tekst widzenia Ewy z jakimkolwiek tekstem Słowackiego. Widzenie Ewy — wyliczeniowa konstatacja zdarzeń, które winnyby drgać niezwykłym ruchem cudownego snu. A oto wiersz Słowackiego:

... Bo już ty nie zmyta
Wodą fal, po raz pierwszy, niby Afrodyta
Z morza chrztu i z płodności morza — wschodzisz nowa
Już nie w jagodach z pereł — stworzenia królowa,
Z muszli srebrnej warkocze zwinięte kryjąca
Z genezyjskich roztopów — ręce do miesiąca
Wznosząca... nad oceanu otchłanią pogodną
Rodzisz się po raz pierwszy piękna matka płodna
Rodzajów... już ty jednym Ewianym żywotem
Odgrodzona od morza form, ogniem i błotem
Błyskającego... jednak podziemna kraina
Jeszcze się tobie często we snach przypomina,
Straszy — jak smok na wiatrach odmienia oblicze
Kolory... ty piórka oblekasz słowicze
We śnie... uciekasz przed nim, a mórz cię szyba
Chwyta — ty już rybeczka, a znów wieloryba
Paszcza, wchłonąć gotowa do swego cię łona,
Chwyta czeluść głęboka, — cicha i czerwona,
Czyhająca —

Ileż w tym urywku przemienności wyobrażeń, ile ruchu wyobraźni!

Gdy Mickiewicz tłumaczył muzykę, sztukę rytmu czasowego tylko — używał obrazów-anegdot, lub opisów wydarzeń wcale nie wyrażających istoty mu-

zycznej kompozycji, lecz kojarzonych programowo według tego, co powinna muzyka wyrażać. A Słowacki? We wspaniałym poemacie „Uspokojenie" poruszył mury, w rytmie muzycznej wizji ulotnił je, wyzbył z ciężaru, grał kamieniami. Bo słowo Słowackiego jest lotne jak ów gołąb smutku, co nosi wieści o rzeczach, gołąb wyzbyty ciężaru tych rzeczy. I jakże często to słowo lata tak daleko od swojej treści rzeczowej, że go już nie chwytamy i nie dowiadujemy się, czy niosło doświadczenie, czy tylko oderwaną grę kolorów tęczy nad niedostępną tej tęczy rzeczywistością. Słowo Słowackiego wyzbyte ciężaru rzeczy — buja wszechwładnie w jego poematach mistycznych, nuży czytelnika, bo jest niesprawdzalne często, często nie przystaje do doświadczenia. Nie ufamy nie fantazji Słowackiego, bo łączy ona wyobrażenia zawsze twórczo i niezwykle, lecz —

Czemu więc? Wyobrażenia Słowackiego — czujemy to — jakby przedwcześnie odłączyły się od spostrzeżeń, od surowego materiału widzenia, słyszenia i dotykania. Przemieniły się w obwódki znaczeniowe, niewypełnione miąższem materialnego doznania zmysłowego. Jakże często słowo Słowackiego lśni tylko jak pozłótka orzecha bez pożywnego jądra.

Ciężar mickiewiczowskiego słowa był tak ziemski, że Mickiewiczowi nie udało się ująć wzlotów mistycznych. Pozostały w papierach pośmiertnych próbki — niedokończone, nieudane. Jakżeż dookolnie, opisowo, przykładowo opowiada Mickiewicz widzenie metampsychozy:

I z drzewa wysłużyło już zostać robakiem,
Już świeci się po wierzchu liściem niejednakiem,
Barwistą wróżbą liszki, wierzchołki jak różki
Bodzie w górę i liśćmi przebiera jak nóżki,
Gdy wiatr wionie, że nie wiesz, czy dziecko w kolebce,
Czy gąsienica, szybko mącąca nogami,
Czy wąż . . .

Postawiłbym hipotezę: skoro Mickiewicz zamilkł w okresie towiańszczyzny — w jego ćwiczeniach mistycznych był jakiś fałsz, udanie. Historie z Ksawerą Deybel i inne kompromitujące małostkowe sprawy wskazują na upadek moralny poety.

Słowacki bardzo często przekraczał tę granicę, kiedy słowo waży jeszcze, a kiedy kołysze tylko pustkę. Częstokroć wiersze jego składają się ze słów nieobciążonych każdorazowym doświadczeniem, ze słów poetycznej frazeologii, z tych szarf, diamentów i girland i piorunów, co samym swoim zewnętrznym pojawem mają imitować poezję, tj. doświadczenie fantazji. U Mickiewicza nie ma słowa-bańki mydlanej, pryskającej, jeśli tylko chce się sprawdzić, czy kolor jej jest trwały. Każde słowo, jeśli się powtarza, za każdym nowym swoim zjawieniem się ulega nowemu sprawdzeniu — i dlatego tak zawsze jest rzeczywiste. Po prostu w poezji Mickiewicza nie chwytamy słowa — lecz rzeczy i sprawy wciąż nowe, bo w innym doświadczeniu ukazane.

Oto dosłowność Mickiewicza — wrażenie, więcej, przekonanie, że za każdym słowem stoi fakt sprawdzony wyobraźnią i uczuciem. Wiadomo, jak Mickiewicz nie lubił w poezji krajów nie leżących na mapie i niebyłych zdarzeń. Toteż — jeśli pominąć młodzieńcze stylizacje balladowe, w całości dzieła autora „Pana Tadeusza" mające znaczenie ćwiczeń i poetycznych igraszek — nie spotkamy scen fantastycznych, których nasza fantazja nie przyjęłaby jako widziane. Przypuszczam, że owi „aniołowie schodzący widomie", scena końcowa „Dziadów" części trzeciej itd. — mają swoje pierwowzory w wyraźnych obrazach, oglądanych przez poetę lub wpisanych w wyobraźnię poety z doświadczenia lektury (wskazałbym tu Dantego). Stąd też płynie wrażenie mickiewiczowskiej dosłowności. Nie wiem, jak badacze poezji Mickiewicza (wspominają tylko o weimarskiej historii z pierścionkami dam) tłumaczą wyznania Konrada, że

Ptaki okiem zatrzyma jak w sidle,

że

Kiedy spojrzę w kometę całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy.

To nie są tylko puste, retoryczne przechwałki, hiperbole dla hiperboli, jakieś doświadczenie odpowiadało tym hiperbolicznym obrazom niezwykłej mocy duchowej poety.

*
* *

Przeżyliśmy czasu tej wojny wszyscy moralnie więcej niż śmierć własną. Przeżyliśmy więcej nawet, niż nieogarnioną pomyśleniem grozę zagłady narodu; nie przeżyliśmy — bo takiej grozy przeżyć nie można, nią się umiera — dotknęliśmy tylko, otarliśmy się o ostatni krąg potępienia: wyważono samą zasadę człowieczeństwa. Bohaterowie beznadziejnych spraw, ofiarnicy złudnych i skłamanych idei, nawet szaleńcy fanatyzmu — wszyscy oni mieszczą się jednak w kręgu spraw człowieczych. Nawet zbrodniarze przez to, że czuli iż popełniają zło, lub choćby przez to, że gdy nie mieli poczucia winy, to poczucie winy narzucało im społeczeństwo, nawet zbrodniarze mieszczą się w skali naszego wyobrażenia o istocie człowieka. Lecz nasza wrażliwość moralna nie obejmuje już takich zjawisk jak krematoria palonych żywcem i róże, jak idyliczny morderca dzieci, zatopiony w kontemplacji Mozarta. Nie można pojąć „naukowości" masowej hodowli zbrodniarza, nie tylko wyzbytego poczucia winy, ale przeświadczonego o wyższości kulturalnej, „nadczłowieczeństwie" takiej nieludzkiej postawy.

Możemy pojąć krwawe ofiary ludzkie, dzieci rzucane Baalowi, ale pomyśleć nawet straszno zdrowego, nieobłąkanego, niezboczonego człowieka, godzącego rozumnie, na zimno mord niemowlęcia z sentymentalną miłością do własnej narzeczonej. Czymże jest biblijna rzeź niewiniątek wobec takiej potworności. Oto piekło faszyzmu — otchłań tej zaguby poraża myśl i uczucie pisarza bar-

dziej, niż miliony poległych w walce. Dymy podpalonych stolic nie tak ciężką chmurą zapierają oddech i tłumią słowa, niż ta groza moralna, dla której nie ma nazwy. Wyważone zostały fundamenty natury ludzkiej, nie było w dziejach ludzkości tak burzącego wstrząsu moralnego; słowo nasze cofa się strwożone przed nazwaniem tych okropnych spraw, martwieje myśl, pióro nieruchomieje w dłoni. Wiele jeszcze czasu minie, nim odpręży się słowo i pisarz odważy się zajrzeć w otchłań. Dziś razi nas „literatura", próba artystycznego pracowania piekła okropniejszego, niż ostatnie kręgi dantejskie, wydaje się czymś nieprzyzwoitym, — gdy już suche wyliczenie faktów miażdży. Ale całą problematykę minionej wojny, wszystką okropność unicestwienia człowieczeństwa we faszyzmie musi wziąć kiedyś pisarz na wagę swojego sumienia, musi wymierzyć ostateczną sprawiedliwość widzianemu światu tej wojny.

Po jakie słowo ma sięgnąć, czyj głos miałby siłę taką, że „rozczuliłby rozpacz marmurową"? Głos tego, który tragedię swojego narodu ujął w kształt tak ostateczny i surowy, że prawda męczeństwa i upodlenia polskiego sprzed stu lat znalazła straszliwe potwierdzenie w dziejach lat okupacji niemieckiej. Nagość tego słowa, nagość wyostrzonego miecza, uczy jak rozcinać najokropniej ropiejące rany, by je oczyścić do kości. Po to wieczyście wierne, na zawsze sprawdzone słowo Mickiewicza, po nieustępliwą moc sumienia, po dosłowną rzecz, a nie pozór, zwracają się dziś obezwładnieni strasznością poeci i pisarze polscy.

NIEBIESKIE KORALKI

(AKT PIERWSZY DRAMATU „PROMIENIŚCI")

OSOBY:

MARIA *ma lat dwadzieścia jeden. Nie może nazwać się piękną we właściwym tego słowa znaczeniu, ale posiada wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna i powiewna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spojrzenie wyraziste i czułe, uśmiech figlarny i naiwny zarazem, włosy jasne, ucięte krótko à la Titus, — w skromnej białej sukience.*

„Nie uczona jej postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska,
A każdy rad ją poznać, rad posłyszeć z bliska,
Choć w przebraniu pasterki, widno, że królowa".

JÓZEF, MICHAŁ } *dwaj bracia Marii, starsi od niej o lat parę. Michał nosi się z angielska w długim surducie.*

PANI MARSZAŁKOWA NOWOGRODZKA *ich matka, w średnim wieku, nieładna (typ urody ten sam co u córki).*

HRABIA LORENS, *lat około trzydziestu, pięknej postawy, krzepki i wysoki, włos jasno blond, wijący się w pierścieniach nad czołem, w ciemnym fraku, w kamizelce huzarskiej ze złotymi potrzebami i pąsowym kołnierzem.*

„Hrabia blondyn, blondyni nie są zbyt namiętni."

TOMASZ, *student uniwersytetu wileńskiego, dwudziestoczteroletni brunet, nieco śniadawej cery, ogniste, pełne wyrazu oczy, włos kędzierzawy, czoło wyniosłe z trójkątami, wzrost średni. Zwykły strój ówczesnej młodzieży miejskiej: frak, chusta, spodnie kolorowe.*

TEKLA, *ochmistrzyni, nieco w latach posunięta, ale jeszcze nie stara, zaciąga śpiewnie z litewska.*

ROZALKA, *młoda dziewczyna, z zaścianka do dworu wzięta, mówi jeszcze śpiewniej niż Tekla.*

SŁUŻĄCY *w liberii.*

Pokój w dworze wiejskim na Litwie w roku 1820. Na ścianach obicia, sprzęty staroświeckie. Z boku ksiąg mnóstwo, fortepiano, na nim nuty i książki, okno

z lewej strony w pole. Na prawej wielkie zwierciadło i na stole księga rozłożona. Kominek, na nim świece w lichtarzach, na oknie doniczki astrów i lewkonii. W głębi drzwi do sieni, a z prawej strony do alkowy. U wnijścia do alkowy stoi w drewnianej szafie kurantowy zegar. W głębi stolik do szachów. Dookoła portrety:

„Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionymi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan żałosny po wolności stracie,
W ręku trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny.
Stoją na szańcach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się w koło pali...“

* * *

Późne popołudnie pod koniec lata. Właśnie zachodzi słońce. Tomasz, Józef grają w głębi w szachy. Rozalka przy drzwiach stoi, patrzy na grających. Tekla za nią.

TEKLA: Rozalka!

ROZALKA *(nie słyszy, ani drgnie, w Józefa wpatrzona)*

TEKLA: Ej Rozalka, Rozalka, czego ty od panicza potrzebujesz?

ROZALKA *(budząc się):* Ja? Nic...

TEKLA: Lepiej byś do ogrodu pobiegła, wstążki poszukać, co ją panienka na szpacjerze zgubiła wczoraj wieczorem. Sama ją wybierałam u Frumki, kiedy tu była przed żniwami; — niebieska, czysty turkus...

ROZALKA: Ja ją może i widziałam... Co mi panna Teklunia da, jak powiem?

TEKLA: Do komody odnieść każę, błaźnico.

ROZALKA: Odnieść! A jakże! Ten młody pan, co dzisiaj rano odjachał, ten panny Teklusi krewny — wziął ją ze sobą.

TEKLA: To nie mogła być naszej panny wstążka.

ROZALKA: Ale że niebieska tom dobrze widziała. Kiedy się Sylwester wziął frak czyścić — w kieszeni wstążka była i jeszcze liścia poschnięte, co ich dopiero wszędzie pełno. Mówię ja do Sylwestra, czemu śmiecia nie wyrzuci, a Sylwester do mnie: „Idź głupia, memu panu to potrzebne.“ A ja znowu: „Na cóż by takie liścia komu potrzebne były.“ A on...

TEKLA *(przerywając):* To nie była naszej panny wstążka! Pójdziesz w ogród poszukać póki widno.

ROZALKA: Oj naszukam ja się! naszukam. Do białego rana. *(Wychodzi do sieni; z alkowy na prawo wchodzi pani Marszałkowa)*

PANI MARSZAŁKOWA *(spogląda na grających, widzi, że zajęci, siada w fotelu, gestem przyzywa do siebie Teklę):* Chodź tutaj, moja Teklusiu, chcę ciebie o coś zapytać.

TEKLA *(podbiegając):* Toż ja spoglądam i widzę. Pani moja pogniewawszy się.

PANI MARSZAŁKOWA: Martwi mnie, że Marylka tak często kaprysi. Znów u niej dzisiaj humory zauważyłam...

TEKLA *(bagatelizując):* Głowa ją może boli, może niewyspana...

PANI MARSZAŁKOWA: Z Lorensem na karpie pójść nie chciała, na herbacie jej nie było...

TEKLA *(zagadując j. w.):* Taka to dzisiaj moda — panieńskie kaprysy. Przejdą, przejdą.

PANI MARSZAŁKOWA: Teklusia może i racją ma. Coraz więcej fochów a wzdychań na świecie. Ale Marylce jakoś nie przechodzą. Trzeba by jakich medykamentów... *(wyjmuje z woreczka robotę — pończoszkę robi na „prątkach")*

JÓZEF *(nie podnosząc głowy od szachownicy):* Męża trzeba, ma foi. Kobiety wszystkie fiksatki, póki za mąż nie pójdą. Szach królowi!

TOMASZ *(znad szachów rzuca niespokojne spojrzenie w kierunku pani Marszałkowej)*

TEKLA: Może by herbatkę z rumianku albo bratki...

PANI MARSZAŁKOWA: Koralków niebieskich nie wiadomo czemu nosić nie chce. Piękniejszych turkusów znaleźć trudno, a ona sobie coś upatrzyła...

JÓZEF *(j. w. nie przerywając gry):* Mimo, że ją Lorens — sam widziałem — na kolano przyklęknąwszy o przyjęcie podarunku prosił.

TOMASZ *(j. w. znów znad szachów spogląda)*

TEKLA: Prosił, prosił *(oglądając się na Józefa czy nie słyszy, tajemniczo...)* Ale może sercu niemiły... To się zdarza, proszę pani Marszałkowej, zwłaszcza u jasnych państwa zdarza się, że narzeczony... *(prędko, widząc, że pani Marszałkowa nie bardzo zadowolona)* Ale ja tylko myślałam, proszę jaśnie pani Marszałkowej, bo ja nic nie wiem, proszę pani, więc ja tylko myślałam...

PANI MARSZAŁKOWA: I głupstwa Teklusia wymyśliła. Nie powiem, gdyby to się tak raz, dwa, zrobiło; ale tyle czasu już zaręczona, przyzwyczaić musiała się. Nie podobna żeby się nie przyzwyczaiła!

JÓZEF *(znad szachów):* Latka biegną, do ślubu pannom się spieszy. Stąd grymasy.

TEKLA: Co też pan Józio wygaduje. Dałby siestrze spokój. Wstyd, wstyd! Gdzieżby tam jakiej pannie do ślubu spieszno było.

TOMASZ *(przerywając):* Szach królowi.

JÓZEF: Mnie braciaszku nie weźmiesz. Ot i po twojej damie!

PANI MARSZAŁKOWA: A propos. Co tam z wyprawą słychać, moja Tekluniu?

TEKLA: Wiadomo. Hańci i Agatce robota w ręku pali się.

PANI MARSZAŁKOWA: Ah! c'est bien. Bo — nareszcie Tekluni powiedzieć mogę, że data ślubu postanowiona.

JÓZEF *(ciągle znad szachownicy, ale bardziej przejęty niż poprzednio):* Na Matkę Boską Gromniczną, w samo święto. Będzie zima, sanna, śnieg, użyjemy na kuligach... No cóż, moja mamo? Czy Marie jest zadowolona, jakże to przyjęła?

PANI MARSZAŁKOWA *(trochę zakłopotana):* Kiedyż czasu nie było spokojnie porozmawiać, Józiu kochany. Wczoraj — ostatni dzień przed odjazdem pana Adama, nie chciałam im zabawy psuć...

TOMASZ: Nieprawdaż? Piękny był ten wczorajszy dzień, pani Marszałkowo dobrodziko... Wprawdzie w ogrodzie liścia żółkną, ale zima jeszcze daleko; — nikomu nie była w głowie — Matka Boska Gromniczna.

TEKLA *(dotąd stała jak ogłuszona nagłą nowiną, teraz się przebudziła plasnąwszy w ręce):* I Marylka niebożątko moje, gołąbeczek serdeczny — nie wie o tym!

JÓZEF *(który — usłyszawszy odpowiedź pani Marszałkowej, wrócił znowu do rozmyślań nad szachownicą):* Szach i *(wstaje)* mat.

TOMASZ *(z rezygnacją, wstając również):* Przegraliśmy.

JÓZEF: Jakto „my"?

TOMASZ: Kończyłem przecież wczoraj niedokończoną partię Adama...

JÓZEF: Ach, prawda! zapomniałem na śmierć o naszym bardzie.

TEKLA *(na wpół do siebie, zgryźliwie):* Co z oczu, to i z myśli.

MICHAŁ, HRABIA *(wchodzą z sieni)*

MICHAŁ: Panie Tomaszu, prosimy o radę, co jutro robić. Lorens ma już dość jednego dnia bez huku i zabawy. Nudzi się.

JÓZEF: Słusznie! I ja właśnie przypomniałem sobie, że się nudzę.

TOMASZ: Może będziemy ognie palić w lesie nad jeziorem...

PANI MARSZAŁKOWA: Może chcecie gości sprosić, tańczyć i muzykować...

TEKLA: Moc grzybów w boru...

MICHAŁ: Moim skromnym zdaniem, wstyd doprawdy nudzić się na wsi o tej porze i rozrywek szukać, kiedy każdy z siebie zadowolony być powinien. Stodoły zboża pełne, ule miodu, a w sadzie drzewa aż uginają się! Macie gruszki i polowanie — macie szachy i miłość! I gdzież teraz na świecie może być piękniej niż tu u nas na wsi! Na konia wsiądziem i do kamienia pojedziem o przeszłości podumać. Czegóż więcej chcecie? A toż niedźwiedzia w boru wam nie wytrzasnę!

HRABIA *(z ironią):* Piękne życie na naszej wsi — po prawdzie mówiąc. Dla tego zwłaszcza, co nędzę i głód po chatach widzi, a ciemnotę i wstecznictwo u szlachty braci.

JÓZEF: Lorensie! Nie bądź pedantem.

MICHAŁ: Gdyby tu był nasz bard, zaraz by was przekonał...

HRABIA: A! właśnie! *(żartem do Tekluni).* Bo to my tylko po wyjeździe *(kłania się Tekluni)* „kuzyna" panny Tekluni żałujemy. *(Bardziej serio do*

reszty): Naprawdę podejrzewam, że za naszym bardem tak wzdychamy, jak panna za młodzieńcem.

MICHAŁ: Nam wieśniakom miło być unoszonym w górne sfery, gdzie najtrudniejsze łatwym się zdaje. Jakże to panie Tomaszu?

TOMASZ *(nuci):*

...cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary
Nie zamiar podług sił.

HRABIA *(j. w. półżartem):* Siła jakowaś w tym panu „komornikowiczu" drzemie, jak gdyby uroki rzucał. Powiedz nam, co to znaczy, panie Tomaszu?

JÓZEF *(na boku):* Uwaga! Zaraz zacznie jak Sokrat perorować.

TOMASZ: Znałeś Waszmość przecież cesarza Napoleona. Chyba rozumiesz, co znaczy siła od ducha promieniująca.

HRABIA: Porównywać nie godzi się.

TEKLA: Pewnie, że się nie godzi. Niechaj nas Boska Opatrzność od wszelkich Napolionów zachowa. Mątu w świecie narobił.

PANI MARSZAŁKOWA: Oj to, to. I expensów, a obligów pełno.

MICHAŁ: Ależ to nie o wojenne talenta chodzi. Jemu Muza w kolebce czoło wieńczyła.

TEKLA: „Muza" to pewnie jeszcze coś gorszego od Napoliona.

HRABIA *(bijąc się w czoło):* Ach, to mi przypomina, że interessa ważne przez naszego barda załatwić chciałem. Umyślnie dzisiaj rano na ganek zszedłem, kiedy na brykę wsiadał. I zapomniałem.

PANI MARSZAŁKOWA: A u Waćpana wieczne interessa i interessa! Cóż tak pilnego?

HRABIA: Starania czynię o uwłaszczenie dusz moich.

PANI MARSZAŁKOWA: Chłopów pragniesz od pańszczyzny uwolnić?

HRABIA *(z ironią):* Za pozwoleniem najwyższej władzy, Mościa Dobrodziko...

JÓZEF *(także z ironią):* Miłościwie nam panującego cesarza Aleksandra.

TOMASZ: I wedle ostatniego przykazania naszej nieszczęsnej ojczyzny.

PANI MARSZAŁKOWA: Jakobinem Waćpana nazwą.

HRABIA: Już nazwali, po prawdzie mówiąc. Jakobinem i sankiulotą. Niedźwiedzie w boru siedzą — taj mruczą.

JÓZEF: Pochwalże się tym przed Marie, żeś sankiulotą. Zaraz będziesz bardziej interesujący.

PANI MARSZAŁKOWA: Joseph!

JÓZEF: Ależ chère maman! Przecież ona pali się do wszystkiego co chłopskie. Pan Adam u niej w takich łaskach, bo na kształt gminnych śpiewki układa.

TOMASZ: Gminne pieśni to skarbiec. Jak tylko Adam tom swój wyda, wszyscy to zrozumieją. Nowa zacznie się era.

MICHAŁ: Skromnisia z pana Tomasza. I z niego senator będzie — tylko na jakiś czas ciśnij książki w pokrzywy, boś blady!

(Zegar wydzwania godzinę siódmą cichym kurantem, melodia „Mazurka Dąbrowskiego". Ściemniło się, pani Marszałkowa już od dobrej chwili nie robi swojej pończoszki, Tekla z założonymi rękoma, o drzwi do alkowy oparta, rozmowie przysłuchuje się).

PANI MARSZAŁKOWA: Dziwne wy dziś macie zabawy! Gminne powieści, gusła, wzdychania, z których dziwactwa się rodzą i przepisy na świata ulepszanie. *(Wpółżartem grożąc mu palcem):* Ale to by nie było nic, byle byś ty ich w spiski różne nie wciągał, panie Tomaszu, bo was w dzisiejszych niespokojnych czasach jeszcze do kozy zamknąć gotowi.

TOMASZ *(z żartobliwą emfazą):* Pani Dobrodziko! Za majówki niewinne, na których mleko spijamy jak dzieci ze szkółki?

JÓZEF: I pieśni śpiewacie rewolucyjne...

HRABIA: Nowy duch bije od tych związków. Nadziei na przyszłość dodaje.

PANI MARSZAŁKOWA: Ani nawet słuchać nie chcę takich dyskursów. Bywało już tak, bywało i skończyło się niedobrze. Chodź Michel. Pójdziemy Marylki poszukać — słówko przemówić. *(wychodzą obydwoje na prawo do buduaru)*

HRABIA: Czas mija, ani go schwytać. Było rano — już jest wieczór...

JÓZEF: Cóż to się stało. Lorens dziś wzdychający.

TEKLA: Urok jakowyś nad tym domem, czy co. Każdy inny niż zwykle.

JÓZEF: Cóż tam mądrego Teklunia znowu wymyśliła — ciekawy jestem.

TEKLA: Ano tak: Marylkę niebożątko głowa boli. Pan Hrabia, jak słyszę, o interessach zapomina, pani Marszałkowa młodzieży przygania, a pan Józio...

JÓZEF: Śmiało Tekluniu, wymyślże co na tego wartogłowa.

TEKLA: Pan Józio jeden że się nie zmienił, wiecznie drugim przymawia.

JÓZEF: Wszystko przez to, że jestem głodny. Moja kochana Teklusiu, co też będzie na wieczerzę?

TEKLA: W sam raz na dobry apetyt pana Józia. Jusznik z gęsi...

JÓZEF: I o kminkówkę przymówić chciałbym się. Choć o kieliszeczek. I żeby tak była trochę — starością zafarbowana. Tutaj kminku pełno. *(wskazuje ręką zioła).* Odnowi się zapas w spiżarni.

TEKLA: Ten kminek to ja nie na wódkę zbierałam, ale na kołki.

ROZALKA *(we drzwiach od sieni — do Józefa):* Pan ekonom do rozrządzenia pańszczyzny prosi. *(stoi, z Józefa oka nie spuszczając, widząc, że jej spojrzenie pochwycił, oczy spuściła, fartuszek skubie, wstydzi się)*

JÓZEF *(ku niej podchodzi, pod brodę ją bierze):* Na moje charty, ładna z ciebie dziewczyna.

TEKLA: Paniczu. Ekonom czeka. *(palcem mu grozi)*

JÓZEF: Ach! Prawda, ekonom! Poczekaj no, moja Teklusiu, ja ci się odwdzięczę za ekonoma. *(wychodzi do sieni, Tekla i Rozalka za nim)*

HRABIA: Żarty na bok, panie Tomaszu. Jakaż przyczyna złego humoru? Kto by pana Tomasza nie znał, myślałby, że do trzech liczyć nie umie...

TOMASZ: Słówko „zły" jest tu nie na miejscu. Milczę, kiedy rozmyślam...

HRABIA: Więc filozofia. Ale jaka?...

TOMASZ: Że wieś nader słodka po hukach i tumultach miejskich.
HRABIA: Tylko tyle?
TOMASZ: Nie jest to wcale za mało...
HRABIA: ...zważywszy, że ją wkrótce porzucić przyjdzie i na nowo bruki miejskie szlifować? Czy nie tak?
TOMASZ: Przeciwnie. Sądzę właśnie, że tej słodkości lepiej nie nadużywać.
HRABIA: Otóż konkluzja niespodziewana. Ale ja dodam: „jak komu".
TOMASZ: Zupełnie słusznie.
HRABIA: O, więc pan Tomasz mnie rozumie...
TOMASZ: Rozumiem i co więcej, nie tylko ja.
HRABIA: Istotnie! Miałem tu wczoraj podobną rozmowę z panem Adamem.
TOMASZ: Jakto podobną?
HRABIA: Bo w domyślnikach...
TOMASZ: Czemu prosto nie mówić?
HRABIA *(chłodno):* Są tematy i osoby...
TOMASZ: ...święte. Ale ich lepiej nie tykać. Można boleśnie zadrażnić.
HRABIA: „Święte?" — ce n'est pas le mot. Niedostępne!
TOMASZ: Ach! Jak komu! Są ludzie, w których drzemie siła sekretna tak wielka, że nic dla nich niedostępnym być nie może. Otóż Adam...
HRABIA *(serio):* ...do tych geniuszów należy, zdaniem pana Tomasza. Czy nie tak?
TOMASZ: Owszem. Mocno wierzę.
HRABIA *(j. w.):* Rzecz dziwna, panie Tomaszu. I ja także mam takie przeczucia. Jedno mnie tylko niepokoi...
TOMASZ: Słucham.
HRABIA: Jak pan wyobraża sobie małżeństwo?
TOMASZ: Czyje?
HRABIA: Geniusza oczywiście. Ale przy tym nauczyciela powiatowych szkół — na przykład w Kownie.
TOMASZ: Jeżeli mam być szczery: wcale sobie nie wyobrażam.
HRABIA: A dlaczego?
TOMASZ: Trudno by to było wytłumaczyć — dziedzicowi tylu włości.
HRABIA: Otóż to! Doszliśmy przecież do mojej konkluzji.
TOMASZ: Czy tak potrzebna?
HRABIA: Nawet bardzo. Nie chciałbym nikomu wchodzić w drogę.
TOMASZ: To pięknie. Ale teraz w pytaniu kolej na mnie. Jakże sobie pan hrabia wyobraża miłość?
HRABIA: Miłość? Ach, prawda! Mówię z poetą. *(nieco zakłopotany)* Więc oczywiście nie jak umizgi Józefa do Rózi, czy jakiejś tam innej Agatki. Ale także nie jak wzdychania — wybacz mi panie Tomaszu — studentów uniwersytetu wileńskiego. Ja mam bardzo mało czasu, panie Tomaszu i proszę mi wierzyć, że jako na właścicielu tylu dóbr, ciąży na mnie także wiele obowiązków, wystarczy wspomnieć zaniedbanie, w jakim pogrążony jest nasz stan włościański. Albo przemysł, który pozostaje tak daleko...

TOMASZ: Ale miłość!

HRABIA: Widzę ją w małżeństwie dwojga istot, równych sobie urodzeniem i majątkiem, z których żadna nie jest drugiemu niemiła, a które dla dobra ludzkości razem pracować by mogły.

TOMASZ: A czy wierzysz pan, że istnieją — bliskie sobie — istoty wybrane?

HRABIA: Przecież to jasne, że ludzie nie rodzą się równi sobie.

TOMASZ *(przecząc):* Chodzi mi o coś innego. Siła ich tajemna i magnetyczna. My wszyscy, którzy się promienistymi nazywamy, jawnie czujemy bijący z nich ogień.

HRABIA: Czymże jest wobec tego promienistość?

TOMASZ: Jest to tylko dążenie do doskonałości.

HRABIA: Któż by do niej nie dążył. Ja także chciałbym wiele rzeczy udoskonalić w tym kraju. Chociażby na przykład nasze słynne drogi, na których utopić się można, albo ten chleb z bobu i plewy wypiekany, którym wieśniacy...

TOMASZ: Pierwej potrzebna jest doskonałość wewnętrzna. Należy się poddać ideałom Piękna i Dobra, a wtedy będą one promieniować z dusz naszych jako siły potężne. Dopiero wtedy będziemy mogli przekształcać świat.

HRABIA: Morały, panie Tomaszu. Masz w sobie coś z apostoła, aleś podawał się za specjalistę od miłości.

TOMASZ: Otóż właśnie chciałem mówić o miłości wśród promienistych, kiedyś mi pan przeszkodził. Nie zna ona granic czasu ani przestrzeni, ani kajdan małżeńskich. Wyższe rządzą nią prawa.

HRABIA: Jakże to? Wszakżeś twierdził, że jest cnotliwa.

TOMASZ: Pięknością zapalone dusze rozpromieniają się nad inne. Dziś rozerwane — jutro w jeden się zbiegną płomień, a w płomieniu tym...

HRABIA: ...skrzydła opalić można.

TOMASZ: ...nowa rodzi się era.

HRABIA: Widzisz więc pan źródło potęgi...?

TOMASZ: ...w miłości kowieńskiego nauczyciela.

HRABIA: I nad tym dumałeś pan w czasie poprzedniej rozmowy. Cóż cię do tego skłoniło?

TOMASZ: Och, nic wielkiego. Krótka wzmianka, że data ślubu postanowiona.

HRABIA: Tak! Mogę się pochwalić przed panem Tomaszem, że jestem u celu.

TOMASZ *(zimno):* Powinszować.

HRABIA: Wprawdzie moja narzeczona nie wie jeszcze o niczym...

TOMASZ: Lecz pańska „narzeczona" nie sprzeciwi się zapewne woli rodziny.

HRABIA: Tak jest, panie Tomaszu. W naszej sferze panny w ten sposób wychodzą za mąż. I co więcej! Bywają przeważnie szczęśliwe. Lecz nie chciałbym, aby ktokolwiek inny miał do mnie żal...

TOMASZ: Któżby miał żal i za co. Jesteś pan zacnym obywatelem i będziesz dobrym mężem.

HRABIA: Nie chcesz mnie pan zrozumieć, tak, jak wczoraj nie chciał twój przyjaciel, gdy próbowałem z niego wydobyć, jakie ma zamiary na przyszłość.

TOMASZ: Tego wiedzieć nie może ani on, ani nikt inny. Jego za rękę wiedzie przemożne Fatum.

HRABIA: Odpowiedział mi też coś w tym rodzaju. Jedno przecież jasno zrozumiałem, że się o pannę starać nie myśli. On więc nie może mieć do mnie żalu. A ona...

TOMASZ *(z żalem):* Cóż ona może!

HRABIA: ... dla niej będę istotnie *(z naciskiem)* najlepszym mężem.

MICHAŁ *(we drzwiach na prawo):* Mille pardons, drogi Lorensie. Jesteś tu nam potrzebny na chwilę.

MICHAŁ *i* HRABIA *(wychodzą do alkowy)*

LOKAJ *(wchodzi z sieni, niosąc dwa zapalone kandelabry, jeden stawia na fortepianie, z drugim wychodzi do alkowy)*

TOMASZ *(przy fortepianie gra i śpiewa; krótka przegrywka...)*

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły
I coś tam klaszcze za borem...

MARIA *(we drzwiach sieni staje nieruchoma, słucha)*

TOMASZ: Pewnie mnie czeka mój Filon miły.
Pod umówionym jaworem.

MARIA *(smutnie):* Drogi pan Tomasz niech mi nie śpiewa dziś tej piosenki...

TOMASZ *(przerywa swój śpiew):* Jak Peri każe.

MARIA: I przestań panie Tomaszu być bardzo rozumnym, pocieszaj mnie.

TOMASZ: I czegóż to Peri smutna? Trzeba szukać przyjemności, a zawsze znaleźć można.

MARIA: Pan Tomasz niech zważy na oddalenie osób, które kochamy, z którymi wiecznie żyć pragniemy.

TOMASZ: A — jeżeli o to chodzi — nasze modły i życzenia i prośby najgorętsze po całym świecie za kochanymi podróżują osobami. Cóż Peri na to?

MARIA: Co się ze mną dzieje, widać pan Tomasz wyobrazić nie zdoła.

TOMASZ *(żartem i czule. Całą tę scenę tak gra).* Tak daleko nas ptaszki, kwiatki i jagódki zaprowadziły? Pozwalam najwyżej trzy razy na dzień westchnąć, trzy łezki uronić. Uchowaj Boże dręczyć się, gryźć, cierpieć. Ziemia nie jest padołem płaczu.

MARIA: Drogi pan Tomasz...

TOMASZ: Najmilsza Peri...

MARIA: Lubię, kiedy mnie pan tak nazywa.

TOMASZ: Najwdzięczniejsza raju mieszkanka — Peri! Pani jak ona — stworzona po to, aby nas od złych duchów bronić, a cóż dopiero siebie!

MARIA: Zwykle o tej porze biegłam z nim razem na pagórek za kapliczką pożegnać ostatni promień słońca. Powróż mi drogi panie Tomaszu, kiedy razem obaczymy słońce.

TOMASZ: Może już jutro... Noce lata krótkie.

MARIA: Długie, panie Tomaszu. Na cóż ta noc?

TOMASZ: Dla złotych snów, dla miłych marzeń. Jak pamięć.

MARIA *(z żalem):* Pan Tomasz — bardzo rozumny. Gdybyż to pan wiedział

coś dobrego! Czy on panu coś powiedział? Czy mówił z panem o mnie? *(smutniej)* Bo mnie, kiedyśmy się wczoraj żegnali, powiedział tylko dwa słowa.

TOMASZ: Biedna Peri. I ze mną mówił niewiele więcej.

MARIA: Czemuż więc pan Tomasz mnie pociesza.

TOMASZ: W odpowiedzi zaśpiewam starą piosenkę: *(gra i śpiewa)*

Naprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina,
Potem po razu co dnia,
A potem, co tygodnia.
A potem co miesiąca,
Z początku, albo z końca...
. . . . . .
Biegą wody potoku,
Pamięć nie w naszej mocy:
Już tylko raz co roku,
Około Wielkiejnocy.

MARIA: Ach, drogi panie Tomaszu, wykręcać nie godzi się! Musiał coś przecież mówić wyjeżdżając.

TOMASZ *(smutno):* Owszem. Jeżeli Peri koniecznie chce wiedzieć — mówił, że wszystkie kobiety są jednakowe.

MARIA: Nie rozumiem. To się nie mogło odnosić do mnie.

TOMASZ *(żartując):* Oczywiście, to się nie mogło odnosić do Peri, istoty nadprzyrodzonej.

MARIA: Ale czy nie mówił nic o odjeździe, czyż nie żałował? Nie mówił, co czuje...

TOMASZ: Może tam coś mówił.

MARIA: Koniecznie proszę powtórzyć.

TOMASZ: Wolałbym nie...

MARIA: Dlaczego...

TOMASZ: No bo... *(niechętnie)* Mówił, że czuje „przyjemny smuteczek".

MARIA: Przyjemny... smuteczek... O panie Tomaszu, on nie kocha, nieprawdaż?

TOMASZ: Może — kocha... Ale — okoliczności...

MARIA: Gdybyż on tylko zechciał, poszłabym za nim wszędzie, panie Tomaszu.

TEKLA *(zagląda drugimi drzwiami z sieni, filuternie):* Marylka nie pogniewa się? Nie przeszkodzę? Ja nowina przynoszę.

MARIA: Dokuczają mi tu, moja Tekluniu.

TOMASZ *(z ręką na sercu):* Do winy się nie poczuwam...

MARIA *(z uśmiechem, grożąc mu palcem):* Przed gniewem niebianek uciekać radzę!

TOMASZ: Zawsze posłuszny i na rozkazy.

MARIA: Porozmawiamy jeszcze później, panie Tomaszu.

TOMASZ *(kłania się z uśmiechem na znak zgody, wychodzi)*

MARIA *(z żywością rzuca się do Tekli):* Jaką ty mi nowinę przyniosła? Może listek?

TEKLA: Wybieramy się jutro na wielkie grzybobranie do płużyńskiego boru.

MARIA *(zawiedziona):* Wszyscy mnie dzisiaj łudzą. Ja myślałam, żeś ty mi listek przyniosła.

TEKLA *(udając, że nie słyszy):* Koszyki nagotuję, nikogo w domu nie zostawimy. Będziemy ścigać się, kto pierwszy do pełna uzbiera.

MARIA: Moja Tekluniu. Może on w Bartnikach jeszcze będzie — albo w Cyrynie u księdza...

TEKLA *(trochę gniewna):* Nie będzie, nie będzie. Sama wiesz. Prosto do Kowna pojachał, daleka droga.

MARIA: Czemuż on do tego Kowna tak się spieszył. Któż go tam tak interessuje...

TEKLA: Ty go sobie lepiej z głowy wybij gołąbeczko-sercuniu. Gdybyś to ty wiedziała, co ja wiem — niebożątko ty moje.

MARIA: Pewno mi powiedzieć nie zechcesz. Ale ja się domyślam. To pewno ta piękna żona doktora, o której on tyle opowiadał. Czy naprawdę taka piękna?

TEKLA: Nie widziałam nigdy na oczy, dajże spokój duszeczko. Nie o tym myślę.

MARIA *(zamyślona):* Mówiłaś kiedyś, moja Tekluniu, że Mickiewicze herb mają książęcy...

TEKLA: A tak, książęcy herb. Poraj z mitrą w polu złotym. Moja matka z Mickiewiczów, zawsze nam to w uszy kładła. Ale z tego ludzie śmieją się, skoro intraty nie ma żadnej. Odkąd najstarsi pamiętają, Mickiewicze jak chłopy albo mieszczany żyją. Wiem ja gołąbeczko-nieboże, co tobie po główce lata, ale ci na to tyle powiem, że pół uniwersytetu wileńskiego kocha się, a o żonce myśleć nikt nie może. A toż oni w kilku przyjaciół jak pierwsi krześcijanie żyją, wspólną kassa mając. Każdy swoje grosiki do niej wkłada, a jak któremu butów brak — dalej do kassy... Co tu dużo mówić. Ot bida z nędzą i tyle. Coż tam obrazek w herbie znaczy, gołąbeczku mój, pieniądz potrzebny, włości piękne, dwór murowany.

MARIA: Przysięgałam i on mi także przysięgał. Pamiętasz Tekluniu, kiedy to jeździliśmy nocą nad Świteź do boru ogniska palić, kiedy to stary rybak nam opowiadał o ondynach i nimfach wodnych... Księżyc wschodził z za boru...

TEKLA *(mrukliwie):* Ano tak —

MARIA: Ale on poezją przede wszystkim zajęty, dla niej on wszystko poświęcić musi, kształcić się, za granicę jechać. On będzie wielkim człowiekiem, ale czy mi wierności dochowa? Wczoraj umówiłam się z nim na pożegnanie w altanie lipowej. Myślałam, że powiemy sobie tyle rzeczy. Bo, moja Teklusiu, myśmy czytali książki, gadali o Werterze, o Gustawie... a ile razy chciałam mu coś o sobie powiedzieć, to nie umiałam. On mi nieraz czułe wyrazy powtarzał,

za rękę ściskał, a ja jemu nawet i „lubię" wypowiedzieć nie mogłam. — Tekluniu! Pomyśl, może on nawet nie wie, co ja myślę.

TEKLA: To Marylka do altany po ciemku umawiała się. Taż tam komary w nocy gryzą aże strach.

MARIA: Lecz i wczoraj było to samo, ja zwykłe czułam pomieszanie, on milczał. Dałam mu tylko zawiązkę z włosów i nie wiem, nic nie wiem, co będzie!

TEKLA: A czy to ładnie, czy to wypada chłopca próżno bałamucić! Gdzie tobie, gdzie jemu, głową muru nie przebije. Opętasz młodego i zmarnuje się. Ja tobie prawdę powiem — ja jego znam — ożeni się, to i zmarnuje. Już jemu tam lepiej w Kownie, w romanse z damami wdawszy się... *(machnęła ręką)* Uspokój się duszeczko-sercunio, o mamie pomyśl, zmartwienia nie rób. Chcesz, by ciebie dziwaczką, kapryśnicą, fiksatką nazwali. Młodzi w domu, huku pełno, ta zabawże się, zapomnij...

MARIA: Tekluniu! Czy to być może! Ty nic nie czujesz! Jakże ja mam się bawić, kiedy żyć trudno. Jego cień tu jeszcze po ścianach błądzi, jeszcze tu wczoraj siedział, graliśmy w warcaby...

JÓZEF *(podczas jej ostatnich słów we drzwiach staje, słucha, przerywa z ironią):* Radzę świece tutaj zapalić, światło zrobić, bo ciemność wspominkom sprzyja. A nie czas jeszcze na Dziady!

TEKLA *(w milczeniu świece na kominku zapala fidibusem od palącej się na fortepianie, ku drzwiom idzie)*

MARIA *(robi ruch, jak gdyby chciała iść za nią).*

JÓZEF *(zatrzymuje ją gestem):* Zostań, Marie! Muszę z tobą pomówić.

MARIA: Koniecznie teraz?

JÓZEF: Koniecznie. Mam ci powtórzyć wolę mamy, życzenia moje i Michasia.

MARIA: Czemu tak uroczyście?

JÓZEF: Mam nadzieję, że będziesz rozsądna i zrozumiesz, że to wszystko dla twego dobra.

MARIA: Dla mego dobra? Obawiam się, że wprost odwrotnie.

JÓZEF: Na prośbę Lorensa, po wspólnej naradzie.

MARIA *(zatykając uszy):* Nie, nie, nie. Nie chcę słuchać!

JÓZEF: Ależ Marie. Nie podobna, żebym cię o tym nie powiadomił, skoro w tej całej sprawie ty jesteś osobą najważniejszą...

MARIA: ... chociaż mnie nigdy nikt o moje zdanie nie pytał.

JÓZEF: Chodzi o datę twojego ślubu, którą trzeba było nareszcie oznaczyć. Dotychczas notre chère maman, dobra jak zwykle, była powolną twoim kaprysom...

MARIA *(gorzko):* Lecz teraz udało ci się ją przekonać.

JÓZEF: Wybraliśmy dzień drugiego lutego, jako święto twojej patronki. A ponieważ będzie na pewno wspaniała sanna, więc uradziliśmy uświetnić wesele takim kuligiem, że aż ci wszystkie panny w sąsiedztwie pozazdroszczą. Może przy tym i polowańko jakoweś okroi się...

MARIA: Proszę, zerwijcie te zaręczyny.

JÓZEF: Jest! Sfiksowała.

MARIA: Na wszystko proszę.

JÓZEF: Pierwej pójdę na odyńca z gołymi rękami nim zerwę słowo dane...

MARIA: Beze mnie!

JÓZEF: Ale przez nas, którzy jesteśmy twymi opiekunami. Dla honoru rodziny ono złamane być nie może.

MARIA: Zaklinam cię na pamięć ojca.

JÓZEF: I po cóż używać tak wielkich słów. Nie jesteś przecie ani heroiną z romansu Skota ani panną służącą. Gotów bym w zakład stawić fuzyjkę moją ulubioną, że to pachnie romantycznością i balladkami. Potem dziwić się nie trzeba, gdy ludzie mówią, że ty sobie głowę naszym „bardem in spe" zaprószyłaś!

MARIA: Dziwić się nie trzeba, skoro to prawda.

JÓZEF: Et tu ne vois pas całej niestosowności takiego wyznania? Przecież jeszcze w domu dziadów naszych persony, uprawiającej jakąkolwiek profesją, nie posadzono by razem do stołu.

MARIA: Dzisiaj umiemy szanować potęgę ducha.

JÓZEF: ... byleby się zbytnio nie spoufalać.

MARIA: Zostaliśmy dla siebie stworzeni...

JÓZEF: Ależ to byłaby niebywała mèsalliance. Chyba to widzisz.

MARIA: Widzę niestety, że dopatrujecie się tylko szaleństwa w takim mariage'u.

JÓZEF: Jeżeli on ma robić karierę dans le monde, ten twój przyszły geniusz, to uprzedzam cię, że dla takich żona bywa raczej ciężarem. I w ogóle zły to materiał pour un mari, brak im stałości.

MARIA: Szydzisz ze mnie, bo wiesz, że jestem bezsilna, nie mając żadnego obrońcy.

JÓZEF: Możesz go mieć każdej chwili, gdy tylko zechcesz. Lorens zabawia mamę obok w buduarze.

MICHAŁ *(wchodzi z buduaru, ostrożnie przedtem zaglądnąwszy)*

JÓZEF: W samą porę z sukursem mi przybywasz. Wszystko tak pięknie jej obmyśliliśmy, męża, kulig et caetera, a ona noskiem kręci.

MICHAŁ: Cóż moja mała siostrzyczka ma do zarzucenia temu poczciwemu Lorensowi.

MARIA: Ależ ja pana Lorensa lubię, bardzo nawet lubię. Tylko pan Adam...

MICHAŁ: ... przecież nie zechcesz pokłócić pana Adama z naszym światem, którego stosunków i protekcji będzie potrzebował...

MARIA: Nigdy on was nie będzie potrzebował. A ja ciebie proszę na wszystko: dajcie mi chociaż trochę czasu.

JÓZEF: Moja droga: on ci się przecież nigdy nie zdeklaruje, on ciebie wcale nie chce, wyraźnie to Lorensowi powiedział.

MARIA: Nie wierzę, aby o mnie mówił z Lorensem.

MICHAŁ: Owszem, bo się go Lorens szczerze zapytał, w szlachetności swojej gotów się zrzec twojej ręki.

MARIA: Otóż mi wielkoduszny rywal, gotów się zrzec tego, czego jeszcze wcale nie posiadł.

JÓZEF: Powiem ci jeszcze więcej. On tutaj do ciebie wzdycha — w tym swoim Kownie romansik z tamtejszą pięknością nawiązawszy, wcale nieestetyczny, jak takie rzeczy pan Tomasz nazywa.

MARIA: Nigdy w to nie uwierzę. To nieprawda. Michasiu, powiedz mi, że to nieprawda?

JÓZEF: Jakto nieprawda. Sam o niej opowiadał. Słyszałaś.

MARIA: Ależ on mówił, że to osoba dobra, jemu życzliwa, jego przyjaciółka. To Józio na pewno tylko wymyślił.

MICHAŁ *(z przykrością):* Mój aniele. Sądzę, że nie wymyślił.

JÓZEF: Teklunia wie o wszystkim.

MARIA: Teklunia? *(przypominając sobie)* Ach, rozumiem! Mój Boże!

JÓZEF: Uwierzyłaś więc nareszcie.

MARIA: Tak. Nareszcie uwierzyłam.

JÓZEF: Szkoda, że ci tego sama nie powiedziała.

MICHAŁ: Ja bym także nie mówił...

MARIA: A ja obiecuję — więcej jeszcze — przysięgam, że nigdy nie postawicie na swoim! Że jeżeli nawet zmusicie mnie do tego mariage'u, jeżeli nawet ksiądz przed ołtarzem ręce nam stułą zwiąże, to ja i tak nigdy żoną Lorensa nie będę. Słyszycie! Nie będę! Będę żyła w jego domu jak obca, jak mniszka. Wy słowa nie złamiecie, a ja pokażę, jak się dotrzymuje przysiąg tym, którzy je łamią. Tak mi Boże dopomóż! Jest to moje niezłomne postanowienie, możecie je zakomunikować Laurentemu.

JÓZEF: Nie wątpię, że on potrafi sobie z tym poradzić.

MICHAŁ: Uspokój się Marie. Do zimy jeszcze daleko. Ja mam do ciebie na razie tylko jedną skromniutką prośbę. Nie rób Lorensowi niepotrzebnych impertynencyj. On jest przecież naprawdę tobą zajęty. Włóżże choć raz te nieszczęsne koralki. Dlaczegóż ty ich właściwie nie chcesz nosić?

MARIA: Pamiątka po jego matce nieboszczce, przez ojca jego dla przyszłej synowej przysłana. Nie chciałabym...

JÓZEF: Nie trzeba sobie robić niedorzecznych skrupułów.

MICHAŁ: Koralki przecież nic nie znaczą?

MARIA *(niepewnie):* Czy naprawdę tak sądzisz?

MICHAŁ: Ależ tak. Możesz je śmiało włożyć. To tylko prosta uprzejmość.

PANI MARSZAŁKOWA *(wchodzi)*

MARIA *(rzuca się do niej, jak gdyby pomocy szukając):* Ach, moja mamo!

TOMASZ *i* HRABIA *(wchodzą za panią Marszałkową)*

MARIA *(widząc ich wchodzących zatrzymuje się w ruchu)*

PANI MARSZAŁKOWA: Ależ Marie, jakaś ty rozagitowana.

JÓZEF *(ironicznie):* Bo to była rozmowa w tonie „romantycznym".

PANI MARSZAŁKOWA: Zganić muszę, że Marie tak zapala się. Młoda panna dbać o umiar i harmonię powinna. Otóż to są cnoty, którym ta wasza romantyczna moda sprzeciwia się.

HRABIA: Dworską etykietę wprowadzono do świata imaginacji. A młodzi pragną dzisiaj żyć, niekrępowani martwym prawidłem...

MARIA *(stała dotąd nieruchoma, w osłupieniu, teraz ocknęła się, patrzy jakby nic nie rozumiejąc, zamyślona)*

PANI MARSZAŁKOWA: Waćpan ich nie broń. Tyś sam pierwszy pomiędzy nimi romantyk. Romantyczność w czyny wcielasz. Słyszałam, że próbujesz słodki cukier z białych buraków wyrobić. Cóż więcej sprzeciwia się rozsądkowi!

HRABIA: A tak, pani Dobrodziko! Zamiast wzbogacać zamorskich hodowców trzciny, sami we własnym kraju...

JÓZEF *(przerywa):* Z mamy Dobrodziki także romantyczka ukryta. Za nic w świecie nie przeszłaby się sama w nocy ścieżką za dębem.

PANI MARSZAŁKOWA: Joseph, bądź cicho! Ja nie wierzę w diabła w brzezinie.

TOMASZ *(lekko drwiąco):* Ależ romantyczność to nie jest odrzucanie konwenansów i wprowadzanie diabła.

MICHAŁ: Może nam wytłumaczysz, panie Tomaszu.

TOMASZ *(podchodząc do okna i uchylając firanek):* Proszę spojrzeć.

PANI MARSZAŁKOWA: Księżyc wschodzi.

TOMASZ: O właśnie. Proszę spojrzeć na ten księżyc, wschodzący nad samym dachem tuhanowickiej kaplicy. Jak tajemniczo rysują się stare drzewa na wzgórzach, proszę posłuchać ich szumu.

MICHAŁ: Rozumiem. Opowiadają dawno zamierzchłe dzieje.

TOMASZ: Czyż ta noc wysrebrzona nie budzi w nas myśli o sile niewidzialnej, co nas otacza. Proszę spojrzeć teraz w głąb parku i zaprzeczyć istnieniu duchów złych i dobrych.

PANI MARSZAŁKOWA: Gwiazdy się iskrzą jak rzadko.

TOMASZ: Któż patrząc na te gwiazdy nie zatęskni, któż nie zrozumie najdziwaczniejszych „urojeń". Dajcie lot myślom, niech raz popłyną — razem z promieniem tej mocy, co nami włada, — a już nigdy nie będą pełzać jak zimny płaz po ziemi.

JÓZEF: W tym właśnie sęk, że wy, jak dziecię za motylkiem, wiecznie za swym gonicie urojeniem, ziemi nie dotykając...

MARIA *(do Józefa):* Słuchaj! Teraz ja powiem, czym jest romantyczność. To ogień tlący się w głębi, a przed okiem obojętnych ukryty, po którym poznały się w tłumie dwie krewne dusze. To płomień nieśmiertelny, który zamiast niszczyć, życiem obdarza. Próżno pragnęlibyście go stłumić. Ja wiem, Józiu, że ty się w myślach śmiejesz ze mnie i szydzisz z romantyczności, a ja ciebie tylko żałuję. Ty nie rozumiesz nic, ty nie żyjesz, ty jesteś ślepy i głuchy. A ja widzę i czuję jak się w tym domu, w tym ogrodzie rodzi nowy świat i nowa potęga. Nie przeszkodzisz temu i nie zmienisz biegu przeznaczenia. Któż wie, może ty jesteś nawet jego narzędziem i przyspieszasz bieg wypadków.

PANI MARSZAŁKOWA: Martwi mnie to, co mówisz, bo widzę, żeście się znowu sprzeczali.

MARIA: Zobaczycie, że już niedługo, a będą się tu działy rzeczy niezwykłe. Nieraz dręczą mnie złe przeczucia. Tu jest tak cicho, tak spokojnie, wydaje się, że nasze życie na wsi jest rajem. Więc wy się może słusznie lękacie Romantycz-

ności, bo z nią nadciąga coś, co zniszczy wasz spokój i tę harmonię. Ale wierzcie mi, że razem nadciąga nieśmiertelność. Czułam jej oddech na twarzy, widziałam jej spojrzenie ku mnie zwrócone i wiem, że poza nią nic się nie liczy. Wszystkie kalkulacje; swaty, perswazje, plotki... to się nie liczy! Jest inna sfera i, jeżeli krępujecie mnie tu, tam będę żyła, jak mi się podoba.

JÓZEF: Prawi od rzeczy...

TOMASZ: Nie. Widzi tylko rzeczy tajemne...

MARIA: Jużem ci to przed chwilą mówiła po prostu, słowami dla ciebie przystępnymi.

PANI MARSZAŁKOWA: Jużem ci dzisiaj raz zganiła ten brak umiaru i zastanowienia.

MARIA: Ach, daruj mi chère maman, ale to dziś już doprawdy niemodne: nie zdradzać swoich uczuciów i wstydzić się wielkich słów.

TEKLA *(wchodzi drzwiami z sieni):* Przychodzę obietnica dotrzymać.

JÓZEF: Komuż to Teklusia obiecała i co? Bo dla mnie nawet kminkówki pożałowała.

TEKLA: Znajdzie się, znajdzie, skoro pan Józio taką chętkę ma. Ale ja dla pana Michasia śpiewać przyszłam.

MICHAŁ: Słyszałem dzisiaj Teklunię z panem Tomaszem ćwiczących się, i doprawdy, że warto słuchać.

TOMASZ: Jest to ballada Adama o pięknej ondynie...

MARIA: Przecież nieukończona.

TOMASZ *(przy fortepianie z Teklą):* Koniec sobie słuchacze dopowiedzą. Będzie to dla nich lekcja Romantyczności.

MICHAŁ *(siada w głębi, aż do końca aktu w muzyce zasłuchany)*

JÓZEF *i* PANI MARSZAŁKOWA *(wychodzą razem do alkowy, Józef coś matce szepcze, żywo przedkłada)*

TEKLA *(próbuje melodii)*

MARIA *(znowu apatyczna, zamknięta w sobie)*

HRABIA *(obok Marii na przodzie sceny):* Czemuż Marie tak posmutniała, pobladła...?

MARIA: Miniony dzień mi się przypomina.

HRABIA: Co przeszło — może jeszcze powrócić.

MARIA: Moje nie wróci...

TOMASZ *(śpiewa. Śpiew na nutę „Filona". Tekla akompaniuje, w przerwach pomiędzy śpiewem ciche wariacje na temat melodii)*

Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca.

HRABIA *(nachylając się do Marii):* I ja mam także wspomnienia, które mi żalem serce pełnią... *(jakby czekał na zapytanie)*

MARIA *(milczy nieruchoma)*

HRABIA: Jedno o koniu moim wiernym, którego pode mną pod Lipskiem zabito. Doprawdy wiernym był jak człowiek...

MARIA *(jak echo):* I pod Lipskiem go zabito?

HRABIA: A drugie, gdy Cesarza mego wspomnę na wyspie samotnej.

MARIA *(smutnie):* O Cesarzu pan Lorens myśli?

TEKLA: Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiaty do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

HRABIA: Ja myślę o Cesarzu i nadobnej Marii, pan Adam za to tylko o swojej Muzie.

MARIA *(zdziwiona patrzy na Hrabiego)*

HRABIA: Pytałem się go wczoraj i powiedział, że nie ma innej kochanki.

MARIA *(smutnie jak echo):* ...że nie ma innej...

TOMASZ: Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżyca blasku...
Lecz czy dochowa przysięgi?

MARIA: I jakże o tym pan Lorens sądzi?

HRABIA: Przecież mówiłem, że mi dał odpowiedź wyraźną.

MARIA: Pan Lorens śpiewu nie słucha. Ja się pytam, czy strzelec przysięgi dochowa.

HRABIA: A kto go tam wie. Przysięga, bo młody, a potem idzie swoją drogą.

TEKLA: Dochowaj strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!

MARIA: A czy pan Lorens Cesarzowi swojej przysięgi nie złamie?

HRABIA: Do końca życia wiernym będę.

MARIA: I ja co przysięgłam sobie, to dotrzymam, chociażby wbrew całemu światu.

HRABIA: Przysięgi czy życzenia Pani ja zawsze będę święcie szanował.

MARIA: *(wstaje, chce odejść)*

HRABIA: Czemuż uciekać? Przecież grają...

MARIA *(smutnie)*: Zaraz powrócę...

HRABIA: Pozostać proszę.

MARIA *(odwraca się ku niemu, smutno):* Idę — włożyć — niebieskie koralki.

Zasłona.

PODRZUCONA KSIĄŻKA

„A was spotykają i ugaszczają i śpiewają wam pieśni Wasze, bo czują, że wy wojujecie za wolność świata".

Od Sekwany załoga czołgu „Nelly" przeszła, jak powiadali w plutonie, na niemieckie metody walki. Niemieckie metody walki nie były aluzją do słów w rozkazie dowódcy dywizji; były tylko wspomnieniem zgorszenia, jakie w załodze czołgu „Nelly" wywołały w swoim czasie, jeszcze pod Jort, przy przeprawach na sennej rzece Dives, wnętrzności pewnego niemieckiego Tygrysa. Bestia był jednym z tych trzech Tigrów, jakie wylazły na Jort i ustrzeliły dwa Cromwelle ze szwadronu drugiego u rotmistrza Gutowskiego. W jednym z Cromwelli Tiger ze szczególną zaciekłością wpakował kolejno aż cztery pociski z działa 88. Jakby w tym Cromwellu siedział kto ważny! Zajadłość nie popłaca nigdy, w czołgach zaś najmniej, toteż Niemiec dobijając trupa nie dostrzegł, że tymczasem z boku nadjechała „Nelly". Kiedy zaś dostrzegł, było już za późno. Pierwszy strzał „Nelly" poszedł nieco za płoty; walnął w nasadę wieży, z tym jednak wynikiem, że przestała się obracać. Długie działo Tigra nie mogło się zwrócić w stronę „Nelly", a nim cały czołg ruszył z miejsca, „Nelly" poprawiła swój pierwszy strzał i poprawiła dobrze. Trzech Niemców porozlepiało po prostu, kawałkami oczywiście, po żelaznych ścianach czołgu. Reszta jakoś zwiała. Przysiadłszy, Tiger został tak na polu i nazajutrz załoga „Nelly", a także kilka innych załóg, ruszyły się pogapić. Było na co. „Nelly" podstawiona pod bok jej Germańskiego Majestatu Tygrysa wyglądała jak psiak przy saintbernardzie. Z wieżą nie dostawała lufy działa. Panthery i Tigry miały w dziesiątym pułku strzelców konnych należyty respekt. Ale teraz wzmógł się on jeszcze.

— Harhara taka, jak kamienica jedna na Mostowej w Wilni — jęknął kierowca Ambroży, dla którego Wilno pozostało nadal właściwą miarą wszech rzeczy.

Natomiast jego najbliższy towarzysz, bo strzelec przedni Józek, zajął się szczegółowiej zawartością Tigru i wlazł do jego wnętrza tą właśnie drogą, którą przedtem uciekli Niemcy. Nie uznano tego za czyn roztropny; może być jaka niemiecka pułapka. Załoga „Nelly" odsunęła się nieco na bok. I naraz istotnie śmignęło coś z klapy; na ściernisko, zdeptane i rozryte, wyleciała torebka damska. Paryska, żółta, z prawdziwego peccari. (Ma ją teraz jedna znajoma

Józka z Dundee i całe miasto podziwia ów dowód polskiego męstwa). Po czym w ślad za torebką wyleciał z czołgu bal różowiutkiego jedwabiu, najlepszego, lyońskiego, potem taki sam w rzuciki, potem damskie koszule, potem pantofelki damskie, nowiuśkie, jeszcze w tekturowych pudełkach. Była nawet firma: „Honoré Galorean et Fils, Brest". Wreszcie ukazał się sam Józek. Wymachiwał tryumfalnie złotogłową butelką Veuve Cliquot. Wieczorem nie tylko od załogi „Nelly" jechało szampanem i perfumami Guerlain'a.

Odkrycie dokonane przez Józka, a zapisane na karb licznych już wyczynów 10 pułku, wywołało swoje echa.

— To już nie są żołnierze — powiedział Baca.

A słowa Bacy były w pułku święte. Tak, rabusie może, raubrittery, ale nie żołnierze, powiadano sobie. Z nagrabionym mieniem uciekali do domu i nie zdążyli.

Ale nie wszyscy ujmowali sprawy tak żołniersko i odtąd, jeśli żywe czołgi niemieckie budziły jeszcze lęk, to ustrzelone wywoływały ogromne zainteresowanie. Okazało się, że wnętrza Panther są istotnie przepastne i posiadają niezwykle różnorodną zawartość. Skrzynki z amunicją musiały zrobić miejsca bardziej pokojowej zawartości — jedwabiom, trzewikom, wyrobom tak zwanym w Polsce galanteryjnym. Dział winny i branża perfumeryjna były szczególnie obficie reprezentowane. Porucznik-hrabia L. załamywał ręce:

— Takie wina dla tych niemieckich chamusiów! A perfumy! I „Sous le vent"! I „Cuir de Russie" i „Dans la nuit". Ach, Boże! Co te łotry zrobiły z tą nieszczęsną Francją! No, dajcie mi tę butelczynę i tamte trzy także. Trzeba coś uratować z rozgromu.

W odróżnieniu od wielu innych załóg, nie mówiąc już o dragonach, a tym mniej o piechocie, w załodze „Nelly" górowało jednak uczucie pogardy. „My nie będziemy nigdy tacy", stwierdził podchorąży. Wprawdzie Józek, strzelec przedni, coś tam chciał rzec, ale Ambroży, kierowca, tylko nań popatrzał. Wystarczyło. Nie, nie. Było jasne, wydawało się jasnym, że „Nelly" będzie i nadal rozpruwać kałdony niemieckim czołgom, jak temu przed Jort, ale że ani ich zawartością nie będzie się zbytnio zajmować, ani sama nie upodli się do tego stopnia, by ładować w siebie szampany, guerlainy czy damskie jedwabie.

Ale los się mści na nas zawsze, to też niebawem spartańska surowość 10 pułku została narażona na ciężką próbę. Od Sekwany pułk poszedł znowu na czoło dywizji, korpusu, armii — i walił przez cały dzień, blisko sto kilometrów wprost przed siebie, aż popod dymiące w dole Abbeville. To był rajd! Na drogi wybiegała ludność i wtedy wiedziano, że Niemców nie ma: albo nie wybiegała i wtedy załoga Cromwella uczepiała się swych stanowisk. Ale tam, gdzie ludność witała, tam podbiegały kobiety, niosąc jabłka, kwiaty, butelki wina — i powoli wszystkie te dary, za wyłączeniem kwiatów, składano w głębiach czołgu. Wieczorem Ambroży skonstatował, że tak go obstawiono butelkami, że nie może prawie prowadzić wozu, a potem z radiotelegrafistą i strzelcem głównym, kapralem, tym od działka, sporządzili inwentarz. Były tam calvadosy i armaniaki, były koniaki, burgundy, sauterny, beaugeolais, znane złotogłowe

szampany akurat tych samych marek, a nawet roczników, co znalezione poprzednio w rozbitym czołgu. Porucznik hrabia, który zawsze znajdował się tam, gdzie strzelały baterie butelek, był tym widokiem niezwykle pokrzepiony na duchu:

— Jednak mojej Francji nawet Niemcy nie dali rady — orzekł.

I tylko Józek zauważył sceptycznie:

— Coś mi się zdaje, panie podchorąży, że jak tak dalej — to my będziemy tak trochę wyglądali, jak tamten Tiger, cośmy mu dogodzili pod tym Żor...

Musiano mu dopiero unaoczniać tę zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między tym, co jest dziełem rabunku, a tym, co stanowi dowód wdzięcznych uczuć alianckich. Ale Józek nie bardzo rejterował:

— Rabunek nie rabunek, uczucia nie uczucia, a tam butelek pełno i tu butelek pełno. Prawda, galanterią jeszcze nie rzucają, ani biustonoszamy, ani jedwabiamy. Ta i różnica. —

* * *

Nad Francją dogasał skwarem słońca i łunami pożarów sierpień, sierpień jabłek, żniw, wyzwolenia i wojny, a pułk dziesiąty strzelców konnych, pułk dziesiąty strzelców konnych imienia Jana Maciejowskiego rżnął na Saint-Omer. Ze sztabu dywizji przychodziły co wieczór nowe mapy, na sieci radiowej każdy dzień przynosił nowe kryptonimy, i nim się przyzwyczajono do jednych, już jutrzejszy dzień przynosił nowe. Kolejno każdy ze szwadronów wysuwał się na czoło pułku, — i wiedział wtedy, że idzie pierwszy, pierwszy z całej dywizji, korpusu, armii, że rżnie przez Francję na samym samiuśkim czele całej sławetnej B.L.A., jak pisano na kopertach, czyli „British Liberation Army" — Brytyjska Armia Wyzwolenia. Czarny, prostokątny proporczyk dowódcy pułku z cyfrą 45, furkoczący wysoko nad czołgiem, był pierwszym sztandarem alianckim, jaki się pojawił na tych drogach od lata zgrozy, hańby i żalu, lata 1940. Pułk szedł, napełniając powietrze Francji łoskotem swych gąsienic po jej asfaltowych drogach, wpadając na Niemców, uciekających wozami jednokonnymi, płosząc ich z kafejek, zrzucając samym swoim pojawieniem się z jakichś skradzionych damskich rowerów, w ten bowiem niezbyt tryumfalny sposób odbywał się pośpieszny heimkehr nowoczesnych Nibelungów. Tam, gdzie był opór, łamano go. Potężne działa Cromwelli uporywały się szybko ze zjadliwym ujadaniem niebezpiecznych kiedyindziej moździerzy. Mogły nawet nieboszczyków z grobu wydobyć! Tak było raz, gdy pluton porucznika Edwarda Rożka wyjechawszy na górę dostał z dwóch stron ognia moździerzy. Trzy lufy długich dział jego Cromwelli momentalnie zwróciły się na lewo, — i tam, gdzie był sad i skąd zaszczekały moździerze, wzbiły się zaraz czarne rozpryśla ziemi, wcale nie tak jakby to skądciś padły tam pociski, a tylko tak, jakby to z tamtego sadu trysła pod górę trzema wulkanami zbuntowana ziemia Francji. I nim ten kurz czarny opadł, już z sadu — czy z tego, co *było* sadem — zabielały w powietrzu dziesiątki kornie podniesionych rąk. Tylko machnięto im ręką, wskazując kierunek marszu — na zachód! — i już lufy plutonu zwracały się na drugą stronę szosy.

Por. Rożek przeszedł ułamek zawahania; celowniki wskazywały na cmentarz. Przykro było budzić spokój zmarłych aliantów, ale ogień moździerzy z tej strony zbliżył się podejrzanie, toteż trzy działa oddały swą straszliwą salwę prosto w cmentarz. Teraz przed lunetami czołgów, w rdzawej kurzawie, śmigały w powietrzu nie tylko połamane drzewa, ale jakieś krzyże kamienne, gipsowe aniołki, kraty, a — co gorsza — całe trumny, naraz wyrzucone z głębi ziemi na wysokość kilkuniastu metrów. Cmentarz był tuż przy drodze i jego zawartość wysypała się i na drogę, tak że leżały poniżej u jej skraju, patrząc oczodołami pustymi pomieszane pospołu, stare francuskie trupy i nowe, niemieckie. Trzy czołgi Rożka były już tymczasem daleko. „Nelly" także. Właśnie spełniła się była przepowiednia Józka i przeszli na to, co nazywał „niemieckimi metodami walki". W coraz większej ilości miejscowości już były wykwitły z powrotem, podnoszone automatycznie za zjawieniem się polskich czołgów, francuskie Tricolore, w coraz większej ilości miasteczek i wsi ludność nie kryła się już, ale wybiegała na drogę, pijana wolnością. Była nią naprawdę pijana; była to radość i szał, i rozrzewnienie do łez samych, i złość, kamienna, zażarta złość i czasem na małych rynkach, pod jakimś pomnikiem poległych z tamtej wojny, w Marsyliance był szczęk gilotyny, a w oczach ludzi z maquis jakobińska zaciekłość. Cromwelle wtedy jechały wolno, ostrożnie, powoli i ludzie biegli za nimi, ludzie podawali ręce załodze, ludzie mieli oczy czerwone od łez i błyszczące szczęściem, i ludzie prosili czołgi pułku, aby stanęły na chwilę, i ludzie mówili: „nos libérateurs". Ale czołgom było śpieszno naprzód i zostawiali innym kafejki, paradowania i gadania. Więc Francuzi poczęli znosić co mogli: jabłka, wina, kwiaty, kwiaty, jabłka, wina, jakiś spocony rzeźnik przytryndał szynkę, jakiś staruszek obwieszony medalami z tamtej wojny — wianko kiełbas, i kiedy wieczorem zgrzani, opaleni słońcem, szarzy od kurzu, bezmiernie zmęczeni dniem i bezmiernie szczęśliwi szczęściem innych, oparli się o nową rzekę i stanęli obronnym obozem — nie trzeba było otwierać żadnych już puszek.

Ambroży, zapobiegliwy Wilnianin, liczył zapasy spiżarni.

— Kab półgęsek jeszcze wileński abo kiełbasy z czasnykiem, ale tu pewno nie umiejo, ci co.

— Porzundny naród Francuzy — konstatował Józek, strzelec przedni.

— Mówiłem wam: Francja — przypominał podchorąży, który, jako coëtquidańczyk, czekał dopiero na swą gwiazdkę.

Radiotelegrafista i strzelec przedni nie wzdychali za tym czego nie ma, nie oceniali odzyskanego alianta i nie propagowali Francji. Po prostu żarli. Ale jakby nie żarli, jakby nie zapijali winem a poprawiali słodką benedyktyną, — nie zdołali zlikwidować całodziennego dorobku. Ambroży z Józkiem spakowali co zostało, tak by się butelki nie potłukły, a reszta jedzenia nie pozaciekała smarami. Znienawidzone corned beefy oddali Francuzom z sąsiedniej farmy. Ci rozpływali się w podziwie nad hojnością Polaków.

— Nietrudny ten ich naród — powiększał zasób swych doświadczeń kierowca Ambroży.

Nazajutrz rano pułk miał macać przeprawy na owej rzece; kierunek był teraz

na Saint-Omer. Wśród map dosłanych ze sztabu dywizji pojawiły się mapy nowego kraju: Belgii. Na rzece były zaznaczone cztery mosty i jeden problematyczny bród i plutony rozjechały się, aby uchwycić mosty, jeśli ich Niemcy nie wysadzili, i trzymać. Rzeka płynęła malowniczo, jakby w jarze, tworząc zakola i zalewy, i Ambroży dostrzegł w niej pewne podobieństwo do Wilii tuż koło Werek. Ale Wilia, rzecz jasna, była piękniejsza. Teren był pofalowany, jak mówiono jeszcze na odprawie, i rzeczywiście były to wzgórza, wzgórki, dołki, jarki i wszędzie tam siedziały domy, farmy i wsie. Niemców przedzielała rzeka, to też ludność, nie bojąc się niczego, wyległa tym skwapliwiej. Od cofających się oddziałów którejś z dywizji SS dowiedzieli się wczoraj, że nadchodzą Polacy, — i na domach obok chorągiewek trójkolorowych bieliły się i kraśniały polskie. Przyjazd czołgów nie był, jak gdzie indziej, niespodzianką walącą się naraz z góry po latach czekania na tę chwilę. Słyszano i widziano je, jak wieczorem dobiły do rzeki i stanęły obozem opodal. Wiedziano, że się zjawią z rana albo przed południem. Czekano na nich na drogach, dzieci wypadały na rozpoznanie, staruszki wynosiły stołki przed domy i siadały mrużąc oczy w słońcu, przyczłapywał czarny Monsieur l'abbé i uroczysty Monsieur le maire. Była to nie tylko uroczystość, była to także zabawa. Że zaś miano czasu pod dostatkiem i że w departamencie Pas de Calais mieszkała ludność praktyczna, przeto nikt nie przychodził witać Polaków avec les mains vides. O, nie! Wiedziano też, że żołnierz nie żyje samym słowem w rozkazie czy gazecie, poranną rosą, uśmiechem kobiecym, a nawet kwiatami, ale nieco bardziej konkretną konkretnością. Zacne Katany miały też jedną rękę wzniesioną do witania, a w drugiej dzierżyły swe dary. Śmiał się z góry słońcem francuski sierpień, dyszały wonią owocu sady, — i tylko czasem znad rzeki zastukała jakaś krótka seria, jak poderwana nagle z tataraku cyranka.

W sprawach życiowych załoga „Nelly" stanowiła swego rodzaju kolektyw, gdzie większość decyzji, poza bojowymi, zapadała umownie, niejako automatycznie, narzucona zwykle przez okoliczności. Tak było i tego właśnie dnia, kiedy jeździli od mostu do mostu, szukając długo takiego, którego nie zdążyli wysadzić Niemcy. Zbyt długo jechali drogami i wsiami, gdzie wylegała ludność, żeby nie dostosowali się do nowej sytuacji. Bo ludzie w czołgach — to nie automaty, nie stupaje bezmyślne, nie muje-salutuje, ale ludzie z rozpoznaniem. Z pomyślunkiem. A nowa sytuacja narzuciła członkom załogi nowe funkcje. To prawda, że kierowca prowadził czołg, jak dalej (tyle, że swą klapę miał otwartą i musiał uważać, by nie najechać na nadmiernych entuzjastów); ale Józek, strzelec przedni, w ogóle nie był na swoim przepisowym miejscu. Siedział na zewnątrz czołgu, z boku, oparty o błotnik, z nogami opuszczonymi w dół, do wnętrza. Jego ręce, zamiast być u uchwytów karabinu maszynowego, wędrowały nieustannie, jak krany portowe czy żórawie w dokach, od tłumu do wnętrza czołgu i z powrotem. (Tę drogę powrotną odbywały oczywiście puste). Ach, ręce Józka! Trzeba było widać te łapska, długie, czerwone, małpie, prawdziwe łapy Powiślaka albo Muranowszczaka, jak tak zataczały półkola z lewa w prawo, od tłumu do czołgu, jak chwytały w locie podawane butle, paczki, kosze, zawiniątka, i rzeczowo, systematycznie i szybko składały je w niezgłębionych cze-

luściach czołgu, jak w piwnicznych sklepach. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Aż utrudził się Józek, pot mu się lepił na czole pod tym czarnym beretem ze srebrnym orzełkiem na nim. (Nie zdjął go, jakby to pewno nie jeden inny ćmoj zrobił: niech wiedzą, że Polacy!) Gdyby tłum naokoło był bardziej zdolny do chłodnej obserwacji, zauważyłby, że Józek nie pracuje bezmyślnie. Jego ręce nie wyciągały się bezmyślnie do każdego podanego daru. Wybierały. Butelki szampana łatwe do odróżnienia od innych miały niewątpliwie priority przed wieloma innymi — chyba że Józek dostrzegł taką, która patrzyła na calvados albo kirsch. Na podstawie jakichś nieznanych, tajemnych kryterii dostrzegał jedne paczki przed innymi, wiedział, które wystarczy cisnąć gdzieś na dno czołgu, a które starannie złożyć. Po francusku nie umiał ani słowa, z wyjątkiem „oui", które wymawiał za to po wielokroć, oczywiście jak polski „łój". Hałas gąsienic, silników, głosy ludzi nie nadawały się też do oracji, ale Józek niezmordowanie wołał:

— Łój, łój, łój! Dawaj, dawaj twoje szampańskie, Katanie patriotyczny, dawaj, dawaj. Te, nie pchaj mi flachy w rękie, kolejki się pilnuj. Łój, łój, dziękuję paniusi, dziękuję. O, to, to, więcej takiej świńszczyzny, a prędzej będziemy w Berlinie. Ambroś, kaszanka, jak Pana Boga kocham, kaszankę bauer dowalił! A o de kołoń dla narzeczonej szkockiej macie? O de kołoń? O de kołoń? Ziela nie wal, córuchna, ziela mi nie pchaj na oczy, czołg nie trumna paninej babci. O, z tą to bym poszedł na ksiuty, jak Boga szczerze kocham, jakby był postój jaki. Zara, zara, łój, łój, merci, bążur, nie pchajcie się, każden swoje złoży, nic się nie bojta, dobry narodzie aliancki!

Aczkolwiek niezrozumiałe i zagłuszone, przemówienia improwizowane Józka robiły znakomite wrażenie. Czołg stwierdziwszy, że i ten most Niemcy zerwali, ruszył na nowy kierunek. Stanąwszy na rozdrożu, podchorąży porównywał teren i mapę. Józek tymczasem wyciągnął praktyczne wnioski z zakończonej przed chwilą akcji bojowej.

— Ambroś, jak mi nie bedziesz jechał wolniuśko przez ten nowy wilaż, to jak Pana Boga mego kocham, nie nadążę. Już teraz ze trzy koniaki zostały! Mnie, rozumie się, nie o te koniaki tak chodzi, ale o to, że Francuzom, aliantom, sprzymierzonym, k...ich mać, Francuzom, nie mogiemy przecie despektu robić. Co się spieszyć, wojna się kończy, czy co? A nam to się inni może spieszą? —

A zwracając się do wieży, dodawał:

— Antosiek (był to radiotelegrafista), mógłbyś te jabłka w locie łapać, jak będą rzucali. Ja nie podołam z tym drobiazgiem. Jabłka dobre. Kaczkie jedną mamy, to mogłaby za gęś z jabłkami biegać, jak będzie gdzie postój.

Tylko strzelec główny, sterczący zbyt głęboko w wieży, nie nadawał się do nowych zadań czołgu. Ale już dla dowódcy „Nelly" Józek miał odpowiednią funkcję.

— Panie podchorąży! A niech pan podchorąży tak stoi prosto we wieży i salutuje co razu. Ale tak i na prawo i na lewo. Jak ten ich de Gaulle w Paryżu. I uśmiechać się jak jaka lepsza. To bardzo dobrze robi, uczucia alianckie wzmacnia i szpyry nam przymnoży. Reprezentacja grunt.

Następny most także wysadzili niegodziwi Niemcy, o czym przez radio zara-

MICKIEWICZ WSPARTY NA SKALE AJUDAHU

PORTRET PĘDZLA WALENTEGO WAŃKOWICZA

KSIĘGI

PIELGRZYMSTWA,

NOWY JOB,

i

SŁOWA WIESZCZE.

WYDANIE ALEX. JEŁOWICKIEGO.

PARYŻ

CENA ZŁ. POL. 3.

1834.

EGZEMPLARZ „KSIĄG PIELGRZYMSTWA“
Z WŁASNORĘCZNĄ DEDYKACJĄ POETY

(WYDANIE PARYSKIE RAZEM Z „NOWYM JOBEM“ KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWEJ)

portowano do pułku, a z pułku do dywizji. Wiadomość ta nie zrobiła, jak się zdaje, dobrego wrażenia ani na szczeblu pułku, ani na szczeblu dywizji, ale Józek nie ulegał przesadnemu pesymizmowi. Okoliczność, że pomiędzy alianckim a niemieckim brzegiem były już dosłownie spalone mosty, działała bowiem znakomicie na wzrost powitalnych nastroi, co z kolei nie pozostawało bez wpływu na zawartość czołgu. Kiedy rozpoznawano na trzeci most, Ambroży musiał już odgarniać wszystko na bok: kierowcy brakło miejsca.

— Nic to, po corned beefach, sucharach i innym puszkowym paskudztwie nareszcie będzie jakieś ludzkie wcinanie — uspakajał Józek.

A inni byli jego zdania, bo istotnie nadojadło to wszystkim.

Trzecia miejscowość była jakaś większa, bogatsza, jakieś zamożne i widocznie dystyngowane panie cisnęły się do auta, jakiś emerytowany francuski generał, pięknie wyprostowany, z siwym wąsem, ucałował w oba policzki czerwonego jak piwonia podchorążego. Okazało się, że zna Coëtquidan, poznał kiedyś generała Sikorskiego i należał do „Amis de la Pologne" w Nancy. Podczas tych zwierzeń Józek nie zaprzestał zgarniania owoców zwycięstwa i wyciągania lepszych wyników z polsko-francuskiej przyjaźni, niż robiła to (z większym kosztem) nasza dyplomacja. Na jedno patrzył tylko krzywo: na kwiaty. Jak na złość, kwiatów było tu pełno i obczepiono nimi wszystkie trzy czołgi plutonu. Obwieszono lufę działka, wieżę, błotniki, reflektory; wszystko w co tylko dało się wetknąć kwiaty. Ambrożemu do klapy wpadły olbrzymie piwonie, wciśnięte jakąś energiczną ręką: dobrze że nie róże; podrapałyby mu twarz. To też kiedy czołg wyjechał w pole, był cały barwny, obetkany różami, astrami, margeritkami, powojami, groszkami, nasturcjami, kwiatami z bogatych ogrodów i skromnymi kwiatkami z miękkich pól za Sommą, i tak jechali w tej kolorowej rozchwiei, naprawdę ukwieceni Francją. Józek narzekał, że czołg wygląda, jak karawan pierwszej klasy, ale podchorąży nie pozwolił zrzucić kwiatów. Jakże? Tymczasem było już po południu i przeprowadzeni przez miejscowych chłopaków, którzy z największą frajdą obsiedli czołg, dotarli do innego załomu rzeki. Był tu jakiś château, położony przy miasteczku, sam w głębi rozległego parku. Stare rozeschłe lipy zaszumiały nad głowami słowiańsko, powiało chłodem i zapachło jak miodem, aż wyjechali do rzeki. Mózgi trapiła jedna myśl: będzie most czy nie będzie? Bo tu, w parku, miał być czwarty most, prywatny. Może Niemcy zapomnieli, może nie zdążyli? Gdzieś po prawej zamigotał jasną plamą trawnik i jaśniejszą jeszcze, bo białą, wysokodachy château. Przewalili się mimo. Co ich to mogło obchodzić: most! Aleja druga, trzecia, po głowach wystających z wież łomotały niskie gałęzie, aż naraz rozchyliły się. Przed nimi był tamten brzeg, rzeka i — most.

Sam porucznik dobiegł ze swego czołgu do mostu stwierdzić, czy nie podminowany. Nie. Jego czołg ruszył teraz przodem. Przejechał szybko most — aż się zachybotał grat, bo nie był to żaden solidny most, a już na pewno nie na czołgi: taki prywatny, pański. Za chwilę, za zakrętem, za którym znikł czołg dowódcy plutonu, posłyszało się strzały, ale tylko z karabinu maszynowego. Drugi czołg dał gazu i przez most. Tymczasem ogrodnik Francuz wska-

zał załodze „Nelly" co innego. Oto rano był tu polski patrol, o świcie samym, i przepłoszył Niemców; ale jeden nasz padł. Sama Madame grób mu tu kopała. Ogrodnik odgarnął w krzakach przy samej drodze płytką, świeżutką mogiłę. Był na niej krzyż, a na tym krzyżu hełm angielski, piechotny, z wymalowanym orłem. I podchorąży kazał znieść te wszystkie kwiaty, bukiety, wieńce, wiązanki, te róże i piwonie, i myosotisy, i georginie, i jak tam jeszcze, tę całą kwietną wdzięczność Francji, jaka zwaliła się, oplatając stal polskiego czołgu, — i obsypać nimi tę płaską mogiłkę bez nazwy. I było to lepiej, niż rzucić to gdzieś do rowu, jak chciał niegodny Józek, a zarazem odciążyło czołg od tej zaszczytnej, ale zbyt barwnością widocznej pstrokacizny. Mógł iść do walki. I kiedy już za mostem oglądnął się jeszcze telegrafista, widział jak koło drogi i mostu na rzece, której nawet nie znali nazwy, kwiatami wypiętrzył się jeszcze jeden żołnierski grób polski na ziemi obcej, gdzie wyrósł znacząc powrót wolności.

* * *

Nocny postój zastał ich chyba dwadzieścia mil za tą przeprawą, może mniej, a może i więcej, trudno to dziś powiedzieć, bo szwadron i pułk poszły wtedy mocno do przodu, ale na noc, jak to zwykle, cofnęły się o parę kilometrów. Tę drugą połowę dnia przebyli w walce. Niegroźne to było, bo ani ppancy, ot — moździerze, karabiny maszynowe, a najwięcej to uciekających Niemców. Dwa czołgi, to prawda, dostały ale „Nelly" nawet mało strzelała. Niemniej wieczorem byli tak pomęczeni, że się nie babrali w tym, co tam w czołgu przybyło. Nazajutrz od rana był marsz, a raczej pogoń, ale Niemcy odskoczyli byli jeszcze bardziej i pułk, dywizję prowadząc, walił na granicę belgijską. Ludzie na drogach stali i czekali, Józek zagarniał co mógł, podchorąży rozsyłał saluty i uśmiechy, tylko Ambroży, kierowca, pocił się w swej jamie.

— Ambroś, coś dla ciebie: szkaplerze dajają! — zawołał w pewnej chwili Józek.

Istotnie, z klasztoru widnego opodal na górze, wyszedł biały sznur zakonników. Z podgolonymi głowami, bladzi w tej bieli habitów, wyglądali jak zjawa nie z tego świata, naraz zagubiona w tej wojnie. Tak sznur mnichów wyszedł na przełaj ciągnącemu sznurowi Cromwelli — i wieki średnie zmieszały się z tym, co dał światu okres postępu.

— Ambroś, dymaj, mówię, po sto dni odpustu — wołał Józek i dodawał — panie podchorąży, a może by my tak sobie z roczek postali z rękoma założonemy na brzuszku?

Ale ani Ambroś, ani podchorąży, ani nikt z załogi „Nelly" nie zdradzał wolteriańskich zapędów, a i sam Józek, gdy czołg doszedł na wysokość mnichów, przeżegnał się, jak inni, wielkim znakiem krzyża. A właśnie na czele stojący dominikanin, bardzo chudy, o błyszczących oczach i nieziemskim jakimś uśmiechu, podniósł krzyż i tym krzyżem wysoko w górze, powoli i uroczyście błogosławił jadącym czołgom. I tak kolejno mijały go Cromwelle dziesiątego pułku i widać było, jak załogi stojące w wozach powtarzają ten znak

krzyża — tak jak powtarzają go ludzie, kiedy wiedzą, że chwila ostatnia może przyjść na nich niebawem, spodziewana i niespodziewana, i może wtedy gdy przyjdzie, zabraknie im i sił i czasu, aby tym znakiem świętym ten świat pożegnać. A jakoś w pół godziny chyba potem, a może i wcześniej, naraz zamiast chorągiewek niebiesko-biało-czerwonych, — czerwone, żółte i czarne. I w oknach portrety z jakimś młodym przystojniakiem i blondyną z trojgiem ładnych dzieci.

— Wjechaliśmy w królestwo belgijskie! — skonstatował uroczyście radiotelegrafista.

— Jezu, Maryjo, gdzie ta granica? Człowiek nie uśpiał nawet zobaczyć swoje rozstanie z Francją, sojuszniczką tam i nazad, a już nowego alianta okupowanego wyzwala. Jak tak dalej, to może na wieczór ujrzemy te ich wiatraki holenderskie z krowamy?

Ten ostatni komentarz pochodził, rzecz prosta, od Józka.

Ale gdzieś za nimi w wysokim sztabie kazano stawać stosunkowo wcześnie po południu. Był czas na wymycie się i na pitraszenie, no i na zrobienie nareszcie jakiegoś porządku z tym bajzlem w czołgu, jak powiedział podchorąży. Szczodre dary Francji odbywały teraz drogę powrotną. Wędrowały z głębi czołgu znowu na zewnątrz, nawet przez tę samą klapę, przez którą opuściły je sprawne ręce Józka. On sam wlazł teraz do środka i podawał po kolei radiotelegrafiście, a strzelec główny i Ambroży, usiadłszy w wykopanym dole, segregowali mienie. Butelki szły do butelek, jabłka do jabłek, masarskie produkty Francji osobno, osobno sery, camembery, chleby, osełki masła. Wszystko to odbywało się wolniej niż przedtem i systematyczniej, i radiotelegrafista w ogólnej ciszy wyliczał:

— Czwarty szampan, trzeci ser, piąty szampan, szósty szampan, czwarte masło, czwarty ser, drugi kirsch, wędzonka, druga wędzonka, siódmy szampan, piąte masło, chłopaki, nie umrzemy z głodu, vive la France! Józek, podawaj dalej. Trzeci kirsch, ósmy szampan...

Był to dobry radiotelegrafista i sztuka nadawania i przyjmowania 110 liter na minutę jest, jak widzimy, dobrą zaprawą dla mózgu.

Ale właśnie coś po ósmym szampanie a przed trzecią wędzonką — nawet on utknął:

— A to co? Jakby książka? Książka, jak Boga kocham: stara, do nabożeństwa jakby. Ambroś, to dla ciebie suwenir od Francji, módl się za nas, żebyśmy nie zginęli w kwiecie życia... Trzecia wędzonka. Chleb...

Ambroś, któremu książka przypadła w udziale, odłożył ją na bok i dopiero potem, kiedy radiotelegrafista z podchorążym poszli po coś tam do szwadronu, a Józek ze strzelcem głównym zajęli się kolacją, otworzył książkę. Ambroś lubił książki, co było tym dziwniejsze, że czytanie przychodziło mu z trudem. Nie był on młody, Ambroś, nie, i podsiwiały dobrze. Nie był też analfabetą: jakżeby! Ale należał do tej klasy pośredniej, która po dziś dzień u nas istnieje, i lepiej czyta „drukowane", niż pisane, duże litery, niż małe, w gazetach przeważnie tytuły depesz, a z książek najchętniej książki do nabożeństwa. Ambroś

nauczył się szoferki, prowadził czołg spokojnie i pewnie, ale sztuka czytania była niebezpieczną rafą, którą najchętniej omijały fale jego inteligencji. Ambroś za to był ciekawszy „pisanego", niż niejeden dyplomowany. Pomimo dworowań Józka jego autorytet w „Nelly", a nawet w plutonie, był duży i kiedy w jakim silniku czy broni był defekt jaki, na postoju walono do Ambrosia.

— Panie kapralu, coś mi się w tej bizie zablokowało...

— Zablokowało? Co się tam w bizie zablokować może? No, pokażże, kochaneńki, popatrzę ci ja... O, widza... Już ja ci to zrobia, a ty mnie poczytaj o, w tej gazecie, co pod ta fotografia...

— I... to jakaś stara gazeta. I co ta to w niej! Wódz naczelny, że furt całuje junaków...

— Stara nie stara, całuje nie całuje, a poczytaj. Od razu robota sama idzie, jak kto z boku czytający...

To był jeden z tricków Ambrosia. To też kto wolał sobie pysk strzępić, dukając nawoływania do boju „Polski Walczącej", zamiast mieć ręce w smarze, a i podkrwawione czasem — walił do Ambrożego.

Ale kiedy nawet na „zablokowane" bizy panował „mortus", Ambroś pozbawiony lektury wiercił się i zagadywał:

— Józek?

— A czegój?

— Ot masz, siądź, poczytaj mi...

— Że co?

— Poczytaj, mówię.

— Akurat. Sami to nie możecie, czy co?

— Móc mogie, ale mi na oczy nie dobre pod wieczór...

— Jaki tam wieczór: piąta.

Jeśli działania wojenne zaczynały się dla Ambrożego tak niepomyślnie, zwykle przychodził mu sukurs. Najczęściej podchorąży odrywał się od listu do którejś narzeczonej, patrzył na Józka pytająco i zaczynał:

— Nic by wam się nie stało, jakbyście tak poczytali kapralowi...

— A co to? Strzelec przedni belfer, a kierowca ministrowa, żeby mu czytać?

W takich wypadkach podchorąży nigdy nie podnosił głosu. Zniżał go nawet, ale mówił tym dobitniej:

— Nie. Ale kolega.

Raz sam wziął gazetę i przeczytał całe sprawozdanie o bezzarzutnej działalności PCK. oraz rubrykę „Polacy przebywający w Teheranie" od Nr. 9823, Wrzuszczak Józef z Turki, do Nr. 10110, Zwierzchowska Helena, z domu Kracewicz, z Druii. To też Józek przestał już czekać na interwencję podchorążego i wolał kapitulować zawczasu. Mścił się za to na samej gazecie, opatrując swoimi komentarzami wywiady generalskie, przepowiednie polityczne Zbigniewa Grabowskiego, wiersze wojenne, misje dziejowe i tym podobny materiał wchłaniany przez Ambrożego ze słodką wileńską rezygnacją. Ach, używał sobie na nich i wyżywał się, a tak soczyście, że ani sposób części tego przytoczyć, i tylko chwilami Ambroś zerkał na stronę i upominał:

— A ciebie już tak koniecznie żeb gdzie jaki dosłyszał? Z dwójką chcesz znowu mieć, chcesz?

I Józek ścichał.

Teraz, kiedy tamci smażyli na maszynce świeże ziemniaki z jajami, cebulą i kaszanką, Ambroś nabożnie otwarł książkę. Powiódł po jej marmurkowej oprawie swoją szorstką, ciężką dłonią, obejrzał skórzany grzbiet; powąchał. Tak, to nie była zwyczajna książka, ale jakaś starodawna i nawet przeleżawszy tyle już godzin w czołgu, nie nasiąkła odorem smarów czy spalin, ale zachowała dalej jakiś nieuchwytny zapach zamknięcia i starzyzny. Z tym większym nabożeństwem Ambroś otworzył książkę. Niestety, karta tytułowa była naddarta, mógł przeczytać tylko słowo „KSIĘG...", a na dole, acz z trudem, *Paryż, druk. A. Pinard,* 15 *Quai Voltaire.* Dalej było po polsku: *Roku pań.* 1832; 32°, *str.* 125. Po polsku była nawet cena: 2 *Złp.* 15 *gr.* Natomiast autora nie było.

— Książka do nabożeństwa — pomyślał znowu. A winietka, religijnego typu, utwierdzała go w tym przekonaniu.

Na drugiej stronie zauważył zbrunatniały od starości atramentowy napis. Litery były wykaligrafowane wyraźnie, acz na pewno starszą już ręką. Niezrozumiały dla Ambrosia napis brzmiał:

Ce livre appartenait
a feu mon père
Erasme Klobukowski
officier au 10*me Reg. Pol.*
des Chasseurs à Cheval.
Dieu veille sur son âme!

A. de M.

— Klobukowski — męczył się chwilę Ambroży; — Klobukowski? Był Kłobukowski w Nowoświęcianach; jest dużo Kłobukowskich. Jest u nas w pułku podchorąży Kłobukowski.

Zerknął z przyzwyczajenia na Józka. Ale ten był zajęty rozpalaniem ognia.

— Te, Ambroś, a może byś ty nam poczytał na ten raz jeden? — uprzedził atak.

— Ano, jak tam, Ambroś — zażartował strzelec główny. — Małośmy się dla ciebie naczytali?

— No, ale co, to książka cała, nie widzicie — bronił się Ambroży.

— Gdzie popadnie; byleś poczytał — i w oczach mieli złośliwe uśmiechy. Trącili się łokciami.

Nie było rady. Ambroś popatrzył na otwartą właśnie stronicę. Druk był wyraźny, czysty; nie jak w gazecie; ale właśnie jak w książce do nabożeństwa. Poza tym było dużo białych miejsc i zdań zaczynających się od nowej litery. I jakoś naraz wydało się staremu kapralowi, że sprosta czytaniu, więc wziął i zaczął czytać tam, gdzie otworzył. Było spokojnie na polu i tylko wsunięta

popod czołg szypiała maszynka, kiedy naraz odezwał się niepewny, a modlitewny i uroczysty jakiś głos Ambrosia:

„A kiedy mówią o wojnie waszej dla zbawienia narodów, nie przeczą, że dobrzeście zrobili, ale powiadają, że niewcześnie, jako doktorowie wyrzucali Chrystusowi, iż w szabas śmiał ludzi uzdrawiać, i krzyczeli: godzili się w szabas uzdrawiać"...

Przeczytał i jakby się zląkł, czy czytać ma dalej. Podniósł oczy i zgubił tekst, który czytał. Natrafił na inny, jakby od początku rozdziału, nawet nadstrzępiony, i czytał:

„Słyszycie, że mówią: tam ojczyzna, gdzie dobrze. A Polak powiada narodom: tam ojczyzna, gdzie źle, bo gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni.

Powiadano dawniej narodom: Nie składajcie broni, póki nieprzyjaciel trzyma jedną piędź ziemi waszej; ale Wy powiadajcie narodom: Nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej.

Bo i Francuz, i Anglik, i Niemiec bronią własności swej, i nienawidzą nieprzyjaciół swych. A przecież, kiedy Francuz i Anglik i Niemiec podróżują między ludami, tedy ludy nie wychodzą spotykać ich, i śpiewać im pieśni ich.

A Was spotykają, i ugaszczają, i śpiewają Wam pieśni Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za wolność świata".

Czytał teraz dłużej, nieprzerywany, aż rozdział cały się skończył, ale krótki, i nowy zaczął:

„Gdy przyjdziecie do miasta jakiego, błogosławcie mu, mówiąc: wolność niech będzie z wami. Jeśli was przyjmą i usłuchają, tedy wolni będą; a jeśli wami wzgardzą i nie usłuchają was i wypędzą, tedy błogosławieństwo wasze do was powróci".

Ambroś przystanął. Czy sam się dziwił słowom, które przez siebie mówione słyszał? Czy coś się w nim odezwało, chociaż sam jeszcze nie wiedział co? Była prawie groźba w tych słowach ostatnich i sam się jej jakby przeląkł, że zamilkł — tak jak zamilkli i tamci.

— No? — zapytał tylko Józek.

„Odchodząc z miasta i kraju bezbożnego, niewolniczego — czytał dalej trudne słowa Ambroży — *otrząście proch z obuwia Waszego, a zaprawdę powiadam Wam, iż lżej będzie Tulonowi, i Nantes, i Lugdunowi w dniach Konwencji, niźli będzie onemu w dniach Konfederacji Europejskiej".*

Do czołgu podszedł kierowca z innego plutonu o coś poprosić czy zapytać. Posłuchał chwilę i zagadnął Józka półgłosem:

— Przepowiednie?

A gdy Józek potaknął tylko głową, słuchali dalej. Było ich już siedmiu:

„Albowiem gdy Wolność zasiądzie na stolicy świata — czytał Ambroży, oparty o błotnik Cromwella, właśnie jakby modlitwę czytając — *będzie sądzić narody.*

I rzeknie do jednego narodu: Oto byłam napastowana od zbójców, i wołałam na ciebie, narodzie, o kawał żelaza do obrony, i o garść prochu; a tyś mi dał artykuł gazety. A naród ów odpowie: Pani moja, kiedyż wołałaś do mnie? I odpowie Wolność: Oto wołałam ustami tych pielgrzymów, a nie słuchaliście mnie; idźcie więc w niewolę, kędy będzie świst knuta, i chrzęst ukazów.

I rzeknie Wolność do drugiego narodu: Oto byłam w utrapieniu i w nędzy, i prosiłam ciebie, narodzie, o opiekę prawa, i o opatrzenie; a tyś na mnie rzucał ordonansami. I odpowie naród: Pani moja, kiedyś przychodziła do mnie? I odpowie Wolność: Przychodziłam do ciebie w stroju tych pielgrzymów, a tyś mną wzgardził; idźże więc w niewolę, kędy będzie świst knuta, i chrzęst ukazów.

Zaprawdę mówię Wam, iż pielgrzymstwo Wasze stanie się dla mocarstw kamieniem obrazy".

W tym miejscu kończyła się strona i dwie następne kartki z trudem dawały się odlepić; Ambroży, który łatwiej sobie dawał radę ze świecą lub ze starterem niż z książką, rozlepiał je, ile mógł, z trudem. Ale zauważył przy tej czynności, że wokoło niego i za nim ucichło, przystanęło i zasłuchało się coś znacznie więcej ludzi

Po chwili słychać było ten sam niewprawny w czytaniu, śpiewny jakiś głos Ambrożego:

„Odrzuciły mocarstwa kamień Wasz od budowy europejskiej, a oto kamień ten stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy, a na kogo on upadnie, tego skruszy, a kto nań potknie się, ten upadnie, i nie powstanie.

A z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu.

Bo przeniesiona będzie stolica Wolności.

Jeruzalem, która mordujesz ludzi mówiących o Wolności, mordujesz proroki twoje; a lud, który morduje proroki swe, uderza sam siebie w serce swoje, jako szalony samobójca".

I potem już, sam nie wiedząc jak go zebrało, czytał Ambroś dalej o rządcach francuskich i mędrcach francuskich, co obiecywali wolność, i o rządcach i mędrcach angielskich, i o kupcach i handlarzach obojga narodów, co „przysłali pieniądz na zgnębienie wolności". Tak, były to niezawodnie przepowiednie.

„A oto przyjdą dni, że będziecie lizać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody".

Mowa książki była niejasna, zwyczajnie, jak w takich przepowiedniach bywa, ale chwilami wydawała się im jaśniejsza, niż wszystko co jest wkoło nich obecnie. Ciemniało tak, że zapalić musieli światło reflektora, obłożywszy je tylko kocami. Poprzez ten black-out i spoza tych płacht, w gęstniejącym chłodzie mroku widniała oświetlona rzęsiście niewielka stara książka i dochodził łamiący się głos czytającego:

„Panie Boże Wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalń sybirskich, i ze śniegów kamczatskich, i ze stepów Algieru, i z Francji ziemi cudzej...

Tu głos Ambrożego załamał się nagle, zatrzymał chwilę, aż podjął:

„..i z Francji ziemi cudzej. A w ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie; i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich, Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą, i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen".

I naraz wszyscy, co słyszeli, razem z Ambrożym sami już powiedzieli to: *Amen.*

Wtedy zaś tak jakoś stało się samo, że wszyscy poklękali naraz, ledwo Ambroś przeczytał — dużymi literami stało w książce — „LITANIA PIELGRZYMSKA". Więc kiedy tylko przeczytał to „litania", to najpierw poklękał ten i ów a potem inni w tym mroku, bo już całkiem się ciemnawo zrobiło, i odpowiadali kiedy ten czytał:

Kyrie Elejson, Chryste Elejson,
Boże Ojcze, któryś wywiódł lud swój z niewoli egipskiej i wrócił do Ziemi Świętej,
Wróć nas do ojczyzny naszej.
Synu Zbawiciela, któryś umęczony i ukrzyżowany, zmartwychwstał i królujesz w chwale,
Zbudź z martwych ojczyznę naszą.

I szła nieznana przedtem litania, polska i bliska, aż nauczyli się powtarzać, jak w kościele:

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany, wyrżniętych w kościołach pańskich i domach,
Wybaw nas Panie.
Przez męczeństwo żołnierzy, zamordowanych w Fischau przez Prusaków,
Wybaw nas Panie.

Przez krew wszystkich żołnierzy, poległych w wojnie za Wiarę i Wolność,
Wybaw nas Panie.
Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich,
Wybaw nas Panie.
O wojnę powszechną za wolność ludów,
Prosimy Cię Panie.
O broń, o orły narodowe,
Prosimy Cię Panie.
O grób dla kości naszych na ziemi naszej,
Prosimy Cię Panie.

I tego dnia prześlepili nawet wieczorny komunikat z walk warszawskich — a nie prześlepiali go nigdy.

Książka odtąd była już z nimi.

* * *

Jakoś w dobre kilka tygodni potem, w pewnym londyńskim hotelu biedzono się nad nadesłanym aż z Holandii meldunkiem:

„...zlecone mi zadanie wyśledzenia, czy pobyt we Francji, od dawna znanej z rozkładczych i demoralizujących tendencji, a obecnie szczególnie silnie podminowanej rewolucyjną zarazą, nie działa na żołnierzy I Dyw. Panc. — starałem się wypełnić z całą służbową gorliwością. Obawy, jak i przewidywania, były całkowicie uzasadnione. Co prawda, postój pod Bayeux był za krótki, następnie walki pod Falaise zbyt zajmowały uwagę, by już wtedy wpływy podziemne na zwartość moralną dywizji mogły odpowiednio podziałać. Jak jednak nawet krótki pobyt we Francji może się okazać destruktywnym, tego dowodem jest następujący, wykryty przeze mnie — nie bez trudu i kosztów (rachunek załączam), wypadek..."

Po czym w tymże tonie utrzymany był meldunek, że do jednego z czołgów pułku rozpoznawczego podczas rajdu na Saint-Omer („gdzie jeszcze przed wojną, jak wszędzie w skupiskach przemysłowych i robotniczych, macki Kominternu były szczególnie ruchliwe"), podrzucono „agit-broszurę w języku polskim, zręcznie zamaskowaną w formie modlitw i proroctw", która niemniej zawiera „typowo-wywrotowy materiał". Jest tam przede wszystkim „stałe, niestety, zjawisko na emigracji podważania autorytetu władz wojskowych"; (świadczy o tym już taki ustęp: „na jakich ludziach Ojczyzna wasza największe pokłada nadzieje? Nie... na ludziach, którzy dawniej wojny robili i wyuczyli się najlepiej maszerować, i szykować, i rozprawiać o wojnie, ale na poczciwych żołnierzach, tudzież młodzieży". Czy to nie stały slogan wywrotowej propagandy?) Podejrzane jest również stanowisko w sprawie granic: „Alboż kłóci się Litwin z Polakiem o granice Niemna, i o Grodno, i o Białystok?" Dosłownie! Cóż zaś powiedzieć o następującym passusie? „A Polak (cytuję dosłownie, pisał gorliwiec) mówi Francuzom i Anglikom: jeśli wy, dzieci wolności, nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a rozbudzi obrońców Wolności z kamieni, to

jest Moskalów i Azjatów!" Oto dosłowne brzmienie. A jeszcze są i takie zdania, jak „i będziecie wołać do młota od ludu waszego". Nie ma nic o sierpie, ale chyba jasnym jest ten młot. Jest i wiele innych podobnych aluzji.

„Jak udało mi się stwierdzić — kończył meldunek — owa bibuła wywrotowa była nawet czytana głośno. Jeśli tak późno o tym zawiadamiam, to jedynie dlatego, że nasza praca wywiadowcza w tej formacji natrafia, niestety, na nieprzezwyciężone przeszkody. Znany jest fakt, że i dawny i obecny dowódca pułku nie odnosili się z należytym zrozumieniem do pracy wywiadu na terenie własnym i nawet oficerowie wywiadowczy poświęcali nadmiernie wiele uwagi nplowi, zaniedbując właściwe zadania II-go oddziału. Robiłem z mej strony, co mogłem, aby temu zaradzić i na własną rękę rozpiąć w pułku odpowiednią sieć informacyjną. Jest to jednak szczególnie trudne z uwagi na fakt, że pułk rozpoznawczy, będąc stale w akcji, jest bardziej niż inne narażony na straty, a najwytrawniejsi nasi ludzie nie bardzo się kwapią, jak wiadomo, do pierwszej linii".

Meldunek, jak się zdaje, spowodował dłuższą, kryptonimową korespondencję pomiędzy londyńską centralą a kontynentalnym gorliwcem, prowadzoną jemu tylko znanymi i właściwymi drogami. Specjalnie wykwalifikowani rzeczoznawcy, sprowadzeni (za zwrotem kosztów i dietami) z Edynburga, biedzili się nad wyjątkami z podejrzanej broszury, nadsyłanymi tymczasem z kontynentu. I dopiero jeden z nich, który kiedyś nawet złożył maturę, mógł uspokoić czujność kolegów. Broszura była naprawdę wydana w 1832 roku. Napisał ją wtedy — choć nie podpisał nigdy — niejaki Adam Mickiewicz, za życia i na emigracji pomawiany zresztą często i gęsto przez ówczesnych gorliwców o rusofilstwo, słowianofilstwo i żydokomunę. Nazywała się zaś „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego".

Nikt tylko nie dowiedział się i zapewne nie dowie się już nigdy, jakimi drogami dobrnęła ta własność polskiego oficera i emigranta do wnętrza polskiego czołgu, sunącego latem po wojennych drogach Francji. Nazwisko Erazma Kłobukowskiego z 10-go pułku Strzelców Konnych Gwardii występuje parokrotnie w annałach tamtej emigracji. Brał on udział w socjalistycznej Gromadzie Humań, gdzie żołnierze i oficerowie żyli w braterskiej komunie, z Bemem szykował się do Portugalii, ale i w Hotelu Lambert był kiedyś na obchodzie powstania. Potem znikł z widowni zupełnie — i dopiero teraz wojna wyorała ostatni po nim ślad. Jedno w każdym razie było sądzone temu wygnańcowi: książeczka, z której ongiś modlił się o broń i orły narodowe i o wojnę powszechną za wolność ludów, trafiła nie tylko pod strzechy wieśniacze, ale i pod blachy pancerne polskich czołgów.

(„Nowa Polska", Londyn, styczeń 1945)

JULIUSZ KLEINER

„KONRAD WALLENROD"

Na rozprawę niniejszą złożyło się kilka ustępów rozdziału poświęconego *Wallenrodowi* w tomie II monografii o Mickiewiczu, której tom I ukazał się w roku 1934, a tom II gotowy jest do druku.

Wielkość i tragizm objawiły się Mickiewiczowi w czasie pobytu w Rosji. Przestał wyrażać jego postawę psychiczną uczuciowiec Gustaw, zapatrzony w zjawę umarłego szczęścia. Przestał jako symbol osobisty wystarczać żeglarz od wichrów i fal zależny. Wyłoniły się z logiką wewnętrznej konieczności nowe symbole, wcielające prymat woli i dynamikę rewolucyjną, zdolną do przekształcenia życia: Farys, heros przestworów świata, zwycięski niewyczerpaną, żądną walki, rozpędową energią witalną — Samson, heros narodu, tragiczną mocą niszczący wroga i siebie — świadomy misji śpiewak ze wzniesionym nad fale losu i czasu narzędziem pieśni — burzyciel czynu i ostatni bard, prorok przyszłości i kapłan „narodowego pamiątek kościoła".

„Kościół pamiątek" zbyt już wyolbrzymiał, by go mogły zapełnić mary przeszłości osobistej. A w tym rozszerzeniu psychiki i wielkość była — i tragizm.

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może...

Obu owych czynników brak było wileńskim tomikom poezji. Wielkością nie podbija ni córka Tuhana, ni Grażyna, ni Litawor. Nie wydrukowana jeszcze, ale krążąca między młodymi „Oda" wzywa do wielkości, lecz nie jest sama wielkością, raczej hasła wielkie wyraża niż wielką osobistość. W dziejach Gustawa wzrusza tragedia serca w takim znaczeniu, w jakim tragiczne jest wszelkie niszczenie wartości, nie narzuca się jednak przekonanie, że włada tutaj konieczność. Zresztą — kochanek samobójca zbyt długo mówi i zbyt głośno. Wyroczne opanowanie słowa, które spotęguje się w „Sonetach Krymskich", miał dopiero wiersz „Do M..." nieznany ogółowi w chwili wyjścia „Dziadów"; on też istotnie zbliżał się do tragizmu. I to wszakże było tylko pogranicze, dalekie od wyżyn i otchłani „Konrada Wallenroda".

* * *

Patriota, człowiek wyjątkowy, świadomy swej potęgi osobistej, ale będący synem ojczyzny ubezwładnionej, w stolicy wroga — oto dla Mickiewicza treść główna jego życia w stolicach cara, treść, której kształtem „Konrad Wallenrod". Z nienormalnej sytuacji, wypaczającej życie, płynie jednoczesność poczucia siły i poczucia niemocy, świadomość misji i świadomość pętających warunków, które pełnienie misji uniemożliwiają — płynie spotęgowaną tęsknotą miłość ziemi rodzinnej, nienawiść względem ciemięzcy i chęć złamania jego mocy — i płynie przede wszystkim konieczność maskowania się ustawicznego.

Maskowanie się konieczne odczuwał w tym splocie udręki najsilniej. Ono przecież ciążyło nad każdym krokiem — nad listem każdym, który czytać mogła policja — nad słowem każdym, które usłyszeć mógł szpieg.

W życiu swym czuł w ogóle dwoistość: kontrast powierzchni, wypełnionej przez fakty i wrażenia o dodatniej przeważnie wartości uczuciowej, obficie napływające w ziemi obcej — i przyniesionej skądinąd, przeszłością niepowrotną zdeterminowanej głębi duchowej. Dla tych dwóch warstw formę znalazł w rozłamywaniu „Sonetów Krymskich" na część wrażeniową, opisową — i na lirykę głębin. Ale rósł ból dwoistości, gdy nad głębią duszy zaciążył nakaz utajenia. Wikłała się i komplikowała męka, bo tamować należało w sobie to, co najdroższe — a jeśli powodzenie uwieńczyło tę metodę, jeśli normalnym trybem życia kierować poczynała treść powierzchni, jeśli płynęło swobodnie życie odeskie — to wyrzutem sprzeniewierzania się duszy własnej budziła z chwilowej usypiającej przyjemności — „hydra pamiątek".

Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia;
I wkrótce lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyjatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły:
Słysząc je znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dumy tajemnicze.

. . . . . .

Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją.

. . . . . .

Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą, w obłędnych pogoniach,
Ściga swą duszę na przeszłości toniach —
Gdzie dusza jego? — W krainie pamiątek.

Męka zamaskowania była osobistym przeżyciem poety. Ale wyłonił się z niej głos, wyrażający pewną formę życia epoki całej, głos chwili dziejowej w Europie, szczególnie w Rosji samodzierżawnej. Jak bardzo zamaskowany Wallenrod odpowiadał psychologii młodych Rosjan-opozycjonistów, stwierdził M. Aronson w studium o genezie *Połtawy:* zwrócił on również uwagę, że drugą postacią reprezentującą takie maskowanie się był dla nich Kardynał Montalto, późniejszy papież Sykstus V. O nim to w r. 1826 zamierzał napisać poemat Wienimitynow; Aronson sądzi, że plan ten powstał pod wpływem Mickiewicza, o którego „*Wallenrodzie*" mógł wiedzieć młody pisarz rosyjski. (*Konrad Wallenrod* i *Połtawa* — w wydawnictwie: *Puszkin. Wremiennik Puszkinskoj Kommissii,* t. II., 1936, str. 51—52.)

Człowiek dwoisty, inny wobec wrogów, których łudzi i których pragnie zniszczyć, inny w głębi serca ukazywanego chyba najbliższym — istniał wtedy jako nierzadki typ działacza. W podziemia spisków i tajnych związków zstąpiły wśród władzy despotyzmu, wśród zorganizowanej sieci systemu policyjnego dążności rewolucyjne, czy narodowe, czy społeczne. Drugi nurt głębinowy płynął nie tylko w duszach poszczególnych, ale podmywał teren, na którym szeroko się rozlały fale reakcji.

Do podziemi konspiracji schodzili nieraz ludzie mający stanowiska urzędowe, nawet mający udział wybitny w machinie rządowej, pozornie oddani władzy, a nienawidzący jej, wyzyskujący swe stanowisko, swe stosunki, by służyć ideom przewrotu. Czasem też schodzili tam powiernicy władz, powiernicy policji i pozornie uczestniczyli w spiskach. W wolnomularstwie sporo było takich ludzi. Przecież nad zagładą wolnomularstwa polskiego pracowali masoni: Rożniecki, ostatni jego wielki mistrz, i Nowosilcow, a między dostojnikami znajdował się stary szpieg Mackrott. (Askenazy, *Łukasiński,* 1929, t. I., str. 255, 268, 269.)

Czasem spiskowcy znowu wyznaczali kogoś ze swoich, by zdobył wpływ i zaufanie i władzę wśród rządzących. Tworzyła się niezdrowa, niepokojąca, niosąca rozkład akcja zamaskowanych, akcja ludzi o dwóch obliczach. Oswajano się z tym, że drogą zatajania ciągłego właściwej fizjonomii duchowej szli niekiedy najszlachetniejsi, że fałszem wykrzywiali i truli swe życie tacy, co pragnęli urzeczywistnienia ideałów.

To zaś maskowanie się było już od wielu dziesięcioleci systematycznie kształcone, było uznane za właściwą formę życia przez ludzi, którzy, przekonani o własnej wyższości, pałali żądzą władzy nad społeczeństwem. To przecież metoda związków tajnych, mnożących się bez końca w wieku XVIII. Uczestnika ich wiązała przysięga tajemnicy bezwzględnej — w gronie osób nie wtajemniczonych nie miał prawa zdradzić się niczym, a zasłona kryjąca część życia była zarazem czymś wynoszącym go ponad innych, włączającym do

zamkniętego koła wybranych. Nęci tajemniczość ta romansopisarzy; postacią ulubioną staje się pod koniec wieku XVIII członek związków tajnych, które nieraz (jak choćby w „Wilhelmie Meistrze") roztaczają opiekę nad bohaterem, przybierając rolę losu, czy Opatrzności; szczególnie zaś cennym czynnikiem akcji zawikłanej jest emisariusz związku, mający powierzoną sobie misję ważną.

Emisariuszy nie brakło w ożywionej działalności różnorodnych towarzystw. Najpotężniejsza wśród nich masoneria usiłowała opanować inne związki lub instytucje wysyłając do nich kogoś spośród członków, który — nie zdradzając przynależności do wolnomularstwa — miał na nowym terenie zdobyć sobie zaufanie całej organizacji, uzyskać w niej władzę — i albo uczynić ją narzędziem masonów, albo doprowadzić do upadku. Opinia do takich właśnie zabiegów przywiązywała szczególną wagę — i stało się to częstym orężem do zwalczania przeciwników, że oskarżano ich jakoby byli zakapturzonymi sługami wolnomularstwa, jakoby spełniali dane im tajemnie zlecenia.

Metoda opanowywania obcych zgrupowań przez narzucenie im zamaskowanego masona, przez zręczne wprowadzenie go w sfery kierujące, znalazła uczniów pojętnych i poza wolnomularzami. Stosowali ją i włączali wyraźnie w program swych dążeń — filomaci.

Typowym przykładem, uwieńczonym przez wynik pomyślny, było wydelegowanie „Szeroka", Teodora Łozińskiego, do związku, który założył Kiszka-Zgierski. Łoziński miał stanąć na czele owego „Związku Literackiego" i przetworzyć go, poddać wpływowi filomackiemu, albo — zniszczyć. Podobnie Dominik Chodźko wszedł do związku „Anty-Promienistych" naśladując rytuały masońskie. (List Czeczota do Pietraszkiewicza z dn. 26 paźdz. / 7 list. 1920, *Koresp. filom.*, t. II., str. 378.)

W lat niewiele później nazwać by go można... Wallenrodem związku. Bo przecież metoda wielkiego mistrza polega na tym, że czując się członkiem pewnej zbiorowości, wstępuje do zbiorowości wrogiej, zdobywa w niej ufność i znaczenie, staje wreszcie na jej czele, by — wieść ją ku zagładzie dla dobra tych, z którymi naprawdę jest solidarny.

Były więc już w gronie filomackim i filareckim zadatki, z których miała wyróść koncepcja Mickiewicza. Były też — w małym stosunkowo stopniu — owe warunki, jakie w Rosji potem doprowadziły do skrystalizowania się metody i tragedii Wallenroda: utrudnienie pracy dla narodu, chęć zemsty na wrogu, konieczność tajenia dążeń, przybierania maski i dręczenie się tą koniecznością.

Młody ks. Ogiński, członek związków warszawskich, ściąga na „promienistych" skrajne niebezpieczeństwo mówiąc o celu, który należało kryć w tajemnicy: „...Wreszcie zemsta Mos[kalom] i wszystkiemu, co jest mos[kiewskie], ale nie zemsta szalona, lecz powolna. Otóż i cel jego, wymówiony z zapałem. Już się więc wszystko skończyło; Zan potem uświadomił, że rektor kasuje „promienistość". Niby powodem był pacierz „promienistych", trawestacja Modlitwy Pańskiej; Malewski jednak, informujący o tym Mickiewicza, cytuje w dalszym ciągu słowa rektora, ojca swego, że nie tyle o „Pacierz" tu chodzi, ile o samą

rzecz. „...Skoro dojdzie do Petersburga, nie będzie czasu tłumaczyć się". (List z dn. 23—24 maja / 4—5 czerwca 1820, *Koresp. filom.*, t. II., str. 117—118).

A gdy Czeczot w związku z tym wygłosił wśród młodzieży mowę przeciw nadmiernym deklamacjom, oczywiście patriotycznym, w liście do Mickiewicza donosił o swych naukach słowami, które mógłby wypowiedzieć — Halban pouczający młodego Waltera o broni niewolników: „Ach, jak to ciężko mówić jak niewolnik! Jak bolesne uczyć braci milczenia, kiedy by się ich chciało... uczyć wykonywać, co myślą i mówią". (List do Mickiewicza z dn. 26 maja / 7 czerwca 1920, *Koresp. filom.*, t. II., str. 128).

Tłem koncepcji wielkiego mistrza nie były same tylko przeżycia osobiste Mickiewicza. Tłem była rewolucyjna Europa związków tajnych. I on czuł się emisariuszem w stolicy wroga. Ale nie filomackim czy masońskim. Związkiem rewolucyjnym, którego członkostwo musiał kryć pod maską spokojnego poddanego Rosji carskiej, był cały jego naród, spragniony niepodległości. (Tę łączność wskazał również S. Zetowski w rozprawie *„Konrad Wallenrod Mickiewicza polityczną broszurą węglarską"* (Ruch Literacki, 1936, nr 1). Uwagi niniejsze powstały już wcześniej, przed rozprawą Zetowskiego, i wchodziły w skład wykładów moich o *Konradzie Wallenrodzie* w Uniwersytecie Lwowskim przed kilkunastu laty).

Nie żył jednak w stolicy wroga zupełnie oderwany od ojczyzny. Miał jej cząstkę, miał bliskość jej ducha w gronie przyjaciół-filomatów. To też i Konrad Wallenrod nie jest osamotniony; znajduje się przy nim wcielenie Litwy, znajduje się niby duch ziemi rodzinnej w postaci przyjaciela: Halban.

W stosunku Halbana i Konrada, w ich przyjaźni opartej na wspólności planu narodowego, odbił się stosunek twórcy do dawnych towarzyszów wileńskich. Nie z nich wszakże wziął dla kreacji tej soki żywotne, ale z siebie.

Rozłamał duszę swą bogatą na dwu bohaterów. W pewnej mierze czynił był coś podobnego w „Dziadów" części pierwszej, gdy utożsamiał się z Gustawem, ale dodawał jeszcze projekcje częściowe jego duszy i losu w osobach starca i młodzieńca zaklętego. Rozszczepienie samego siebie między dwu ludzi różnych znała literatura światowa dzięki Goethemu; Clavigo i Carlos, Tasso i Antonio, Wilhelm i Jarno, Faust i Mefisto — to wracający motyw dwu ludzi nierozdzielnych a często wrogich sobie przez czas jakiś, z których pierwszy, uczuciowiec, bardziej stanowi duchowe odbicie twórcy, bardziej ma piętno jego solidarności z kreacją własną i całkowicie bierze w posiadanie jego sympatię, ale i drugi, niesympatyczny przedstawiciel rozsądku, wysnuty jest z duszy Goethego i aż do przekształcenia go w diabła i do przyzwyciężenia Mefistofelesa jest właśnie tym, któremu rozum poety, wbrew sercu, skłonny jest przyznać rację.

Stąd rola kierownicza doradcy, która przypada stale owemu zimnemu i rozsądnemu — rola powtarzająca się w kreacji Halbana.

Pedagogiczne zainteresowania wieku XVIII, odziedziczone przez wiek następny, pozwalały takie rozdwojenie między doradcę a człowieka, który poddaje się lub sprzeciwia jego kierownictwu, złączyć z historią osobistości, będącą coraz bardziej naczelnym problematem kształtowania poetyckiego. Rousseau w „Emilu"

podał formułę (uprzedzoną już przez Fenelonowe „Przygody Telemaka"): doradca jest wychowawcą, skupia w sobie to, co bohater otrzymuje na drogę życia jako skarb gotowy, czego nie musi w sobie wypracować, co może przyjąć i wchłonąć.

Mickiewicz powtórzył schemat „Emila" w „Dziadów" części czwartej. Ale tu odgraniczył się od nauk dawanych przez Księdza, mimo że za ich owoc uznawał życie Gustawa. Aktualną barwą pouczeń owych uczynił barwę fałszywą frazesu. A przecież Halban nie inaczej mówiłby do Gustawa jak Ksiądz. Nie inaczej, tylko — potężniej. Z duszy własnej i z ducha pokoleń.

Bo i schemat Goethowski — nie wiadomo, czy w swej właściwej treści przytomny Mickiewiczowi, i schemat „Dudarza", czyniący starca-śpiewaka powiernikiem kochanka młodego, (że Dudarz jest niby szkicem przygotowawczym Halbana, zaznaczył J. Tretiak: *Dzieła Mickiewicza, Wyd. Tow. Liter. im. Mickiewicza,* t. I., str. 268—269) i schemat Roussowski zmodyfikował się i zyskał ogromną perspektywę dziejowo-socjologiczną. Kształtując dwie postaci, które dopełniają się na wzajem o wiele harmonijniej od Goethowskich (jakkolwiek właśnie dlatego nie obejmują rozległości dwu biegunów), których stosunek wyraża się owocną i twórczą harmonią — jednej z nich dodał walory ponadindywidualne. Głos jej wzniósł na wyżynę głosu tradycji. W tym, co nakazuje Halban, streszcza się puścizna duchowa zbiorowości; a związek z tą zbiorowością jest splotem korzeni, z których wyrasta indywidualność Konrada. Bez tego związku — przestaje on być sobą, przestaje być wielkością; mógłby co najwyżej być — Gustawem.

Wielka jednostka romantyczna pojęta została jako narzędzie, którym włada, którym spełnia swe cele tradycja narodowa.

Poezja Mickiewicza dotarła w nowej koncepcji do tego, co w niej największe. Poeta znalazł naczelną „prawdę żywą" polskiego romantyzmu.

A zarazem — rozwiązał podstawową antynomię romantyki. Romantyzm jest kultem jednostki wyjątkowej, która przeciwstawia się rewolucyjnie ustalonemu czyli tradycyjnemu porządkowi świata, która dumnie odrzuca oparcie ofiarowane przez tradycyjny ustrój. I romantyzm jest szukaniem oparcia w jakiejś wielkiej solidarności, z której jednostka moc swą czerpie, jest kultem tradycyj religijnych i narodowych.

W Polsce przeciwieństwo tych dwóch tendencyj dało się łatwiej usunąć niż gdzie indziej: celem rewolucyjnych dążeń było tu przywrócenie dawnego porządku. Kierująca ruchem rewolucyjnym szlachta tęskniła nie tylko za niepodległością, lecz i za swym dawnym dobrobytem. Naturalnym torem wynikał stąd — rewolucyjny tradycjonalizm. Przeto rewolucjonista Konrad będzie urzeczywistniał dążenia tego, który jest kapłanem tradycji. Nic dziwnego, że Mochnacki widział tylko pewną przypadkowość w polskim rewolucjonizmie: „Jednoczesność upadku narodu polskiego z upadkiem władzy królewskiej na Zachodzie uczyniła nas poniekąd mimo woli naszej sprzymierzeńcem rewolucji, nieprzyjaciółmi wszelkiego rodzaju porządku rzeczy w Europie, chcącego lub mogącego się utrzymać bez Polski niepodległej... Rozbiór (Polski) podzielił Europę na

dwie równe części: królewską i rewolucyjną. Tym to sposobem my Polacy staliśmy się rewolucjonistami bardziej z potrzeby, dla odzyskania własnego bytu..., niżeli z przekonania". *(O rewolucji w Niemczech)*

Kapłan ów jest poetą. Jest przez to samo bardziej Mickiewiczem od Konrada. Tworząc Wallenroda, Mickiewicz poniekąd czynił to, co tylokrotnie czyni twórczość artystyczna: dawał fikcyjne spełnienie życzeń, nie mogących się spełnić w rzeczywistości. Czyn wielkiego mistrza był naprawdę dla autora poematu niepodobieństwem. Za to mógł i spełniał rzeczywiście — misję Halbana. I znowu, jak w stosunku obu tych postaci, tak w ujęciu poezji Halbana dotarł do istoty własnego stanowiska w dziejach ducha. Wypowiedział kreacją swą to, co w słowo zwarte zamknie w „Improwizacji", gdy przyzna sobie „skrzydeł dwoje": „Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę."

„Arką przymierza między dawnymi a młodszymi laty" nie jest w poemacie tylko „wieść gminna", jest nią sam wajdelota: prorok i ostatni bard, twórca przyszłego czynu i strażnik żywotności skarbów przeszłych.

Rola proroka w czasach nieszczęścia ojczyzny, który nie tylko, jak prorocy Izraela, zapowiada mający nadejść przełom, lecz który go sprowadza — płynęła ze zrozumienia funkcji, jaką objęła wtedy poezja, i w Polsce, i jeszcze bardziej w Rosji.

W Polsce były zaczątki nierozwinięte dotąd w owoc pełny. Było poczucie, że literaturę obowiązuje po upadku państwa wyjątkowe posłannictwo, poczucie, które mieli i pseudoklasyczni autorowie dramatów narodowych, i Brodziński, i silniej od nich autor „Śpiewów Historycznych" — które sformułował Woronicz, kiedy zarysował projekt „Pieśnioksięgu" narodowego, częściowo zrealizowane właśnie przez Niemcewicza. Wołał on w roku 1803 w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, że na wzór obrazów, o jakich myślał Smuglewicz, należy dla utrwalenia narodowości zbierać i tworzyć pieśni, odporniejsze niż malowidła, co mogą stać się pastwą ognia.

Nie przypadkiem wtóruje temu zdaniu „Pieśń Wajdeloty":

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje.
Pieśń ujdzie cało.

Wydatniej i wyraźniej niż w Polsce patronowała ruchowi narodowemu w epoce aleksandrowskiej literatura rosyjska. Zagadnienia literackie utożsamiano z narodowymi. W piśmiennictwie kształtował się nowy, świadomy patriotyzm, żądza własnej rosyjskiej drogi, idea samobytności. Poezja zwiastowała i wyprzedzała wypadki; rozpalały rewolucjonizm krążące w odpisach wiersze płomienne Puszkina — i wreszcie stał się wodzem tragicznym rewolucji autor dum, do „Śpiewów" Niemcewicza podobnych, Rylejew. On zjednoczył obie drogi, zwiastuna i realizatora. On, co śmiercią męczeńską zakończył bohaterski żywot, on, Konrad Rylejew, był i Konradem, i Halbanem.

Sam wszakże Halban inną rolę, bardziej zgodną z drogami porozbiorowej poezji polskiej, nie rolę zwiastuna, wysuwa na plan pierwszy.

Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę.

Romantyzm, który umiłował ginące i zamarłe światy, lubował się w wartości emocjonalnej wyrazu „ostatni". Mnożą się ostatni w utworach i w samych już tytułach: „Ostatni z Abencérage'ów" Chateaubrianda, „Ostatni Mohikanin" Coopera, Walter Scotta wcześniejsza od nich „Pieśń ostatniego minstrela". Dano jej w przekładzie polskim nazwę „Pieśń ostatniego barda", zaznaczono tożsamość minstrela Scottowskiego z Osjanowskim bardem. Macpherson bowiem stworzył typ „Ostatniego śpiewaka". Osjan sławi minioną niepowrotnie wielkość Morwenu, krainy Fingala. Pieśni jego ku czci bohaterów są elegiami, są wypływem żalu za przeszłością. Nutą tęsknoty bolesnej brzmi wracające określenie: *A tale of times of old*, opowieść dawnych, przeminionych dni.

Gdy zatem niemiecka poezja naśladowców Osjana, wyrażająca nowy patriotyzm i łącząca z nim tęsknotę za minioną wielkością germańską, wyniosła barda na piedestał wieszcza narodowego, stał się ów typ jakby stworzony na to, by opiewać przeszłość narodów nieszczęśliwych i ujarzmionych. „Ostatni śpiewak", wędrujący przez całą Europę, zachodził i do Rosji, w której Osjan patronował nowej poezji, nim nią zawładnął Byron. W czasopiśmie *Syn Otieczestwa* ukazał się w roku 1823 „Ostatni Bard" Mansurowa, a Puszkin „Rusłana i Ludmiłę" zaczął słowami Osjana: „Dzieła minionych dawno dni."

Ten śpiewak odpowiada tonowi polskiej elegii porozbiorowej. Już w roku 1793 Niemcewicz w „Wiośnie"widzi przyszłego pieśniarza, co w języku zapomnianym wspominać będzie dawnych Polaków. Natomiast „Bard polski" Adama ks. Czartoryskiego, napisany w r. 1795, drukowany w odmiennej redakcji dopiero na emigracji, przyjmuje koncepcję Osjana już w tej formie, jaką mu nadał „bardyzm" niemiecki.

Elegia patriotyczna (por. W. Włoch *Polska elegia patriotyczna w epoce rozbiorów*, Kraków, 1916) umilkła u nas, gdy powstało Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe; przecież istniało ponownie państwo polskie. Wraca jej ton dopiero u syna Litwy, nie znającego państwowości polskiej, urodzonego w niewoli, okutego w powiciu i czującego w Rosji brzemię potworne jarzma. Pieśnią osjaniczną „ostatniego barda" czy „ostatniego minstrela", elegią wyśpiewaną na „grobie narodów", jest „Pieśń wajdeloty". (Analogie między niektórymi wyrażeniami wajdeloty a początkiem i zakończeniem pierwszej pieśni poematu Walter Scotta i zakończeniem pieśni czwartej wskazał dokładnie S. Windakiewicz, por. *Lord Byron i Walter Scott w stosunku do polskiej poezji romantycznej*, 1914; inne podobieństwa dodał jeszcze z tego poematu J. Ujejski, por. *Byronizm i scottyzm w „Konradzie Wallenrodzie"*, 1923, str. 32—33.)

Ale jest ona czymś więcej niż śpiewaniem *tale of times of old*, nawet czymś więcej niż przypisaniem poezji stanowiska naczelnego w życiu pogrobowym na-

rodu. Głosi — po raz pierwszy w Polsce — wiarę romantyzmu w moc magiczną poety. On nie wspomina tylko — on posiada Ezechielową władzę ożywiania:

Na dźwięki pieśni kości spod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.

Nie starczą mu kształty fikcyjne. Pragnie „własne ognie przelać w piersi słuchaczy", rozbudzić w nich „dawne serca bicie". Pragnie stworzyć czyn. I tworzy go naprawdę: bo czyn Wallenroda, to tryumf mocy twórczej Halbana. A Mickiewicz słowem, niby ubocznie rzucanym, gdyż na wyraźniejsze nie pozwoliła myśl o cenzurze, przyznawał pieśni moc wypędzania wrogów.

Chrześcijaństwo ma przede wszystkim dwie koncepcje archanioła zbrojnego: Michała, który zwyciężył smoka-szatana, i owego archanioła, co z mieczem w dłoni wypędzał z raju. Nie było więc wątpliwe znaczenie słów:

O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła.

Ale tylko pieśni gminnej przypisywał taką moc — tej, która jest własnością całego narodu, nie pewnej ciasnej elity kulturalnej. Włączał swój hymn w głosy kultu dla poezji ludowej, wielokrotnie rozlegający się od czasów Herdera, dochodzący do skrajnego wyrazu u braci Grimmów. Solidaryzował się z Zorianem Dołęgą Chodakowskim, świeżo zmarłym wśród obcych, którego puścizna i Malewskiego żywo zajmowała, i niewątpliwie również Mickiewicza. Podzielał entuzjazm Puszkina i Kinejewskich, zbieraczy „skazek" i pieśni ruskich. (Por. A. K. Winogradow, *Merimée w pismach k Sobolewskomu*, str. 237). Nie myślał jednak — wbrew teoretykom niemieckim — przypisywać piętna „gminnego", co dla niego jednoznaczne już było z ogólno-narodowym, tylko plonom twórczości rzekomo kolektywnej. Halban, którego piosenka o Wilii i Litwince wiernie idzie torem liryki ludowej, stworzy pieśń o Konradzie i ona będzie „wieścią gminną".

Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci,
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci,
Będzie ją śpiewać — i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości...

Nie twór kolektywny jest „pieśnią gminną", lecz twór jednostki, w której piersiach żyje duch narodu.

Kształtując Halbana, Mickiewicz uświadomił sobie istotę wieszczej poezji narodowej. Poezja „wieszczów" polskich zaczyna się pieśnią i powieścią wajdeloty i jej dopełnieniem w czynie Konrada. Miarą jego poezji, miarą jej mocy i wiel-

kości był teraz czyn Wallenroda. Więc dał poczuciu temu kształt ukazując, że czyn Konrada natchniony jest poezją Halbana.

A jeśli kreacja wajdeloty wykwitła w pełnej swej postaci z poczucia swej misji poetyckiej — czyn Konrada wyłonił się z etycznego poczucia odpowiedzialności za losy narodu, z tej najwyższej formy, jaką osiąga solidarność człowieka ze społeczeństwem.

Im jednostka wybitniejsza, tym większa ciąży na niej odpowiedzialność. Przed laty mówił Mickiewicz w wierszu „Już się z pogodnych niebios...": „Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję". Jeżeli zaś dojdzie do tak strasznego niebezpieczeństwa, iż naród zagrożony nie może zdobyć się na czyn zbawczy — obowiązek tego czynu spada na wielkiego człowieka. On zastąpić ma naród cały.

Nakaz ten czuł Mickiewicz, który właśnie w Rosji uświadomił sobie potęgę swoją. Ale jednocześnie czuł bezsilność wobec wroga; bezsilność narodu swego, niemożność masowego ruchu zwycięskiego przeciw caratowi. To dawało logice uczuć i myśli piętno tragiczne, piętno konieczności dróg wyjątkowych i przerażających. (Tragiczne przeżycia Mickiewicza w Rosji jako podstawę tragedii Konrada uwydatniła Zofia Gąsiorowska: *Idea wyzwolenia narodu w „Konradzie Wallenrodzie"*, *Pochodnia*, 1919, str. 148—158.)

Byłby może w sposób nie tak bolesny, nie tak jaskrawy i beznadziejny widział kontrast bezwładnej ojczyzny i kolosu wroga, gdyby znał Warszawę i Królestwo Kongresowe, gdyby wnikało w zakres jego doznań osobistych państwo polskie — niepełne, okaleczone, krępowane, ale jeszcze będące państwem, jeszcze mające w ręku częściową przynajmniej władzę, gdyby patrzył na twórczą, organizatorską pracę tej okrajanej Polski, gdyby wojsko polskie było dlań rzeczywistością aktualną, dającą oparcie planu, nie wspomnieniem baśni napoleońskiej. Ale on znał tylko Litwę, gubernię, rządzoną przez rząd obcy; wszelkie środki państwowe znał tylko jako będące w ręku wroga. A teraz bezpośrednio się zetknął z grozą potęgi carskiej i patrzył, jak wyrosła ponad szubienice dekabrystów. Nie istniała dlań możliwość walki otwartej równego z równym; istniała tylko możliwość i konieczność — wydarcia środków własnych.

Poczucie to zespalało się z udręką maski, z codzienną przytomnością więzów uniemożliwiających działanie normalne. Wiedział jednak, że maska może również działanie ułatwić. Pouczały o tym związki tajne; wskazywała to niejednokrotnie i historia i literatura. Przecież był wśród bohaterów Schillera podstępny, maskujący się Fiesco; a gdy Fiesco stać się mógł tyranem Genui, gdy okryła go purpura, wtedy strącił go Pfale podstępnie, zdradliwie, maską przyjaciela osłonięty aż do tej chwili — szlachetny republikanin Verrina.

Przykład zaś jeszcze dalej idący przyniosła powieść autora, który nagle począł wtedy zdobywać dla siebie i dla swych tematów amerykańskich światowy rozgłos — „Szpieg" (The Spy) Fenimora Coopera.

Powieść, będąca pierwszą podstawą sławy tego pisarza, nim go popularnym uczynią w szerokich warstwach Indianie z późniejszych utworów, przemawiać musiała silnie do Polaka; tematem jej była wojna o niepodległość; wśród postaci

występował pod przybranym nazwiskiem Waszyngton, bliski podwójnie — i jako oswobodziciel ojczyzny, i jako przyjaciel Kościuszki i Niemcewicza.

Bohater Harvey Birch, „szpieg strefy neutralnej", *the spy of the neutral ground*, wiedzie żywot hańby i męki; gardzą nim rodacy, śmierć mu grozi ciągle ze strony żołnierzy Waszyngtona; bo przecież godzien jej zdrajca, szpieg angielski. Tymczasem on właśnie jest najgorętszym patriotą; on, w ciągłym tajnym porozumieniu z Waszyngtonem, oddaje niezmierne usługi dzięki temu właśnie, że gra wobec Anglików rolę zdrajcy.

Nie wiadomo, czy istnieje związek między Birchem a Wallenrodem, czy tylko płomienna miłość ojczyzny wypowiedziała się u dwóch różnych autorów podobną koncepcją służby narodowej w męczeńskiej szacie dwulicowości. (Podobieństwo ich wskazał w przedmowie do *Mindowego* Słowacki.) Ale jeśli Mickiewicza zajęła postać Cooperowska, to rola „szpiega" nie mogła mu wystarczyć. Birch pomaga narodowi walczącemu jako narzędzie posłuszne, ważne, lecz podrzędne; poeta zaś myślał o czynie rozstrzygającym, który by wyręczył naród i złamał od razu moc wroga. Jego bohater musiał sam zwyciężyć tak, jak zwyciężyło całe wojsko Waszyngtona.

O czynie tego typu, baśniowo potężnym opowiada Biblia. Samson zastąpił armię niszczącą.

To dopiero stwarza czyn na miarę pragnień poety:

Jak Samson, jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem.

I kształtuje mu się czyn Samsonowy, wykonany metodą tajnych związków. Jeśliby syn narodu zgnębionego stał się władcą wrogów i jako władca doprowadził ich do zguby, wyolbrzymiłby do największej miary to, co masoni czy ich naśladowcy usiłowali czynić z nieprzyjaznymi organizacjami.

Ale taki czyn byłby potwornym wyzyskaniem ufności zdobytej na zgubę tych, którzy zaufali, byłby wobec nich zdradą, byłby zbrodnią...

Wśród wewnętrznego szamotania się, powodowanego poczuciem siły i bezsilności, wśród rozpaczliwych myśli o uciśnionej ojczyźnie czytał Mickiewicz pisma Machiavellego.

Jak o dwa wieki wcześniej Dante, pragnął Nicolo Machiavelli potęgi i jedności Włoch i bolał nad „niewolnicą-Italią", *serva Italia*. Jak Dante, zbawcę widział w potężnym monarsze. Ale gdy wielki Ghibellin duszę miał ukształtowaną przez chrystianizm, gdy miarą czynów i ludzi była etyka chrześcijańska, i władca, którego wyglądał, przybierał w jego myśli postać idealnego wodza — chrześcijanina, polityk i historyk florentyński z pogaństwa renesansowego czerpał soki żywotne i z tradycyj dawnego Rzymu. Patrzył w epoce Borgiów na zdobywanie i utrzymywanie władzy zbrodnią i gwałtem — i w realizmie swym uznał, że trzeba się pogodzić z nieetycznością dróg wiodących do potęgi. A pragnął potęgi, która by zespoliła, podniosła Włochy rozdarte, rozbite, deptane przez obcych. Pragnął wielkości ojczyzny za wszelką cenę. Niechby sięgnięto po ten

cel najwyższy, najświętszy, jakimikolwiek środkami, chociażby zbrodniami, przed którymi nie cofał się nikt z ówczesnych władców włoskich. Niechby zjednoczył Italię chociażby tyran występny, niechby podstępami zgnębił wrogów — niechby tylko, niby spadkobierca Romy starożytnej, zbudował nowe wielkie Włochy. „Gdzie chodzi o istnienie albo nieistnienie, o byt lub śmierć ojczyzny" — pisał w „Uwagach nad pierwszymi dziesięciu księgami Tytusa Liwiusza (*„Discorsi sopra la prima decade di Tito Livio"*) — „nie wolno się zastanawiać, azali coś jest sprawiedliwe czy niegodziwe, ludzkie czy okrutne; złożywszy na stronę wszelkie względy, należy chwycić się każdego środka, który ratuje życie i wolność ojczyzny..." Należy bronić ojczyzny nie dbając, czy przyniesie to stratę czy hańbę. Należy walczyć, nie oglądając się na nic. „Należy wiedzieć" — pouczał w dziele „O władcy" *(Il Principe)* — „że dwa są sposoby zwalczania: trzeba być lisem i lwem". *Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere bisogna essere volpe e leone.* (Por. W. Bruchnalski *Konrad Wallenrod — Słowo Polskie*, 1904, nr 512 — i tegoż wstęp do edycji *Wallenroda* wydanej przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. XXXVII—CL).

Tak pouczał patriota namiętny, u którego idealizm łączył się z renesansowym brakiem skrupułów moralnych i który ideałowi państwowemu wszelką inną etykę rzucał pod stopy. Niby wojenne rzymskie przeciwieństwo wskazania ewangelicznego, iż łączyć winien człowiek prostotę gołębia z mądrością węża — formułował hasło innego zespołu cech i metod różnych.

Ów nakaz, by lisem być i lwem, Mickiewicz wypisał jako motto na karcie tytułowej „Wallenroda". Właściwe motto przytoczone — które poeta wydrukował bez wymienienia Machiavellego — stanowi skrót. Machiavelli jako dwa rodzaje walki wskazuje walkę za pomocą prawa i za pomocą siły czyli bezprawia; „pierwszy jest ludzki, drugi zwierzęcy, lecz ponieważ częstokroć pierwszy nie wystarcza, wypada uciekać do drugiego, przy użyciu zaś drugiego sposobu trzeba być lisem i lwem." (Por. H. Boguski [Toporski] *Przyczynki do studiów nad twórczością A. Mickiewicza*, 1895, t. I., str. 149—178.)

Ale Włochowi wystarczyło stwierdzenie konieczności wszelkich środków. Konieczność taką uznawały również pewne rewolucyjne związki tajne XIX w. Wśród zorganizowanych przez Karola Follena niemieckich Braci Czarnych grupę naczelną stanowili tzw. „Bezwzględni", związani hasłem „Sprawiedliwego nie wiąże prawo." Dla Mickiewicza jednakże ta konieczność jest tragedią. Postawa etyczna określa jego stosunek do świata, sprzymierzona z religijnością, którą ożywia i wzmaga każde przeżycie potężne. Niemożliwością dlań było tworzyć koncepcję życia, uniezależnioną od owych czynników.

Zaznacza się to w „Konradzie Wallenrodzie" ze szczególną wyrazistością, dzięki ramom historycznym, które umożliwiały wyeliminowanie zagadnienia etycznego. Etyka pogańska dopuszczała w stosunku do wroga każdą metodę walki, a Konrad mógłby, niemal — powinien by trwać w starej wierze litewskiej. Litwa jest jeszcze pogańska, chrystianizm przynoszą Krzyżacy — cóż więc byłoby naturalniejszego nad nienawiść względem wiary wrogów? Skoro wy-

chowuje młodego Litwina w zamku krzyżackim dawny kapłan bogów nadniemeńskich, skoro ten wychowawca po latach pamiętać będzie swe porwanie jako świętokradztwo niemieckie („Gdy od ołtarza, stary wajdelota, byłem w niemieckich kajdanach wleczony") — można by oczekiwać, że wszczepi on w serce Waltera nienawiść do krzyża, wierność dla bóstw rodzinnych. Romantyk solidarny z Chodakowskim, obrońca uroczystości „dziadów", nie powinien by cofnąć się przed taką koncepcją.

Pierwszy sugestywny, plastyczny obraz przeciwieństwa dwu światów walczących idzie właśnie tym torem! Kontrast narodów ukazuje jako różność wiary i sympatią ogarnia symbol pogaństwa, lasy szumiące — odtrąca symbol chrystianizmu — zaborczy groźny krzyż:

Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów.
Po drugiej stronie na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne wyciąga ku Litwie ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Tymczasem wbrew tej zapowiedzi walka narodowa nie będzie obroną wiary rodzinnej. I Halban i Walter-Konrad są chrześcijanami. A chociaż religijność bohatera — jak religijność poety — nie ma jeszcze wybitnej barwy wyznaniowej, użyczył mu Mickiewicz obok wiary w „wielkiego Boga" kultu swego do Matki Bożej.

Ukochaną Litwinkę Walter przede wszystkim — nawraca:

Walter mówił o wielkim Bogu...
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec niósł pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał.

I dla niej pozostanie on na zawsze zwiastunem nieznanego przedtem Boga, tym, co jej mówił „o Bogu wielkim, o jasnych aniołach" i co zespolił się niejako z Jego wielkością:

Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

Więc wyniesienie sprawy narodu ponad wszelką inną etykę nie dokona się z tym wolnym od oporu wewnętrznego rozmachem, z jakim Machiavelli wyzwalał swego władcę od moralności przeciętnej. Będzie ono straszną ofiarą sumienia.

Nie wystarczają też nauki Halbana: „Tyś niewolnik; jedyna broń niewolników jest zdrada". Z trucizn wsączanych przez wajdelotę w serce dziecięce, wypaczających drogi uczuć, bo wypaczenie narzucały stosunki nienormalne — z trucizn tych od razu przyjmuje się i plon daje tylko posiew nienawiści:

. . . . . Pomnę, jak w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą
Rżnąłem kobierce Winrycha, lub kaleczyłem zwierciadła.

Gdy dostał się na Litwę, na dwór Kiejstuta, walczy bohatersko jako rycerz — i tylko beznadziejność tej walki otwartej, rycerskiej, szlachetnej, każe trwać i rozrastać się zaszczepionej przez Halbana myśli:

Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
Może kiedyś objawię...

W tym zwlekaniu nie tylko z realizacją, lecz nawet ze słowem, które by ujawniło plan, w tym wzdryganiu się przed wysnuciem konsekwencji ze świadomości środka „skutecznego niestety" — odsłania się męczarnia tragedii przemilczanej. Im zaś bliższe spełnienie, tym większa groza przed zamiarem własnym:

Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj, dla Boga! Stokroć przeklęta godzina,
W której od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu.

Postanowienie wreszcie nie da się nadal odsunąć: Walter zna sposób ocalenia ojczyzny, Walter jeden zdolny jest go użyć — nie istnieje więc dla niego możliwość wyboru. Ale postanowienie to jest zarazem pełnym przyjęciem odpowiedzialności za straszliwość owego sposobu, jest przyjęciem drogi męczeńskiej: utracić wszystko, „błąkać się po świecie, zdradzać, mordować i potem zginąć śmiercią haniebną".

Nawet to za mało. On, chrześcijanin, wie, że poświęca wieczność. W tej świadomości powie pustelnicy-Adonie:

Chcę znać zawczasu, co mnie w piekle czeka.

Wszystko poświęci — szczęście własne, szczęście najdroższej istoty, nawet sumienie. Czynu dokona. Cel osiągnie. Sam tylko padnie jako ofiara losu, co najszlachetniejszego z ludzi wiedzie na Golgotę kłamstwa i zdrady.

Podobny krzyk rozpaczliwy namiętnego, zdeptanego patriotyzmu, podobny krzyk bojowy bezwzględnej żądzy wyzwolenia narodu dobył się z piersi niemieckiej w czasach, gdy Niemcy leżały zdeptane u stóp Napoleona. Wtedy to Kleist napisał dramat o boju Arminiuszowym. „Die Hermannsschlacht",

apotezę Arminiusa-Hermana, co podstępnie, zdradziecko, maską przyjaźni do końca łudząc wrogów — w pień wycina legiony rzymskie, legiony ciemięzcy.

Trzeba uprzytomnić sobie to dzieło stworzone przez poetę bynajmniej nie amoralnego, trzeba zdać sobie sprawę, jak spokojnie i bez skrupułów postępuje Herman szlakiem fałszu i kłamstwa, jak ni krzty osobistego szczęścia nie traci po czynie strasznym — trzeba z tym Hermanem zestawić tragiczną postać Konrada, by ocenić wyżynę etyczną Mickiewicza. (Zestawienie dwu tych dzieł dała moja *Polnische Literatur* w wydawnictwie *Handbuch der Literaturwissenschaft* w r. 1930 — o rok później zestawił je Ottokar Fischer *Slovenski přehled*, 1931, nr. 6.)

Imieniem „Konrad" poeta wskazał miejsce bohatera swego na mapie kulturalnej ówczesnego świata. Uczynił go przedstawicielem zamaskowanej rewolucyjnej Europy związków tajnych, przedstawicielem idealistów-konspiratorów, każąc mu przybrać imię największego spiskowca tej epoki, Konrada Rylejewa. A że było to jednocześnie imię Korsarza, włączył go w literacką galerię bohaterów byrońskich i w rozleglejszą od niej galerię szlachetnych zbrodniarzy, by dać temu romantycznemu typowi największą potęgę i najwyższy poziom etyczny.

Geneza typu sięgała czasów przedromantycznych. Początkiem była pierwsza z rehabilitacyj literackich, mających potem wejść tak bardzo w modę. Łagodny, sielankowy Szwajcar Gessner pragnął zrehabilitować — Kaina. Bratobójca w jego „Śmierci Abla" szlachetność wiązał z tragicznym brzemieniem odpychającej zbrodni. Drugi, odmienny prototyp tchnął atmosferą rewolucjonizmu europejskiego, myślą o naprawieniu świata zbrodnią, terrorem — Karol Moor Schillera, przenoszący w dramaty i romanse ludową, baśniową tradycję szlachetnych zbójców, a jednocześnie mający coś z buntowniczej postawy szatana Miltonowego. Nie uszlachetnienie moralne, lecz tylko wywyższenie estetyczne zbrodniarza, jako człowieka niepospolitego i przykuwającego ciekawość — coś ze zmniejszonej koncepcji Szekspirowskiego Ryszarda III — przyniosła postać Schedoniego w sensacyjnej powieści Anny Radcliffe pt. „Włoch" *(The Italian)*.

Byron, wznawiający rehabilitację Kaina, bohaterom swym daje i demonizm Schedoniego i piętno rewolucyjne Karola Moora, ale uwagę skupia na zagadkach duszy skłóconej ze światem i na jej odbiciu w trybie życia; kreśli ludzi wrogich otoczeniu i różnych od otoczenia, strasznych a pociągających wyższością, o sercu skażonym, ale cenniejszym nad wszystkie inne , o grozie tajemnicy, o niepojętym uroku zagadki, o zdolności mściwego nienawidzenia i wiernego kochania. Opiera strukturę postaci na sprzecznościach — i tym wskazuje drogę teatralnym efektom Wiktora Hugo.

Konrad, w chwili gdy ukazuje się wśród Zakonu, zewnętrznie podobny do bohaterów Byrona, typem działania bliski Karolowi Moorowi, Fiesce i Birchowi Coopera, wysoko wznosi się ponad całą tę galerię, ma w przeciwieństwie do zagadek byronowskich logikę potężną tragizmu, z którą chyba jeden Brutus Schakespeare'a może się równać. Nad pozornie bliskimi kreacjami, nie wyjmując i Karola Moora, góruje tym, co stanowi podstawę dostojeństwa etycz-

nego — brakiem egoizmu, wielkością serca. Tamtych wszystkich ruina osobistego szczęścia wiodła do walki ze światem, zło ustroju świata ujrzeli oni wszyscy poprzez pryzmat rozczarowań osobistych — on świadomie zdeptał i zniszczył niezmącone szczęście osobiste. — Szczęścia w domu nie potrafił znaleźć, „bo go nie było w ojczyźnie".

Maska, która wżarła się w duszę i w życie Wallenroda i nie dozwoliła mu osiągnąć pełni piękna duchowego, zaciążyła nad całym utworem. Mickiewicz tworzył w stolicy carskiej, w kraju cenzury podejrzliwej, nie tylko poemat o maskującym się bohaterze, lecz — poemat zamaskowany.

Najpierw — konieczną się okazała maska historyczna. Poeta nie mógł otwarcie przedstawić Polaka w stolicy Rosji, nie mógł wyznać aktualności zagadnienia. Patriota polski w Moskwie i w Petersburgu przepoił tedy uczuciami swymi dawnego Litwina w Malborgu. Bo jakich wrogów znaleźć w miejsce caratu, to po „Grażynie" było z góry przesądzone.

Maska historyczna nie wyczerpuje ukształtowania tej dziwnej struktury, co *mimicry* świata zwierzęcego przywodzi na myśl: upodobnienie postaci zewnętrznej do otoczenia, by uśpić uwagę wrogów czy też — ofiar.

Upodobnienie do walterskotowskiego lub innego historycyzmu głosi przedmowa prozaiczna i objaśnienie końcowe. Upodobnienie do drugiej, panującej ciągle w pewnym stopniu, choć już mijającej mody literackiej, wskazuje początek i finał poematu.

„Taka pieśń moja o Aldony losach" — mówi zakończenie zwrócone pod adresem „czułego słuchacza". Tenże słuchacz sentymentalny spodziewał się na podstawie wstępu (trochę prowadzącego na manowce), że wprawdzie tło będzie surowe i tragiczne wielkością eposu oraz fatum dziejowego, lecz że się na nim rozegra konwencjonalna, sentymentalna historia dwojga zakochanych z dwu obozów wrogich, której symbolem „gałązka litewskiego chmielu, wdziękami pruskiej topoli nęcona".

Ta jednak warstwa sentymentalizmu mimo wszystko — nie była maską. Moda literacka, do której Mickiewicz postanowił się stosować, żądała wśród szczęku oręża historii miłosnej. Ale żądała tej historii również logika jego przeżyć.

„Konrad Wallenrod" był kształtem nowej fazy w rozwoju duchowym twórcy, był wypowiedzeniem się nowego człowieka. Otóż właśnie dlatego u poety, mającego poczucie organiczności własnych dróg ewolucyjnych, wymagał on także rozrachunku z fazą poprzednią: Konrad winien był ustosunkować się jasno do — Gustawa. Ten stosunek został już określony w dobie sonetów: Gustaw przeszedł razem z Marylą do „kościoła pamiątek".

Stanowi on zamkniętą, niepowrotną przeszłość; gdy wrócić usiłuje do życia, mąci nową formę, tamuje logikę nowej fazy; ale póki nie przekracza sfery pamiątek, ma wartość bezcenną, jest rzecznikiem najpiękniejszych kwiatów uczucia i marzenia.

W tym bezwzględnym rozgraniczeniu aktualnego Konrada i minionego dawnego kochanka wyraziła się zdobyta doświadczeniem „prawda żywa" Mickiewicza, sprzeczna z romantyczną koncepcją miłości. Dla niego — bohater praw-

dziwy i kochanek nie dadzą się pogodzić. Skrajnie poszedł torem wskazanym w owej opinii przywódcy filomatów Jeżowskiego, która niegdyś przeciwko niemu była wymierzona: „Brutusów nam trzeba, nie Antoniuszów". (Słowa listu Jeżowskiego do Mickiewicza z dn. 4/16 maja 1821 *Koresp. filom.* t. III., str. 290—291). Zamilknąć musi wobec Brutusa-Konrada Gustaw-Antoniusz. Romantyzm przyznawał kobiecie rolę opiekunki, inicjatorki, anielskiej przewodniczki ku ideałowi; Mickiewicz widzi warunek działalności heroicznej dla sprawy ogółu w odrzuceniu wszelkiej myśli o szczęściu osobistym. W Gustawie, gdy ujrzał ukochaną, „zmarł Godfred i Jan Trzeci"; gdy oni ożyć mają, musi umrzeć Gustaw — i musi usunąć się w przeszłość ukochana. Konrad będzie miał prawo i będzie miał możność psychiczną ponownej myśli o szczęściu, gdy dzieła dokona; lecz wtedy będzie za późno.

Przesunięcie miłości w przeszłość odległą poddało ją swobodnemu działaniu idealizującej mocy wspomnień. Zatarły się rysy raniące, drażniące; została wprawdzie bolesność rozstania, lecz ta z chwilą wejścia w nową fazę życia wydawała się niejako jej wynikiem rzuconym w tok zdarzeń minionych; przestawała budzić protest uczuciowy — budziła tylko żal.

I stało się możliwe coś więcej nad wyidealizowanie. W rzeczywistość minioną wnikała projekcja marzeń. Przetwarzał się romans tuhanowicki w to — czym mógł być, czym być powinien. Przetwarzał się w odwrócenie toku faktów. Mickiewicz-Gustaw złożył Maryli w ofierze ideały zbiorowe — i za to zapłacono mu odtrąceniem; marzenie konstruuje więc baśń o tym, że Marylę właśnie ofiarował ideałom swoim — i że ona mimo to pozostała mu wierną i poszła za nim na ból, na mękę, na osamotnienie, byle mieć nadzieję, że żyć będzie w jego pobliżu. A śmierć, nieodłączna od Gustawowej miłości, byłaby wtedy — połączeniem.

Tak cudem baśniowych marzeń przemieniła się Maryla w Aldonę. (Związek Aldony z Marylą wskazał pierwszy Wł. Nehring: *O kierunkach nowszej literatury polskiej, Bibl. Warsz.*, 1882, t. II., str. 358. Silnie uwydatnił go St. Kolbuszewski w rozprawie pt. *Pieśń o Aldony losach*, 1927. Sentymentalną uczuciowość Aldony zanalizował H. Schipper: *Sentymentalizm w twórczości Mickiewicza*, 1926, str. 262—267). Romans sentymentalny należy więc do czynników istotnych w poemacie; tylko nadmierne wysunięcie go na plan pierwszy, zamiast pozostawienia mu roli podrzędnej należy do przejawów maski, do przejawów chroniącego przed niebezpieczeństwami *mimicry*. I kto wie, czy nie należy na karb świadomego *mimicry* położyć w pewnej mierze — byronizmu i skotyzmu.

Chodziło poecie o to, by czytelnik, niezdolny do wyczucia właściwej treści duchowej, i nade wszystko cenzor miał podstawę do sądu, że „Konrad Wallenrod" jest jednym z wielu dzieł w stylu Byrona i Walter Scotta, z dzieł, jawiących się i w poezji rosyjskiej — by miał prawo mniemać, że powstała jedna z powieści obliczonych na zaciekawienie publiczności zarówno ulubioną wtedy szatą historyczną jak też akcją niezwykłą, tajemniczą, bogatą w efekty.

* * *

Poematowi, który moc twórczą poezji doprowadził do szczytu i symbolami swymi — obrazem dziewicy morowej, arki przymierza i Samsona-mściciela — bogacił świadomość ogółu, atmosfery duchowej użyczył patriotyzm spotęgowany nienormalnością warunków. Nienormalność tę widział jasno sam twórca: o jedynej broni niewolników mówi wajdelota, wszczepiający w duszę Waltera uczucia swe i plany.

Zamaskowana jest miłość ojczyzny, przedstawiona w opowieści tragicznej, tajona z musu, jak maskowana będzie w Polsce przez lat dziesiątki, gdy ludzie chcący działać dla dobra narodu kryć będą zamiary właściwe przed rządami zaborczymi, udawać względem nich życzliwość, lub co najmniej brak chęci szkodzenia. Miłość ta bywa nieszczęściem, cierpieniem; szarpanemu walką wewnętrzną Konradowi wyrywają się słowa, że pieśń patriotyczna „wlewa w duszę najsroższe trucizny, głupią chęć sławy i miłość ojczyzny". Zatruwa tę miłość nierozdzielne związanie z myślą o wrogu, tak nierozdzielne, jak ściśle splotły się losy narodu z gnębicielem. Więc staje się koniecznym wtórem nienawiść, więc płyną z niej niekiedy nakazy wiodące do walki z sumieniem. Ale właśnie drogi cierpień i spaczenia i tragizmu przekuwają tę miłość w heroizm.

„Konrad Wallenrod" pierwszy dał wyraz owemu patriotyzmowi, jaki zrodziło załamanie i zduszenie życia narodowego— patriotyzmowi niewoli.

W tym na terenie dziejów duchowych Polski epokowe znaczenie poematu, w którego słownictwie wyraz „wieszcz" po raz pierwszy wysunął się na stanowisko przodujące — i od którego zaczyna się okres poezji wieszczej.

Wznowił on dynamikę Tyrteuszową, którą w prostocie żołnierskiego marszu tętniła „Pieśń Legionów", wznowił bolesność elegii patriotycznej z czasu rozbiorów — i zainicjował poezję insurekcyjną, nie milknącą potem przez dziesięciolecia.

Literaturze światowej dał „Konrad Wallenrod" pod szatą pozorną byronizmu jego przezwyciężenie: ideę solidaryzowania się wielkiej jednostki romantycznej z narodem. Dał największą kreację człowieka szlachetnego, pchniętego naciskiem losu na tory zbrodni. Dał jedną z najtragiczniejszych postaci wszystkich wieków. Dał hymn płomienny na cześć ofiarnej miłości ojczyzny i na cześć twórczej poezji narodowej.

WACŁAW KUBACKI

MONOLOG KONRADA

(Schemat i forma „Improwizacji")

Rozdział z pracy
o *Dziadach Drezdeńskich.*

I

W celu bliższego określenia Improwizacji porównywano ją nieraz z *Odą do młodości.* Pomijam zestawienia pobieżne w rodzaju St. Szpotańskiego: „Wyrywanie się w wszechświat, które stworzyło *Odę do młodości* i *Farysa,* znajduje swój najsilniejszy wyraz i pęd w Improwizacji" (*Adam Mickiewicz i jego epoka,* I., str. 194). Konopnicka podzieliwszy utwory na pisane z rozmysłem artystycznym i wybuchowe, zaliczyła *Odę, Farysa* i monolog Konrada do drugiej grupy: „Jedyną rzeczą, jaką mają wspólną" — powiada — „jest tło, jest to usposobienie ducha, z którego powstały" (*O Mickiewiczowskiej „Odzie do młodości",* 1890, str. 14).

Niemniej przypadkowa, lubo bardziej pomysłowa, jest paralela J. Tretiaka: „Jest tu (w Improwizacji) przeciwstawienie serca rozumowi, podobne do tego, które taki wybitnie występuje w *Odzie do młodości.* I jak tutaj, tak i tam chodziło o szczęście ogółu; tylko tam, w *Odzie do młodości,* nie było walki z Bogiem, nie było cierpienia, było tylko radosne poczucie potęgi sił młodzieńczych i doskonała wiara w przyszłe szczęście; tam był szał radości, tutaj szał cierpienia". (*Kto jest Mickiewicz,* Kr., 1921, str. 157). Jest także w Improwizacji szał radości i poczucie potęgi nadludzkiej! Na odwrót w radosnej *Odzie do młodości* występuje motyw bólu i ofiary: „I ten szczęśliwy kto padł wśród zawodu!" Motyw ważny, bo streszcza przyszły los Grażyny, Wallenroda, Konrada w scenie Improwizacji i ks. Robaka; spotykamy go także w *Księgach pielgrzymstwa polskiego* w przypowieści o zdobywaniu miasta (XIII). W *Odzie* i w Improwizacji ideałem jest szczęście ogółu, to prawda. Obraz świata *Ody* jest jednak, jeśli to tak ująć wypada, rewolucyjno-liberalny; w Improwizacji natomiast mówić można o absolutyzmie typu teokratycznego.

Warto też przypomnieć mało polonistom znaną paralelę historyczno-kulturalną, jaką dał St. Schneider: Herkules-Prometeusz jako dwa symbole potęgi, z których jeden patronuje przecież *Odzie* a drugi Improwizacji. Naczelnik szkoły cyników, Antystenes, szerzył kult Herkulesa, jako fizycznego pogromcy; szło to w parze z pochwałą militaryzmu i silnej władzy (na tle rozkładu de-

mokracji ateńskiej). Herkules cyników byłby zatem ideałem oświeconego Absolutyzmu. Sofiści wysunęli przeciw Herkulesowi Prometeusza, dawcę światła, mecenasa nauk, bohatera kultury, zgodnie ze swym liberalizmem, ideologią pacyfistyczną, zaufaniem do człowieka, estetyzmem i pochwałą natury. Byłaby to jakby zapowiedź Roussa, helleńska jutrzenka romantyzmu *(Silni i słabi w teorii Sokratesa,* Muzeum, 1897). Oba te symbole występują w XVIII i na początku XIX wieku. Wreszcie górę bierze zdecydowanie Prometeusz. W Kołłątaja *Uwagach nad teraźniejszym położeniem* spotykamy symbol Herkulesa z całą świadomością mitologizacji zastosowany do Bonapartego: „Napoleon, ten nowy Herkules przeznaczony od Opatrzności, aby w wieku XIX odmienił postać polityczną Europy, poskramiając potężne mocarstwa, oddając sprawiedliwość słabszym, karząc przestępstwa, dźwigając upadłe, zaczął już wielkie swe dzieło" (Lipsk, 1808, str. 100—101); stworzenie Księstwa Warszawskiego nazywa „dziełem godnym Herkulesa" (str. 64). W duchu tego mitu porównał Mickiewicz do Herkulesa Napoleona III w łacińskiej odzie!

Osobne miejsce zajmują badania prof. T. Sinki nad formą literacką Improwizacji. W dwu studiach: *Tradycje literackie Ody do młodości* i *Improwizacja Konrada jako oda filozoficzna* rozpatrywał autor monolog Konrada w stosunku do poetyki pseudoklasycznej i doszedł do wniosku, że jest on odą, od której wymagano podówczas wielkich prawd moralnych w treści i „lirycznego nieładu czyli zamieszania" w formie. Rozważania te zawierają sporo ciekawych szczegółów erudycyjnych, budzą jednak pewne zastrzeżenia ogólne. I tak na przedstawiciela poetyki pseudoklasycznej wysunął prof. Sinko Euzebiusza Słowackiego. Tymczasem podana przezeń definicja ody stanowi wspólną własność prawie wszystkich poetyk pseudoklasycznych, jakie mógł znać Mickiewicz. Weźmy choćby najbliższe. Sulzer: „Die Frucht des höchsten Feuers der Begeisterung", „der poetische Taumel des Dichters" lub „hoher poetischer Taumel" (IV., 539 i 541). F. N. Golański: „Należy im (odom) wielkie, nagłe i gwałtowne poruszenia serca wyrażać"; Golański rozróżnia także ody bohaterskie, filozoficzne, moralne itd., mówiąc przy tej sposobności o „wygórowaniu myśli" (O *wymowie i poezji,* 3 wyd., Wilno, 1808, str. 507 i 514). Następnie niejasno przedstawia się poruszona sprawa stosunku motywów do rodzajów literackich; autor zdaje się wiązać pewne motywy, jak np. Opatrzność z odą, choć ta sprawa, podobnie jak zbieżność niektórych pomysłów Mickiewicza z Lukrecjuszem i Maniliuszem, wymaga szerszego ujęcia.

Nie widzę również wystarczających powodów do traktowania Improwizacji jako ody ani też korzyści, wynikłych z tego przetasowania. Autor powiada, że nie może dla Improwizacji „znaleźć innego pojęcia gatunkowego i innej nazwy, jak nazwę ody" *(O tradycjach klasycznych A. Mickiewicza,* Kr., 1923, str. 55). Znalazła je przecież poetyka pseudoklasyczna, mianując utwór w rodzaju Improwizacji Konrada — monologiem. Stanowi on według niej osobną podgrupę liryczną, równorzędną odzie. Korzyść badawcza z pozostawienia tej nazwy w spokoju widoczna: oda istnieje samodzielnie, a monolog ma określoną rolę dramatyczną. Domysły o pierwotnej samodzielności Improwizacji nie

mają żadnego zastosowania w tym wypadku wobec faktu wcielenia jej do dramatu. Improwizacja spełnia najważniejsze warunki, jakich wymagano od monologu. Główną jego cechą, podobnie zresztą jak ody lub hymnu, był nieład liryczny, tylko jakby jeszcze w wyższym stopniu. Fr. Wężyk dowodził, że „monologi nie mogą wystawiać ciągu myśli ułożonych starannie, ani wyrazów, na których wybór zimnej potrzeba rozwagi. Wszystko tu musi być gwałtowne, wszystko nierówne jak namiętność, która wzruszeniem kieruje" (*O poezji dramatycznej*, Arch. do dziejów lit. i ośw. w Polsce, I., 306). Wybrany przez prof. Sinkę na prawodawcę Euzebiusz Słowacki reprezentuje oczywiście to samo stanowisko. Ponieważ monolog to mówienie do siebie, czyli dla naiwnego realizmu estetycznego pseudoklasyków sytuacja to psychologicznie niezwykła, więc „aby to uczynić do prawdy podobnym" — powiada Euzebiusz Słowacki — „trzeba, iżby osoba w gwałtownym jakim była poruszeniu" (*Dzieła*, Wolno, 1826, II., 125). Konrad znajduje się właśnie w takiej wyjątkowej sytuacji i wygłasza w gwałtownym poruszeniu, zgodnie z poetyką klasyczną, pseudoklasyczną i romantyczną, jako bohater dramatu nie odę, lecz monolog!

Co więcej, jego wyczerpanie i zemdlenie po Improwizacji w świetle klasycystycznej teorii monologu, podkreślającej patologiczne natężenie wzruszenia (rozmowa z sobą!), przedstawia dla badacza nowe zupełnie perspektywy. Okazuje się bowiem, że szczegół ten, powszechnie wyjaśniany symbolicznie i moralnie (opętanie), ma swe uzasadnienie także czysto formalne w poetyce pseudoklasycznej.

Pożyteczne także dla celów badawczych może się okazać wyciągnięcie na światło dzienne z lamusa starych poetyk terminu „recytatyw". Jak wiadomo poema dramatyczne dzieliło się według pseudoklasyków na komedię, tragedię i operę. Krasicki uważał nawet operę za rodzaj pośredni między tragedią i komedią (*O rymotwórstwie*, Dzieła, Wrocław, 1824, III., 46). Istotnie tak zwane pomieszanie gatunków w dramacie romantycznym ma pewne znamiona „operowe". W tym też kierunku poszedł dramat muzyczny Wagnera. Od dawna wiadomo, że *Dziady* pomyślane były trochę jako „drama muzykalne". Bal u Senatora jest nie tylko sceną półśpiewaną; poeta wyzyskał w niej konstrukcyjne motywy Mozartowskiego *Don Juana*. Otóż w tym półliteracko i półmuzycznie ujętym dramacie (Scena bazyliańska!) Improwizacja — monolog znajduje nowe, interesujące określenie gatunkowe jako *recytatyw*. „Es gibt" — powiada Sulzer — „*eine Art des leidenschaftlichen Vortrages der Rede*, die zwischen dem eigentlichen Gesang und der gemeinen Deklamation das Mittel hält" (IV., 4). J. F. Królikowski, którego znał Mickiewicz, pisze: „*Recitativo* co do wnętrznego układu różni się od Arii nierównością namiętności, która się zmienia, przerywa i nie jest jednostajna. *Recitativo*, mówi Sulzer, powinno być na kształt potoku, który to spokojnie płynie, to się przedziera pomiędzy kamienie, to znowu z góry gwałtownie spada" (*Prozodia polska*, Poznań, 1821, str. 160).

Dla uzupełnienia uwag nad łańcuchem: oda — monolog — recytatyw przytaczam jeszcze jedną charakterystyczną uwagę Królikowskiego: „Oda właści-

wie rzadko kiedy z muzyką śpiewana być może... Kto by więc odę chciał mieć z towarzyszeniem muzyki, musiałby ją zrobić Recitativo..." (str. 208). Zwróćmy uwagę, że improwizacje Mickiewicza w życiu, podobnie jak Konrada w zbiorowej bazyliańskiej scenie, były wygłaszane przy wtórze muzyki. Czyli, formalnie rzecz biorąc, były *recytatywami*. Zarówno na teorii, jak na praktyce improwizatorskiej odbiły się analogie ze starożytną poezją grecką — jeszcze raz klasycyzm! Sulzer omówiwszy zasadę recytatywu, zauważy: „Diesemnach hätten die Alten ihre Gedichte nach Art unsers Recitatives vorgetragen" (IV., 4). Mickiewicz był dobrze z pojęciem recytatywu obeznany, jak świadczy choćby jego młodzieńcza recenzja operetki Jana Czeczota „Małgorzata z Zębocina" (wyd. Sejm. V., 233—5), i recytatyw Zosi z II cz. *Dziadów*. Także III część nosi ślady kompozycji operowej. Tak zwaną „małą Improwizację" Konrada („Wznoszę się, lecę, tam na szczyt opoki!") poprzedził Mickiewicz następującą, zachowaną w czystopisie Kórnickim, notatką inscenizacyjną: „Konrad *recitativo* z towarzyszeniem fletu". (Brak tej odmiany w wyd. Paryskim 1860).

W bogatym katalogu ód, zestawionym przez Sinkę, brak jednej ważnej pozycji: utworów Dzierżawina. Pochwała i cytowanie jakiegoś pisarza przez Mickiewicza pochodziły zawsze z głębi przekonania i dowodzą zwykle jakiejś wspólności. Chwali K. Koźmiana za *Odę na pokój* w r. 1809 (*Lit. słow.* R. II., L. 26) i w *Odzie do młodości* widzieliśmy ślady kosmologicznej maniery pseudoklasyków. To samo odnosi się do Karpińskiego, Naruszewicza i Dzierżawina. Interesujący dla osiemnastowiecznego kręgu odografów jest fakt, że Mickiewicz zestawia Dzierżawina z Lebrunem (*Lit. Słow.* R. II. L. 12) i że obu tłumaczył w wileńskich czasopismach w latach studiów Mickiewicza, Ign. Szydłowski (por. Szeliga *Bibliografia czasopism wileńskich*. Wiadomości Bibliograficzne. W-a 1884, 1885, 1886). Mickiewicz miał w Paryżu czterotomowe wydanie pism Dzierżawina z r. 1833—4, (por. komentarz w wyd. Sejm. *Lit. słow.* IX., 193). Kontakt z odami Dzierżawina był jednak o wiele wcześniejszy. *Tygodnik Wileński* (1815—1822), gdzie Mickiewicz drukował *Zimę miejską* i *Żywilę*, Towiański powiastkę *Zdarzenie prawdziwe* i L. Szpicnagiel wiersze, umieszczał przekłady Dzierżawina. Jan Łobojko, profesor literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Wileńskim, wyznawał bałwochwalczą cześć dla Dzierżawina i był promotorem tłumaczeń jego wierszy (M. Malinowski, *Księga wspomnień*, Kr. 1907, str. 88). Łobojko według J. Bielińskiego przybył do Wilna dopiero w 1822 r. (*Uniwersytet Wileński*, II., 731) — tymczasem wokół tłumaczeń krzątano się w Wilnie już od dawna. Sławna oda Dzierżawina pt. „Bóg" doczekała się paru przekładów. W salonach literackich, w których bywał Mickiewicz w Rosji, często stawał się Dzierżawin tematem rozmów, jak świadczą zapiski Malewskiego ogłoszone przez Wł. Mickiewicza. (*Rok Mickiewiczowski*, Lwów, 1899, I., 267 i 268).

W rosyjskich towarzystwach literackich partia konserwatywna, narodowa, imperialistyczna za patrona uważała Dzierżawina, barda dworu. Dzierżawin był nadto twórcą ód antynapoleońskich. Zdaje się, że z tym faktem można wiązać niechęć poety do Dzierżawina, jakiej dał wyraz w prelekcjach pary-

skich. Nieporozumień tam wiele, np. na karb XVIII wieku zapisał Mickiewicz to wszystko, czego by się nie powstydził żaden pisarz kościelny i mistyk. Boga Dzierżawina nazwał poeta „Bogiem matematyków": „Nie jest to oczywiście Bóg Izraela, wszechobecny, przemawiający żywym głosem, nie jest to również Bóg chrześcijan... Tak tedy w historii, w wierzeniach swego ludu Dzierżawin nic nie znalazł, by w sposób bardziej uchwytny i dotykalny udowodnić istnienie Boga..." (wyd. Sejm. IX., 197—198., podkr. moje). W roku 1842 zupełnie uszła uwagi Mickiewicza topika mistyczna tego wiersza, z którą był spoufalony w latach 1830—1836. Weźmy dla przykładu strofę antytetyczną, spokrewnioną myślowo i obrazowo z *Glossą św. Teresy* i rymami duchowymi Anioła Ślązaka:

Jam węzeł wszystkich światów rozproszonych,
Ostatni szczebel w tłumie stworzeń mnóstwa,
Ognisko główne jestestw ożywionych,
Jam rys naczelny wszechmocnego bóstwa!
Ciało się moje mieni w proch znikomy:
Władzą rozumu zawiaduję gromy!
Mocarz, niewolnik, robaczek, Bóg ze mnie!

Jeszcze wyraźniej związek z mistykami występuje w wierszach:

A ja przed Tobą czemże będę?... niczem.
Niczem!... lecz zacność moję Ty pomnażasz
Dobrocią, łaską, szczodrotą bez końca:
Twój wizerunek we mnie wyobrażasz,
Jak w drobnej kropli, glob ognisty słońca...
Niczem!... Ależ ja i żyję i czuję,
Niesytym jakimś zapędem wzlatuję
W górne krainy, gdzie przebywasz wiecznie;
Twój byt z pociechą dusza ma przeczuwa,
Myśli, pojmuje, zasłonę usuwa;
Ja jestem i ty musisz być koniecznie.

(Tłum. Ign. Szydłowskiego, wyd. Sejm. IX., 195—6.)

Chwali natomiast Mickiewicz ujęcie ducha (bliskie mistyce i nauce kościelnej) w odzie Dzierżawina o *Nieśmiertelności duszy*. Oda *Chrystus* podoba się Mickiewiczowi, bo znalazł w niej teozoficzne pierwiastki Boehmego: myśl, że człowiek został pierwotnie stworzony poza materią, wszedł z nią w kontakt dopiero przez grzech i odtąd światło niebieskie nie miało przystępu do ciemności ziemskich, aż Chrystus zstąpił, żeby nas podźwignąć z upadku.

Uwzględniał związek z Dzierżawinem R. Blüth (*Verbum, 1935*), nie wyciągając jednak wniosków chronologiczno-genetycznych. Idzie tu mi nie tylko

o stwierdzenie jeszcze jednej tradycji literackiej dla Improwizacji, o jeszcze jeden przykład na schemat literacki, na którym osnuł Mickiewicz monolog Konrada. Szło mi także o nawiązanie jeszcze jednej nici między *Dziadami Drezdeńskimi* a przeżyciami wcześniejszymi, wileńsko-rosyjskimi wspomnieniami poety. Niechęć do Dzierżawina, objawiona w prelekcjach paryskich, nie powinna zbijać nas z tropu; Dzierżawin, podobnie jak Karpiński, zapoznali Mickiewicza z literackimi pierwiastkami mistyki na długo przed epoką rzymską i drezdeńską.

Dzierżawin porówni z mistykami dał Mickiewiczowi nowy obraz świata. Nie idzie o ten lub tamten wpływ, o jedno lub drugie nazwisko; chodzi mi o uchwycenie pewnej wspólnej atmosfery stylistycznej, która jest poza obrębem zależności czysto tekstowych. Da o tym lepsze pojęcie zestawienie paru miejsc „Widzenia" Mickiewicza z odpowiednikami mistycznymi, których liczbę można by zresztą znacznie powiększyć:

Dźwięk mnie uderzył... Nagle moje ciało
Jak ów kwiat polny otoczony puchem,
Prysło, zerwane Anioła podmuchem
I ziarno duszy nagie pozostało...

(Mickiewicz)

Miłość jest jako śmierć: gotuje zmysłom skon,
Rozkrusza serca kłos i zbiera ducha plon.

(Anioł Ślązak)

W każdy punkt moje rzuciłem promienie
A w środku siebie jakoby w ognisku
Czułem od razu całe Przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończonym kole,
Sam nieruchomy czułem jego ruchy
Byłem w pierwotnym żywiołów żywiole
W miejscu skąd wszystkie rozchodzą się duchy
Świat ruszające, same nieruchome:
Jako promienie, co ze środka słońca
Leją potoki blasku i gorąca
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła.

(Mickiewicz)

„O mój duchu przenikliwy, rozumny, potężny, szybszy i rozleglejszy zarazem od błyskawicy! Duchu, który puszczasz się w dal i wydajesz się nieruchomym, świecisz tutaj i gdzie indziej, jesteś wszędy i zawsze cały — ja cię czuję w środku mego jestestwa, a równocześnie wkoło siebie" (Dzierżawin). Obraz ruchu przy poczuciu równoczesnym nieruchomości częsty u mistyków, por. św. Jana od

Krzyża: „Wszystko zdaje się razem z Nim poruszać, chociaż nieporuszony zostaje w duszy (człowieka) On" *(Żywy płomień miłości*, IV., 4).

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskróś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca...

Dusza w ekstazie połączenia z Bogiem: „Mimo całej przemiany zachowuje jednak swój byt naturalny, tak odrębny od Boga, jak szkło prześwietlone od prześwietlającego je promienia słońca". (Św. Jan od Krzyża, *Wejście na Górę Karmel.* II., 5).

W kosmologicznej stylizacji Mickiewicza dostrzeżono reminiscencje pseudoklasyczne. Jest jednak w tej stylizacji coś więcej, aniżeli maniera. Zwrotu „Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura" nie można kłaść obok wiersza Osińskiego „Tam wreszcie dojdę, gdzie potężne Bóstwo" *(Oda na cześć Kopernika)* ani porównywać z Schillerowskim „Markstein der Schöpfung" *(Die Grösse der Welt)*, jak to zwykle się czyni. W kontekście Improwizacji przytoczony zwrot jest wyrazem określonego i brzemiennego w następstwa literackie poglądu na świat. Jaki był kosmos *Ody do młodości?* Najważniejsza część stworzenia, świat ducha, nie wyszła jeszcze z zamętu. Chaos żywiołów dobrze oddaje atmosferę *Ody*. Bóstwo i świat, natura naturans i natura naturata, jak mówili scholastycy, są jeszcze tu jedną i tą samą potęgą. Ludzkość, jako cząstka świata, jest także cząstką bóstwa. Człowiek tedy, poprawiając siebie, dosłownie pcha naprzód dzieło stworzenia. Ścierając z siebie pleśń, odnawia tym samym wiosennie korę ziemskiej bryły i bez przenośni, na łonie młodości, poczyna się młody kosmos. To co dla nas w *Odzie* jest metaforą, to dla deisty mogło być rzeczywistością.

W okresie *Dziadów Drezdeńskich* sytuacja się zmieniła.

Słuchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc:
Że ty kochasz — (II., 270—273.)

Nawrót do wiary dzieciństwa dał Mickiewiczowi Boga osobowego, z którym można było rozmawiać, na którego łonie można się było wypłakać, z którym można się było wadzić, a nawet któremu można było bluźnić. Realista Mickiewicz czuł potrzebę Boga konkretnego, „żywego" jak mówi Pismo; widać to w lirykach rzymskich, w studiach nad mistykami i w pracy w kole Towiańczyków. Pęd do konkretyzacji bóstwa znalazł w III. cz. *Dziadów* także wyraz negatywny: w jaskrawo realistycznym traktowaniu diabła, teologicznie rzecz biorąc, antytezy Boga.

Nowy obraz świata jest dualistyczny. Rozróżnienie porządku przyrodzonego i nadprzyrodzonego jest u Mickiewicza tylko wstępem do próby pogodzenia ich z sobą. Zazwyczaj mówi się, że Mickiewicz „przeciwstawiał" uczucie rozu-

mowi. Heurystycznie nie jest to wyrażenie szczęśliwe. Cechą bowiem charakterystyczną „dialektyki mistycznej", jaką stosuje Mickiewicz, nie jest wcale przeciwstawianie, lecz właśnie bunt przeciw odczuwanemu jako przeciwstawne urządzeniu natury, wywrócenie podziału na Geisteswissenschaft i Naturwissenschaft, jak mawiali do niedawna metodolodzy. Stąd dążność do pomieszania tzw. władz duchowych człowieka, do przekornego posługiwania się nimi, do synestezji. Konflikt *Romantyczności* to protest przeciw rozdwojeniu życia na sferę wiary i poznania. W Improwizacji występuje to samo zjawisko. Z jednej strony Konrad zarzuca Bogu, że rozum, a nie uczucie, uczynił władzą poznawczą:

Kłamca, kto ciebie nazwał miłością,
Ty jesteś tylko mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą.

(To znaczy, zarzuca się Bogu, że jest czymś adekwatnym do naszej władzy poznawczej). Z drugiej zaś strony przez wysilenie władzy uczuciowej pragnie Konrad osiągnąć potęgę zewnętrzną, materialną. Naturalne wznoszenie się do Boga po szczeblach stworzeń (empiryczna zasada nauk przyrodniczych zbiega się tu nie przypadkowo z racjonalistycznym kierunkiem teologii) pragnie zastąpić poeta przez nadnaturalne poznanie bezpośrednie, czyli przez mistyczny kierunek teologii.

W ten sposób dociera Mickiewicz do pojęcia pierwiastka wyższego nad rozum i uczucie, pierwiastka jednoczącego i organizującego tzw. władze duchowe. Tym pierwiastkiem jest według poety *duch*. Dokładniej określa ducha Mickiewicz, idąc zresztą za mistykami, w prelekcji paryskiej poświęconej Cieszkowskiemu. Przytaczam ustęp, który zawiera pośrednio ciekawy komentarz do Improwizacji: „Duch nie jest to Geist, nie jest to sumienie, ale osobistość rozwiniona o jeden stopień wyżej. Jestestwo organiczne istnieje *w samym sobie*, duch *przez samego siebie*, człowiek duchowy *z samego siebie:* ten co poczuł w sobie ducha i zaczyna już życie duchowe, ma byt przez samego siebie, dla samego siebie i z sámego siebie. To wyrażenie *z samego siebie*, pierwszy raz użyte przez Cieszkowskiego, bardzo jest ważne. Duch całą siłę wydobywa z samego siebie, a wtedy — co Cieszkowski powinien był jaśniej wyłożyć — materia czyli jednostkowości zewnętrzne, myślenie czyli myśl powszechna, są tylko środkami dla niego: podnosi się, rozszerza się, poznaje siebie i pojmuje całą naturę. Nie na to, aby walczył z materią, z ja zewnętrznym, jak Fichte mniema; nie na to, aby jednoczył się z naturą w jakimś absolucie, jak Schelling utrzymuje; nie na to, aby tylko bawił się rozumowym pojmowaniem związku zachodzącego między naturą a myślą; ale na to duch stworzony, żeby postępował, posuwał się ku Bogu". (*Lit. słow.* R. III., L. 22).

Omawiając *Dzieje Wacława* Garczyńskiego rzuca Mickiewicz pewne światło, jak mi się wydaje, na zasadniczy problemat Improwizacji, na morfologię i biologię ducha ludzkiego: „Odzywa się więc (Garczyński) do swojego jestestwa tajemnego, które jako *wypływ Boga powinno wiedzieć coś o przeznaczeniu*

ludzkim; powiada, że to jestestwo, *ten człowiek wewnętrzny poruszony, wywołany, nauczy, jak rozwiązać zagadkę losów ludzkości i gdzie znaleźć siłę.* Ta myśl jest zasadą poematu Garczyńskiego i razem kamieniem węgielnym filozofii słowiańskiej. To pojęcie o duchu, chwytane przez Dzierżawina, Naruszewicza i innych poetów, Garczyński wyraził jasno" *(Lit. słow.* R. II., L. 30. podkr. moje).

W obu komentarzach zarysowuje się jakby kościec Improwizacji. W tym miejscu od rodzaju literackiego przechodzimy do sprawy tzw. formy wewnętrznej. Utworem, w którym można by upatrywać spotkania obu problemów ważnych dla genezy Improwizacji czyli literackiego rodzaju i pokrewnego schematu ideowo-uczuciowego, jest oda Dzierżawina o nieśmiertelności duszy. Mickiewicz cytował z tego wiersza urywek następujący: „O, mój duchu przenikliwy, rozumny, potężny, szybszy i rozleglejszy zarazem od błyskawicy! Duchu, który puszczasz się w dal i wydajesz się nieruchomym, świecisz tutaj i gdzie indziej, jesteś wszędy i zawsze cały, nieuchwytny i obecny w woli, w pragnieniach i rozumie! wcielasz się w każdą mą władzę, ja cię czuję w środku mego jestestwa, a równocześnie wkoło siebie". (*Lit. słow.* R. II., L. 12). Mickiewicz określał takie ujęcie ducha, jako „słowiańskie", zapewne w przeciwstawieniu do współczesnego idealizmu niemieckiego, gdyż w rzeczywistości stara to nauka mistyków.

Gdyby dziwił się ktoś, że dla wytłumaczenia formy Improwizacji uciekamy się do filozofii, teologii i mistyki, że utwór poetycki zestawiamy z prozą wykładów Mickiewicza — przypominam, że pierwszą zasadą wszelkiego badania jest adekwatność metody z przedmiotem badań. Mickiewicza często trzeba badać metodą mickiewiczowską, czyli tą samą, którą on stosował w swych prelekcjach w omawianiu innych autorów. Metoda badawcza pisarza bywa zazwyczaj odbiciem własnej twórczości, jakby idealnym jej schematem. Co się zaś tyczy teoretycznych wypowiedzi autorskich, to należy odróżniać wypowiedzi przed dziełem i po dziele. Konfrontacja dzieła z wypowiedzią ujawnioną przed powstaniem dzieła niewiele nam da; nawet ewentualne odchylenie od planu nie powie nam, o ile autor zmienił zdanie, a o ile dokonało tego za niego samo dzieło, które ma przecież także swoje własne wymagalniki wewnętrzne, a te mogą być w niezgodzie z teoretycznymi poglądami autora. Inaczej ma się sprawa z wypowiedziami-refleksjami, ogłaszanymi po napisaniu dzieła; do tego rzędu należą przywiedzione cytacje z Mickiewicza. W wyniku porównania dzieła z wypowiedzią ex post możemy stwierdzić także różnice między rzeczywistym osiągnięciem, a uświadomieniem sobie przez pisarza jego istotnych zamiarów, chęci lub możliwości artystycznych. Otóż ta właśnie różnica może nam coś nie coś powiedzieć o idealnym zamiarze twórczym. — Dlatego o ile wypowiedzi ex ante należą na ogół do historii poglądów pisarza, to wypowiedzi ex post należą także do dziejów twórczości: nawet w wypadku wyraźnej konstrukcji ratowniczej autor przedstawia swe dzieło idealiter.

II

W poszukiwaniu tzw. formy wewnętrznej Improwizacji, tej idei, która stanowi podłoże przeżycia poetyckiego, zwrócono uwagę na prometeizm. J. Kallenbach zestawiwszy wiersze Mickiewicza

Jam się twórcą urodził! Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do ciebie przyszły Twoje!
Boś i Ty po nie nie chodził!
Masz i nie boisz się stracić i ja się nie boję!

z następującymi słowami dramatycznego fragmentu Goethego pt. *Prometheus*

Und welch ein Recht
Ergeizen sich die Stolzen
Bewohner des Olympos
Auf meine Kräfte?
Sie sind mein und mein ist ihr Gebrauch.
— — — — — — — — — — —
Ich dauere so wie sie
Wir alle sind ewig

dochodzi do wniosku, że „tylko Goethego Prometeusz zdobywa się na podobne zuchwalstwa" (*Adam Mickiewicz*, wyd. 3, 1923, II., 48—49).

Wniosek niesłuszny. Zuchwalstwo Konrada o wiele przewyższa zuchwalstwo Prometeusza Goethego. Ojciec Prometeusza Japetos i ojciec Zeusa Kronos byli synami Uranosa i Gai, jak nas uczy Hezjod. Prometeusz jest zatem starszym kuzynem, bratem stryjecznym Zeusa. Czyn tytana jest jeno niekarnością wobec olimpijskiej rady familijnej („Sam bóg wbrew woli bogów" — powiada Ajschylos) a jego spór z Zeusem to podyktowane zazdrością i podejrzliwością niesnaski rodzinne, jakie wybuchły po rewolucji pałacowej w niebie. Prometeusz czuje się równy bogom i jest faktycznie równy im pochodzeniem, a co więcej lękiem przed zawisłym porówni nad wszystkimi niebianami Losem. Tej wewnętrznej sytuacji *Prometeusza* nie można porównać z wystąpieniem Konrada wobec Boga, stworzenia wobec stwórcy, istoty śmiertelnej wobec potęgi najwyższej.

Hipoteza Kallenbacha, powtórzona przez Kawczyńskiego (*Przyczynek do wyjaśnienia Improwizacji Mickiewicza*, Rozpr. Ak. Um. Wydz. fil. XXI.) i Sinkę (*O tradycjach klasycznych A. Mickiewicza*, str. 51), nie wyjaśnia wcale Improwizacji, a równocześnie zaciemnia sens właściwy *Prometeusza* Goethego. Kallenbach cytuje dwa, starannie przez badaczy Goethego rozróżniane, utwory — fragment dramatyczny *Prometeusz* i odę *Prometeusz* — jako równorzędne. Z faktu, że stary Goethe usiłował je połączyć w jedną całość, nie wynika bynajmniej, żeby to były dzieła jednorodne. Kallenbach szedł bezkrytycznie za *Dichtung und Wahrheit*. Tacy znawcy twórczości Goethego, jak Wilh. Scherer, Erich Schmidt, Pniower i O. Walzel wykazali, że Goethe się mylił redagując

odpowiednią księgę swoich artystycznych dziejów, że oda powstała po fragmencie i stanowi odrębny świat pojęciowy i ideologiczny. Oda to poczucie geniuszu, samorodnej i boskiej siły twórcy. W ułamku dramatycznym mamy obraz pierwotnych stosunków ludzkości według wyobrażeń Oświecenia, które na myśli ewolucyjnej oparło swą wiarę w postęp: zgodnie z poglądami Oświecenia rozwinie potem swą działalność humanitarną i gospodarczą Faust w II. części dramatu.

Żeby nie wpaść w jednostronność naszych uczonych trzeba pamiętać, że prawie razem z *Prometeuszem* powstaje wówczas pierwszy zarys *Fausta*, czyli problem nieograniczonej potęgi twórcy występuje obok zagadnienia ograniczoności ludzkiego poznania: obok dumnego tytana mamy Fausta, czującego się tylko robakiem w prochu ziemi. Ta oboczność jest niesłychanie ważna dla zrozumienia problematyki prometeizmu; wrócimy jeszcze do niej, aby wyświetlić tajemnicę Konrada. Warto również pamiętać, że Goethe napisał autoparodię genialnego tytanizmu w *Hanswurst Hochzeit*, analogiczną jak widzimy rzecz do omówionych w rozdziale pierwszym prób autoparodii i satyry Mickiewicza. (Por. Max Morris, *Goethestudien*, 2 Aufl., Berlin, 1902, I., 237—249). Dodam jeszcze, że we fragmencie prometejskim poza akcją odkrywa Morris coś w rodzaju dziennika twórczości Goethego; w odzie zaś Walzel wykazał ślady polemiki z Lawaterem o moralną autonomię człowieka (*Das Prometheussymbol von Shaftesbury zu Goethe*. 2 Aufl., München, 1932, str. 90—92).

Wytłumaczenie zresztą jednego dzieła przy pomocy drugiego, monologu Konrada monologiem Goethowskiego Prometeusza, nie posuwa nas wcale naprzód w poszukiwaniu wewnętrznej formy Improwizacji. Sytuacja objektywna *Prometeusza*, antyczna fabulacja, nie ma nic wspólnego z Mickiewiczem. Inaczej mogłaby się przedstawiać sprawa z sytuacją subiektywną. Słowa

Ich dauere so wie sie,
Wir alle sind ewig

można rozumieć jako odbicie filozoficznego stanowiska Goethego, wyrażającego się w formule: równość w wszechbóstwie. Mógłby tu też wchodzić w rachubę wiersz znanego Mickiewiczowi Lukrecjusza, głoszący, że wszyscy jesteśmy rodem z niebieskiego nasienia (Denique caelesti sumus omnes semine oriundi. *De rerum natura*, II., 991). U Goethego odnajdziemy ślady neoplatonizmu, który odegrał dość znaczną rolę w twórczości autora *Fausta*. Sytuacja subiektywna Konrada jest podobna, ale nie ta sama. Obok idealistycznego utożsamienia podmiotu z przedmiotem, zlania świata z jaźnią, zespolenia, które dokonuje się bądź ze szkodą dla przedmiotu (Fichte) bądź dla podmiotu (różne odcienie panteistyczne) — istnieje inny sposób stopienia przedmiotu z podmiotem, w którym to związku przedmiot ginąc w poznającym, ogarniającym go podmiocie, nic nie traci ze swej samodzielności. O tym drugim sposobie mówią nam tzw. doświadczenia mistyki chrześcijańskiej. Mickiewicz wyraził tę myśl obrazowo w fragmencie *Widzenie:*

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskróś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca
I uczy wodę, skąd się światło leje
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Zdobyczą mistyków chrześcijańskich, chlubnie świadczącą o śmiałości ich myśli, jest postawa pełna godności wobec Boga, ocalenie autonomii człowieka w stosunkach z bóstwem. Żaden z nich nie przyłączyłby się do chóru mistycznego z końca II. cz. *Fausta:*

Alles Vergängliche
Ist nur ein Gleichnis.

W słowach Goethego mamy nierówność obu porządków, z upośledzeniem porządku ziemskiego. Dla chrześcijańskiego mistyka nie istnieje powód dostateczny, który by mógł usprawiedliwić naruszenie równowagi panującej między oboma porządkami. Każde zdarzenie jest w tym samym stopniu „podobieństwem" co i faktem, którego ani cofnąć ani zniszczyć nie może nawet sam Bóg.

W panteistycznym zabarwieniu „Gleichnis" zbliża się do złudy, do pozoru, do piany zjawisk. Dopiero zaświat otwiera nam oczy na konkrety: w „Pandorze" śmierć symbolicznie zresztą przedstawiona zostaje rewelatorką najwyższych wartości życia. Na pytanie Eckermanna, czy nie żałuje lat poświęconych teatrowi Weimarskiemu, co nie obyło się bez szkody dla własnej twórczości, odpowiedział Goethe panteistycznie, dając pośrednio komentarz do swego chóru mistycznego: „Freilich ich hätte indes manches gute Stück schreiben können, doch wenn ich es recht bedenke, gereut es mich nicht. Ich habe all mein Wirken und Leisten immer nur symbolisch angesehen und es ist mir im Grunde ziemlich gleichgültig gewesen, ob ich Töpfe machte oder Schüssel" (2. V. 1824). Jakże inny pogląd na twórczość wypowiada Rilke, stojący blisko mistyki chrześcijańskiej. W *Listach do młodego poety* spotykamy radę, której mógłby był udzielić także Mickiewicz: „Niechaj Pan zbada przyczynę, która każe Panu pisać; niech Pan sprawdzi, czy ona zapuszcza korzenie do najgłębszych zakątków Pańskiego serca, niechaj Pan wyzna sobie samemu, czy musiałby Pan umrzeć, gdyby Panu zabroniono pisać. To przede wszystkim niech Pan uczyni: niechaj Pan zapyta siebie w najcichszej godzinie Pańskiej nocy — czy *muszę* pisać? Niech Pan dokopie się w sobie na to pytanie głębokiej odpowiedzi. A gdyby ona miała zabrzmieć potwierdzająco, gdyby wolno było Panu przeciwstawić temu surowemu pytaniu mocne i proste „*muszę*", wtedy niechaj Pan zbuduje sobie życie według tej konieczności; życie zaś Pańskie aż do najobojętniejszej, najbardziej błahej godziny, powinno nosić piętno tego musu i być jego świadectwem. (List I. Tłum. Edwin Herbert). Sekretem podobieństwa Rilkego i Mickiewicza, poza indywidualnymi różnicami i skalą talentu, jest wspólna postawa uniwersalistyczna.

Równość obu planów mistycy doprowadzili do ostateczności. Rzeczy ludzkie dzieją się równocześnie na planie boskim. Na odwrót misteria boskie mają swój nieodzowny plan ludzki. Gdy duma mędrców umęczonego Boga do grobu złożyła:

„Wyszedł z ich duszy ciemnej jak mogiła". (Mędrcy).

Jeśli religia mówi, że człowiek nie może istnieć bez Boga, to mistyk odwróci ten pewnik i powie, że tak samo Bóg nie może istnieć bez człowieka. Człowiek w Bogu poznaje siebie, a Bóg siebie w człowieku. Człowiek wzbogaca się łaską boską, a Bóg znów wzrasta o sumę dobra, którą zdoła wypracować w sobie człowiek. Posłuchajmy Anioła Ślązaka:

Gott ist so viel an mir, als mir an ihm gelegen,
Sein Wesen helf ich ihm wie er das meine hegen.

(Cyt. wg. wydania Wilh. Bölschego, opartego o pełne wydanie z 1675 r. Jena-Lipsk, 1905).

„I każda dobra chęć ciebie wzbogaca"

(Mickiewicz, *Rozmowa wieczorna*).

Jeszcze Anioł Ślązak:

Die geistliche Drachenstürmung.
Wenn du aus dir verjagst die Sünd und ihr Getümmel
So wirft st. Michael den Drachen aus dem Himmel.

(III. 124).

Nie koniec na tej symbiozie. Dialektyka mistyczna nie tylko Boga obezwładnia (Gott mag nicht ohne mich ein einzig's Würmlein machen. I., 96), lecz także wydaje bezbronnego w ręce ludzkie; skazuje Stwórcę na łaskę i niełaskę stworzenia:

Każda myśl podła, jako włócznia nowa
Otwiera Twoje niezgojone rany;
I każda chęć zła, jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany

(Rozmowa wieczorna).

Jako paralelę mistyczną przytaczam ustęp z dzieła Jana Taulera: „Jeśliby się mimowolnie jakie nasunęło (grzeszne życzenie lub myśl sprośna), dość wspomnieć na to, że każden grzech jest jakby nowa rana przez ręce nasze Zbawicielowi ukrzyżowanemu zadana, a przy pomocy boskiej grzeszna myśl spełznie na niczym". Dalej mówi autor na temat „ogromu naszego przestępstwa, gdy przez roztargnienie przy mszy świętej dajemy spływać bezużytecznie krwi boskiej na nieczułą ziemię albo gdy grzechami naszymi rozdzieramy bolejące rany Zbawiciela". (*Ustawy duchowe*. Tłum. pol. Kr., 1852, str. 85).

Tu tai się niebezpieczeństwo zuchwalstwa wobec Boga. Trentowski we wszystkich postaciach idealizmu filozoficznego, który prowadzi do uznania człowieka za stwórcę Boga, widzi ateizm; z tego samego powodu mistycyzm nazywa antropoteizmem; „so ist die Mystik und die Scholastik ein *Anthropotheismus*, denn sie vergöttern, wenn nicht den Menschen überhaupt, dennoch das Ideal des Menschen". (*Vorstudien zur Wissenschaft der Natur*, Leipzig, 1840, I., 31 i 74).

Mickiewicz tłumacząc Anioła Ślązaka łagodzi wyzywające akcenty oryginału. Któżby w zdaniu:

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży,
I Boga w sobie a sam w Bogu się pogrąży.

poznał rozmach mistyczny czterowiersza niemieckiego:

Soll ich mein letztes End und ersten Anfang finden
So muss ich mich in Gott und Gott in mir ergründen
Und werden das, was Er: Ich muss ein Schein im Schein
Ich muss ein Wort im Wort, ein Gott im Gotte sein.

Dystych z charakterystycznym dla mistyki pytaniem retorycznym, na którego temacie oprze Mickiewicz swój wiersz „Broń mnie przed sobą samym":

Der Abgrund meines Geist's ruft immer mit Geschrei
Den Abgrund Gottes an: Sag, welcher tiefer sei?
(I. 68).

znajdzie spokojniejszy nierównie odpowiednik polski w formie:

Duch z bezdeni swej woła, Bóg ze swej bezdeni
Odpowiada: obadwa równie niezgłębieni.

Dystych następujący:

Wer in der Ewigkeit mehr lebt als einen Tag
Derselbe wird so alt, als Gott nich werden mag.
(II. 33)

Przekłada Mickiewicz mniej więcej al pari:

Czy wiecie, żeśmy dłużej niżeli Bóg żyli?
Bóg jest wieczny, a przecie nie żył ani chwili.

(Igranie pojęciami w stylu wiersza „Broń mnie przed sobą samym"; może to mieć pewne znaczenie dla ustalenia jego chronologii). Nagłówek jednak polski „Wieczność nie ma chwil" o wiele bardziej jest umiarkowany, aniżeli oryginału „Wer älter ist als Gott"?

Nie można tego położyć na karb niedokładności tłumaczeń. Jest w mickiewiczowskich przekładach i parafrazach mistycznych coś więcej jeszcze ponad delikatność człowieka religijnego, którego raziły prawdopodobnie pewne jaskrawości zwrotów mistycznych; uprzedzając tok rozważań powiem, że z tego przecie ziarnka mistycznego wyrosło aż pod niebo zuchwalstwo Konrada. Gra tu szła o daleko większą stawkę, o podstawową ideę religii chrześcijańskiej: ocalenie Boga osobowego oraz odrębności duszy ludzkiej, którym ze strony panteistycznych odcieni mistycyzmu i idealizmu groziło niebezpieczeństwo zlania i utożsamienia z bóstwem. Mickiewicz pod tym względem przypomina największych polskich przedstawicieli idealizmu: Gołuchowskiego, Wrońskiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego, Krasińskiego, Kremera i Libelta, których największe wysiłki miały na celu ratowanie wspomnianych dogmatów chrześcijańskich w morzu niemieckiego idealizmu filozoficznego.

W świetle przedstawionego tu kontekstu ideologicznego daleko bliższym od Goethego dla Mickiewicza wzorem będzie misterium Byrona *Niebo i ziemia*, w którym nie bóg, nie gigant ani heros, lecz córka ziemi, dumna latorośl Kainowa, Aholibamah, głosi równość z Bogiem, w poczuciu swej nieśmiertelności zdając sobie równocześnie sprawę z różnicy między sobą i Stwórcą. Nie przeszkodzi jej to wszakże podjąć walki z Bogiem „jeśli On jej chce". (Podobne jest psychologicznie stanowisko Konrada: „Ja czuję nieśmiertelność...").

I feel my immortality o'ersweep
All pains, all tears, all time, all fears and peal,
Like the eternal thunders of the deep,
Into my ears this truth- „Thou liv'st for ever".
But if it be in joy
I know not, not would know
That secret rests with the Allmighty giver
Who folds in clouds the fonts of bliss and woe.
But thee and me he never can destroy;
Change us he may, but not o'erwhelm; we are
Of as eternal essence and must war
With him if he will war with us.
(*Heaven and Earth* Part. I. scene 1).

W miejsce dwuznacznego sytuacyjnie (bo mówi to i Prometeusz i Goethe) oraz ideologicznie (bo możliwa jest ze względu na Goethego interpretacja panteistyczna) zdania „wir alle sind ewig" wolę jednoznaczne, a kontekst co do tego nie zostawia wątpliwości, powiedzenie „we are of as eternal essence". Dla ścisłości dodam, że Aholibamah przemawia w tym miejscu w imieniu własnym i swego niebieskiego kochanka, anioła Samiasy, czyli mamy coś jakby drabinę „pierwiastka wieczności": człowiek — anioł — Bóg. Jest to ujęcie chrześcijańskie, a nawet poprawnie scholastyczne. Ma to pewne znaczenie przy zestawianiu, rzecz prosta tylko najogólniej ideologicznym, misterium Byrona z dziełem Mickiewicza.

Jedną rzeczą wspólną, jaką Improwizacja ma z *Prometeuszem Goethego*, jest problem twórcy. Ten zaś problem, jak wykazał Walzel w nowym, przerobionym wydaniu swej pracy *Das Prometheussymbol von Shaftesbury zu Goethe* (München, 1932), jest wspólną własnością epoki. Nie ma powodów ograniczać Mickiewicza do znajomości jednej ody, skoro roztrząsał to zagadnienie cały „Sturm und Drang" oraz romantyzm niemiecki. Weźmy np. taki urywek na temat dostojnej roli człowieka w świecie, zaczerpnięty z dzieła Herdera *Älteste Urkunde des Menschengeschlechts:* „Gottes Stelle zu vertreten! zu herschen, zu walten, mit Schöpferkraft und Allgute, wirksam, still und verborgen, wie er in der Natur, ein Gott der Erde zu sein, Segen, Leben und Glückseligkeit zu verbreiten"... (*Sämmtl. Werke.* Stuttgart u. Tübingen, 1827—28. 5 Teil., str. 123). W tych paru wierszach jest więcej zbieżności z Improwizacją, niżby się można było po locus communis spodziewać! Być Bogiem na ziemi, zastępcą Stwórcy, panować, władać i uszczęśliwiać!

Herder starał się też rozwiązać w tym samym wykładzie pierwszych rozdziałów biblii problem wielkości i nędzy człowieczeństwa, wyznaczyć człowiekowi należne mu miejsce na ziemi (7 Teil, str. 16—58). Herder wyznaje chrześcijański humanizm. Podobnymi zagadnieniami zajmował się u nas Karpiński. Mam na myśli jego *Rozmowy Platona z uczniami swoimi.* Przytaczam początek rozmowy drugiej „o człowieku: jego wielkości i nikczemności". Znał ją na pewno Mickiewicz, bo właśnie ten ustęp przedrukował ks. Paweł Chrzanowski w swoim szkolnym podręczniku *Wybór różnych gatunków mowy wolnej* (II. 7—8 przypisek).

„Człowiek podniósł głowę swoją" — powiada Platon Karpińskiego — „nad twory ziemskie i pogroził reszcie stworzenia. Wszystko mu na ziemi ulega co tylko żyje i zdaje się, że tylko żyje dla niego. Dosięga myślą Boga, słońca i planet, a tak, przybliża się do pokrewnych sobie ducha i ciała. Dziecko natury, przystraja matkę swoją i sam rozumem swoim przybrał się w odzienie wygodne, znalazł powietrze zdrowe, pomierzył niebo, podbił wodę i dobiegł lotu błyskawicy pomiędzy chmurami. Rzekł żywiołom zawaśnionym: Ustąpcie, bo mam przechodzić — i dały mu miejsce przechodu. W potrzebie, robi sobie chłody przez wykopane podziemne gmachy, albo na ziemi ciepło, przez wytrzebione lasy niedostępne. Rzekł morzu: Usuń się, żeby mi była ziemia przestronniejsza i usłuchało go morze. Płynie okrętem po grzbiecie jego, a to mruczy, ale słucha pana, który je podbił.

Wiatrów i ognia używa do wygody swojej i położył tamy, które by zatrzymywały ich natarczywość. Porusza wnętrzności ziemi i dobywa z nich drogie kamienie, metale, sole i marmur dla pożytku, albo dla ozdoby. Szpiegując skrytości natury, zbiegł ją nad warsztatem jej i widział sprężyny, którymi działa. Poszedł na bagna niezbrodzone i lasy nieprzebyte, a pod nogami jego stały się polem urodzajnym i piękną łąką; że zdaje się, jakoby natura świat jeden wystawiła, a przemysł człowieka drugi. Rozum to ludzki ugłaskał jedne zwierzęta itd".

A po pochwałach zaczyna się refutacja, upokorzenie: „Człowiecze! Pokazałeś mi jak wiele możesz, a ja ci pokażę, jak słabym jesteś!" Ten sam schemat dwu-

dzielny, wzniesienie człowieka, aby tym boleśniej odsłonić potem jego nędzę, występuje w partii Konrada: po wzlocie i próbie zrównania się z Bogiem, upadek, egzorcyzmy i natrząsania się szatańskie. Zatrzymajmy się na razie przy pierwszej części: przy wielkości człowieka. Formalnie pochwała człowieka, włożona w usta Platona, jest trawestacją pochwały Boga z księgi Hioba. Zestawmy parę miejsc: „... Nie będzie usprawiedliwion człowiek przyrównany Bogu. Będzieli się chciał z nim spierać, nie będzie mu mógł odpowiedzieć jednego za tysiąc, który przeniósł góry, a nie wiedzieli ci które wywrócił w zapalczywości swojej, który wzrusza ziemię z miejsca jej i słupy jej wstrząsają się. Który przykazuje słońcu i nie wschodzi: i gwiazdy zamyka jako pod pieczęcią. Który rozciąga niebiosa sam i chodzi po wałach morskich ... Który działa wielkie rzeczy i nieogarnione i dziwy którym nie masz liczby (IX. 2—10). Na krzemień ściągnął rękę swoją, wywrócił z korzenia góry. W skałach wykował strumienie i wszelką rzecz drogą (tj. kruszce szlachetne) widziało oko jego. Głębokości też rzek wybadał i rzeczy tajemne na światłość wywiódł (XXVIII. 9—11). Gdzieś był gdym zakładał fundamenty ziemi?... kto zamknął drzwiami morze, gdy się wyrywało jakoby z żywota wychodząc: gdym kładł obłok szatę jego i mrokiem jako pieluchami dziecinnymi obwijał? Obtoczyłem je granicami mymi i przyprawiłem zaworę i drzwi. I rzekłem: Aż poty przyjdziesz, a dalej nie postąpisz i tu rozbijesz nadęte wały swoje ... Azaś wszedł do głębokości morskich i przechodziłeś się po dnie przepaści?... Azaś oglądał szerokość ziemi?... Izali wiesz porządek nieba i postawisz sposób jego na ziemi? Izali podniesiesz głos twój do obłoka, a gwałt wód okryje cię? Izali wypuścisz łyskawice i pójdą, a wróciwszy się rzeką tobie: Owośmy?“ (XXXVIII. 4—35).

Ponieważ Platon nie wygłasza pochwały człowieka na serio, lecz z ukrytym zamiarem tym większego upokorzenia pana stworzenia, manewr stylistyczny Karpińskiego, polegający na odwróceniu sensu wersetów księgi Hioba, na przeniesieniu tytułów władcy z Boga na człowieka zasługuje na baczną uwagę. W ten sposób, przy pomocy samych środków artystycznych, wyraził poeta zamach racjonalizmu na tron Boga. Mickiewicz korzysta już z gotowej formy, gdy Konradowi każe upominać się u Boga o władzę w imię rozumu, który szczyci się opanowaniem żywiołów i tajemnic przyrody:

Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom twe gromy wydarła,
Śledziła chód twych planet, głąb morza rozwarła.

(II. 116—118).

W wierszu „Broń mnie przed sobą samym“ wraca to samo przeciwstawienie twórczej mocy bożej i poznawczej potęgi człowieka:

Tyś potężny w niebiosach, my tam gwiazdy śledzim,
Wielkiś w morzach, my po nich jeździm, głąb ich zwiedzim.

Zmaganie się Mickiewicza z osiemnastowiecznym racjonalizmem w Improwizacji wystąpi jeszcze jaśniej, gdy sobie uprzytomnimy, że pochwała człowieka z dialogu Karpińskiego to właściwie program działalności gospodarczej i cywilizacyjnej Fausta z II. części dramatu i gdy przypomnimy, że racjonalizm za starożytnością uznawał rozum za władzę, która człowieka upodobnia do Boga. Cicero nauczał: „Quid est autem non dicam in homine, sed in omni caelo atque terra ratione divinius?... Est igitur, quoniam nihil est ratione melius, eaque et in homine et in Deo, prima homini cum Deo rationis societas" (*De legibus*. I. 7). Ustęp ten mógł być znany Mickiewiczowi także z *Wyboru różnych gatunków mowy wolnej* ks. Chrzanowskiego (II. 6. przypisek). Leibniz rozum nazywa obrazem boskości „C'est que Dieu lui a fait présent d'une image de la divinité, en lui donnant l' intelligence... L' homme y est donc comme un petit Dieu dans son propre Monde, ou Microcosme, qu' il gouverne à sa mode: il y fait merveilles quelquefois et son art imite souvent la nature". (*Essais de théodicée, sur la bonté de Dieu, la liberté de l'homme et l'origine du mal.* § 147 Berlin 1840 I. 278).

Przystępując do drugiej części dialogu, poświęconej „nikczemności" człowieka, przytoczę tylko zakończenie wywodów Platona, które moim zdaniem nie jest bez wartości dla próby ustalenia formalnego schematu Improwizacji: „Jeżeli znasz siebie, jakieś powinien, poznajesz i słabość swoją przez poznawanie siły swojej: nie pnijże się do rzeczy, którym sprostać nie możesz. Czemuż chcesz mieć wzrok taki jak orzeł? słuch jak wieprz dziki? albo jak sęp powonienie? Kiedy z takimi zmysłami, jakie posiadasz, bóstwo chciało cię utworzyć, znać, że mu takiego człowieka potrzeba było, ażeby on mógł zgnieść mrówkę, a słoń jego — i na tym zaspokoić się powinieneś. Czemu tak wysoko aż ku gwiazdom wzlatujesz i nie masz bojaźni, ażebyś ciężarem swoim nie zleciał w błoto, z któregoś wyszedł? Nie znasz ziemi, a rozgraniczasz między sobą planety! Zbierz myśli swoje nad samymi tylko obowiązkami, ciebie albo dobra ludzi twoich braci, się tyczącymi". (Wyd. Turowskiego, Kr., 1862, str. 889—890 i 899).

Nie jest moim celem wyszukiwanie filiacji i notowanie reminiscencji, dlatego nie zatrzymuję się dłużej ani przy słowach „Czemuż chcesz mieć wzrok taki jak orzeł?", szczególe, który popularnie nazywa się romantyczną i magiczną siłą oka, ani przy obowiązkach społecznych przeciwstawianych egotyzmowi racjonalistycznego badacza, o co zazwyczaj w studiach mickiewiczowskich oskarża się romantyzm! Natomiast za istotne dla naszych rozważań uznaję zdanie: „poznajesz i słabość swoję przez poznawanie siły swojej". Jest to właśnie droga poznania, jaką Konradowi wyznaczył Mickiewicz: poznać nędzę człowieczeństwa przez bogoburczy wzlot. Jest to droga poznania religijno-mistycznego. I jeszcze jeden ważny wniosek: wzlot Konrada należy istotnie i koniecznie do samego aktu mistycznego poznania siebie. Uświadomienie nędzy ludzkiej w scenie egzorcyzmów nie jest wyłącznie karą za pychę. Pycha „bez pokrycia" była potrzebna do późniejszego skruszenia się. A skruszenie się i pokora stanowią conditio sine qua non odrodzenia duchowego ; nowicjat milczenia, pokory, symbol gruntownego zerwania z przeszłością, to dążność do tabula rasa, znana we wszystkich prawie szkołach filozoficznych na tym szczeblu kultury, na którym wiedza idzie jesz-

cze ręka w rękę z magią i ascezą, a nauka równa się wtajemniczeniu. Przypominam list Mickiewicza do Al. Chodźki z dnia 1 kwietnia 1842 r.: „Za tym poznaniem siebie idzie uczucie własnej nicości, czyli osłabienie, opadnięcie z sił świata; a wtenczas tylko zaczyna wstępować siła Boża". Grzech zatem Konrada należy do rzędu „felix culpa": tu zaczyna się tragizm Konrada, o czym mowa będzie w rozdziale następnym.

Sądzę, że nie bez znaczenia dla kręgu umysłowych zainteresowań zesłańców filomackich będzie zestawienie dwu faktów: Zan na wygnaniu czytuje Karpińskiego i notuje w swym dzienniku lekturę *Rozmów Platona* (*Z wygnania*, str. 72), a Mickiewicz pisząc w roku 1827 o Karpińskim do *Moskiewskiego Telegrafu* chwali poetę za to, że „moralny, pobożny i czuły, niezachwiany został w zasadach swoich mimo panująca modę lekkości, a niekiedy nawet cynizmu" (wyd. Sejm. V. 288).

Od dialogu Karpińskiego możemy się cofnąć do starożytnej tragedii. W *Antygonie* znajdziemy schemat pochwały i refutacji w sławnym chórze, zaczynającym się od słów:

Siła jest dziwów lecz nad wszystkie sięga
Dziwy człowieka potęga.

(Tłum. K. Morawski. Bibl. Nar. S. II. Nr 1. w. 332—3).

Sofokles wylicza nasze osiągnięcia cywilizacyjne i zdobycze kulturalne po to, by przy końcu stwierdzić, że jesteśmy bezsilni wobec śmierci. Ten antyczny problem ograniczoności człowieka wiąże z tragedią Konrada prof. J. Krzyżanowski. (*Polish Romantic Literature*, London, 1930, str. 80).

III

Zazwyczaj wymienia się trzy pierwiastki składające się na pojęcie prometeizmu: motyw twórczości, motyw cierpienia z miłości dla ludzkości i motyw buntu. (Por. Jan Kasprowicz, *Prometeizm w poezji*. Wykłady uniwersyteckie Ogł. Jan Berger. Odb. z Rocznika Kasprowiczowskiego za rok 1937/38). Jeśli idzie o postać Konrada, to możemy dodać jeszcze jeden element ajschylosowski: wieszczostwo. Prometeuszowy to dar:

Jam także ich nauczył, jakie snować sądy
Z przeróżnych wieszczb, jak ze snu odgadywać losy
Idące; wszelkie znaki przydrożne i głosy
Przeznaczeń niepojęte i przeznaczeń ciemnie
Umieją dziś pojmować i zgłębiać przeze mnie

(Tłum. J. Kasprowicz).

Rys wieszczostwa dobrze znany z życia Mickiewicza „Wieszcz a prorok to jedno" — powiada Odyniec (*Listy z podróży* 21. V. 1829; por. Niewiarowicz

Wspomnienia o Ad. Mickiewiczu, Lwów, 1878, str. 143—4. Odyniec wyd. Sejm. XVI. 81. — Wł. Mickiewicz art. w księdze zbiorowej *Pamięci Mickiewicza* i studium St. Pigonia „Wieszczby Mickiewicza" w tomie *Na wyżynach romantyzmu*, Kr., 1936). Przepowiednie i przeczucia były w duchu epoki. Ileż przeczuć sprawdzonych swoich własnych, Mickiewicza i Brodzińskiego przytacza Odyniec we *Wspomnieniach z przeszłości* (W-a 1884, str. 205, 209, 283, 346).

Motyw przepowiedni snuje się przez całą III. część *Dziadów* od celi więziennej Konrada, który o przyszłości jak cygan powiada, poprzez sceny z ks. Piotrem (Widzenie i bal u Senatora) do „Oleszkiewicza". Zauważmy, że są to trzy postaci prometejskie poematu. Mamy w tym rysie wieszczostwa pierwszy przykład religijnego i romantycznego przekształcenia motywu pochodzenia klasycznego. Dalej zobaczymy inne.

Na trop Prometeusza, za czym poszło już mechaniczne zestawianie Improwizacji z wszystkimi możliwymi odbiciami tego motywu w literaturze świata, naprowadził badaczy Odyniec, któremu zawdzięczamy wiadomość, że Mickiewicz w zimie 1829 interesował się w Rzymie *Prometeuszem* Ajschylosa. Odyniec opowiada, jak Mickiewicz deklamował mu z zapałem dialog między Prometeuszem a Hermesem. Poeta zaczął snuć przed swoim towarzyszem podróży plan dzieła o Prometeuszu chrześcijańskim: „Nie będzie to ani tłumaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego, ale tylko daleka parafraza jego idei zastosowana do chrześcijańskich pojęć duchowych. W treści zaś jest to odwieczna historia ducha ludzkiego, nie bez dobrej woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę w zapasach z potęgami wyższymi, a raczej tylko silniejszymi od niego, których on ani uznać, ani im ulec nie chce i nie może" (*Listy z podróży*, Rzym, 23 grudzień 1829).

Zacząć wypada od krytyki przekazu Odyńca. Już w 1823 r. raziły Czeczota powierzchowność i blagierstwo Odyńca (Kor. Fil. V. 41). Niewiarowicz przywiązywał wagę głównie do świadectw Odyńca z czasów podróżowania z poetą (*Wspomnienia o A. Mickiewiczu*, 60—61). Odyniec atakowany przez Chmielowskiego za *Listy z podróży* wydając *Wspomnienia z przeszłości* zabezpieczył się ex post przeciw próbom krytyki historycznej: „nie są to ani historyczne ani literackie studia; ani dokładne biografie pojedyńczych osób; ani krytyczne sądy i rozbiory ich pism, działalności lub wpływu". (Przedmowa). H. Życzyński odrzuca całkowicie świadectwo Odyńca; przy omawianej jednak relacji, najważniejszej ze wszystkich wspomnień Odyńcowych — chodzi przecież o genezę najgłośniejszego dzieła Mickiewicza wiązanego zazwyczaj z epoką rzymską i drezdeńską — ze zdziwieniem stwierdzamy, że Życzyński nie ma nic właściwie do powiedzenia. Poprzestaje na uwadze, że „relacja jest bardzo mglista" i przypuszcza nie wiedzieć na jakiej podstawie, że ta opowieść powstała pod wpływem rozprawy W. Cybulskiego o Dziadach. (H. Życzyński, *Mickiewicz w oświetleniu Odyńca*. Lublin, 1934, str. 15).

Nie ulega wątpliwości, że opowieść swą Odyniec wystylizował; cała reżyseria zdradza literacki charakter: od wyrazu twarzy Mickiewicza, która przypomniała Odyńcowi blask oblicza poety z czasów pisania *Dziadów Wileńskich*, do

umieszczenia pointy w przypisku. Nie można odmówić Odyńcowi prawa do takiego genru (Życzyński zdradza w tej sprawie brak zmysłu literackiego), a jeśli historycy literatury mimo wstępu do *Wspomnień z przeszłości* korzystali z Odyńca bezkrytycznie, to nie ma powodu winić o to Odyńca! Za świadectwem Odyńca przemawia nadzwyczajność przekazanych przez niego pomysłów jak: chrześcijańska parafraza Ajschylosa lub Chrystus uwalniający Prometeusza. Słusznie zauważył prof. Pigoń: „Świat myśli, rozwijanych przez Mickiewicza przygodnie podczas podróży wyrastał ponad umysłowość Odyńca; sam z siebie nie mógłby on ich zaczerpnąć (Wyd. Sejm. XVI. 57 przypisek). Nie można z Odyńca odrzucać wszystkiego, jak Życzyński, ani przyjmować, jak to czyni R. Blüth (*Prometeusz chrześcijański*, Verbum 1935), nie mówiąc już o Kallenbachu. Wiarygodności Odyńca nie podobna rozstrzygnąć ogólnie i zbiorowo; trzeba tę sprawę traktować ostrożnie i od wypadku do wypadku.

Zacznę od wzmianki, że Mickiewicz kupił sobie oryginał i tłumaczył à livre ouvert. Mimo współczesnych pochwał dla pamięci Mickiewicz, który recytował w Rosji długie ustępy z Homera, jak świadczy Ksenofont Polewoj (Wł. Mickiewicz *Żywot Adama Mickiewicza*. Poznań 1829 I. 256 i wyd. Sejm. XVI. 35) trudno przyjąć, by Mickiewicz czytał swobodnie nieznanego sobie tragika greckiego w oryginale; był niezłym latynistą, z *Korespondencji Filomatów* nie można jednak nabrać przekonania, że był równie biegły w greczyźnie. Tym upiększonym szczegółem przykrył Odyniec ciekawą informację: że Mickiewicz znał dzieło księdza Piotra Brumoy *Théâtre des Grecs*, szczegół ważny, bo jak wiadomo Mickiewicz lubił posiłkować się przekładami francuskimi w swoich studiach, a nawet tłumaczeniach z obcych języków (np. Byron, Lukrecjusz). Idźmy dalej. Dwa razy dotyka dzieła Brumoy Kallenbach: „Jest to przekład tragików greckich z wstępami i objaśnieniami dodanymi przez późniejszych wydawców" (Pam. Tow. Lit. im. A. M. IV. 13 przypisek) i „Dzieło zawierające tłumaczenie francuskie tragików greckich" (*Adam Mickiewicz* II. 40). Są to ogólniki, na których nie można budować. Ważną rzeczą byłoby ustalenie, z którego wydania korzysta Mickiewicz. Mickiewiczolodzy nie zastanawiają się nad tym wcale, a tymczasem jest to sprawa decydująca, jak wynika choćby z prac badaczy Goethego. Oto dwa pierwsze wydania tego dzieła (Paris 1730 i 1765) zawierają z całego dramatu Ajschylosa tylko scenę między Prometeuszem i Hermesem, czyli tę samą, którą deklamuje Mickiewicz Odyńcowi. Całego Prometeusza zawiera dopiero wydanie z 1785; daty ważne dla Goethego, bo okazuje się, że autor, którego chciano gwałtem zrobić wzorem dla Mickiewicza pisząc swój fragment i odę prometejską, znał tylko ułamek tragedii greckiej i to w tłumaczeniu niemieckim, a nie francuskim. Blüth jest krytyczniejszy, bo przesuwa czas zapoznania się z *Teatrem* Brumoy na koniec pobytu w Rosji: w spisach nowości księgarskich podanych przez *Moskiewski Telegraf* w 1828 r. znalazł wzmiankę o jakimś „II. wyd. kompletnym z 1820 r." (*Verbum* 1935).

Rzecz prosta, że nie ma powodów trzymać się w tym względzie daty Odyńca: Rzym, grudzień 1829. Datę tę można równie dobrze przesunąć jeszcze w głębszą przeszłość. *Teatr* Brumoy nie był nieznany w Polsce: *Nowy Pamiętnik War-*

szawski w 1801 r. mówiąc o trzech jednościach odsyła czytelników do dzieła ks. Brumoy o teatrze Greków, co przypomniał Lud. Zalewski (*Sztuka rymotwórcza Fr. Ks. Dmochowskiego.* W-wa 1910 str. 61). Mamy nadto wskazówkę cenną w historii literatury greckiej Grodka: wymienia on tłumaczenie francuskie Ajschylosa „quae etiam inserta legitur libro pervulgatissimo: Théâtre des Grecs par le P. Brumoy. Nouvelle édition. Paris 1787" (*Initia Historiae Graecorum litterariae.* Vilnae 1821—3 I. 152). A więc przed wyjazdem do Rosji, w bezpośrednio dostępnym sobie podręczniku uniwersyteckim mógł poeta znaleźć informację o dziele Brumoy; zwróćmy uwagę, że Groddeck cytuje wydanie, w którym po raz pierwszy podano pełny tekst *Prometeusza* i że nazywa *Teatr grecki* Brumoy księgą powszechnie znaną.

Innym zagadnieniem, nad którym się niewiele zastanawiano, jest sprawa, czy poza ks. Brumoy nie było innego informatora o Prometeuszu i prometeizmie. Otóż był. Była nim dobrze znana filomatom encyklopedia J. G. Sulzera *Allgemeine Theorie der schönen Künste,* która w artykule „Aeschylus" zawiera tłumaczenie rozmowy między Prometeuszem i Hermesem. Znowu zjawia się ta sama scena! Dodajmy, że Walzel skazuje Goethego na znajomość tylko tego urywka z Sulzera. (*Das Prometheussymbol.* 71). Czyli Goethe i Mickiewicz znali niezależnie od siebie to samo źródło pewne (Sulzera) i przy obu w rachubę wchodzi to samo źródło niepewne (Brumoy).

Walzel krytycznie ocenia autoreferat Goethego z *Dichtung und Wahrheit* o genezie *Prometeusza* i jako na źródło wskazuje na Shaftesbury'ego, którego pogląd na prometejską rolę twórcy znalazł Goethe w encyklopedii Sulzera pod hasłem „Dichter" *(Das Prometheussymbol.* 58—62). Nie jest tedy rzeczą metodycznie usprawiedliwioną, że prometeizm Mickiewicza wiąże się z epoką rzymską, skoro

1-o z ogłoszonego przez prof. Pigonia listu przypuszczalnie Malewskiego do poety z r. 1831 wiemy, że Mickiewicz nosił się już dawniej z zamiarem napisania dzieła w rodzaju III cz. *Dziadów:* „Mówiłeś mi niegdyś, że chcesz napisać chrześcijańskie poema" *(Głosy sprzed wieku.* Wilno 1924, str. 164);

2-o już w czasach wileńsko-kowieńskich ma dostęp Mickiewicz do Sulzera; czyli do źródła wiadomości zarówno o *Prometeuszu* Ajschylosa jak o teorii prometeizmu Shaftesbury'ego;

3-o zna w dodatku *Dichtung und Wahrheit,* gdzie Goethe podał psychologiczną genezę sławnej koncepcji „poeta = stwórca"; w liście do Jeżowskiego z 1/13. II. 1823 wśród swych lektur wymienia Mickiewicz: Scotta, tragedie Sofoklesa „i najwięcej mnie interesującą spowiedź Goethego" (Kor. Fil. V. 28); Kawczyński w 1894 r. nie jest jeszcze pewien, czy Mickiewicz zna autobiografię literacką Goethego, tylko przypuszcza jej znajomość (Rozpr. Wydz. Filol. XXI. 42), choć już w 1860 r. ogłoszono w warszawskiej *Gazecie Codziennej* artykuł Mickiewicza „Goethe i Byron", w którym poeta cytuje *Dichtung und Wahrheit!* (por. wyd. Sejm. V. 298 przypisek);

4-o filomaci mieli francuskie tłumaczenie dzieł Shaftesbury'ego, co wygląda wręcz na rewelację historyczno-literacką. Dnia 1/13 sierpnia 1820 pisał Malew-

ski do Jeżowskiego: „Wyszukaj między Zańskiemi książkami *Oeuvres de Shaftesbury* t. 1. i odeślij" *(Kor. Fil.* II. 202. Wydawca korespondencji przypuszcza, że mowa o 3-tomowym wydaniu Genewskim z 1769 r.). W tych perspektywach zrozumiałe stają się pewne wzmianki w listach Filomatów: jeśli prefekt szkoły kowieńskiej nazywa Malewskiego „nowym Prometeuszem" *(Kor. Fil.* III. 157), to odnosi się to pewnie do ożywienia młodzieży uniwersyteckiej, do udzielenia jej niebieskiego ognia. Dokończy tej przenośni z czasem Nowosilcow, pociągając nieuprawnionych szerzycieli ognia niebieskiego do odpowiedzialności i przykuwając ich na męki wygnania na rubieżach imperium, dalszych od Kaukazu. Kto wie też, czy nie pod wpływem teorii Shaftesbury'ego nazwie Jeżowski w liście do Mickiewicza z 1831 Rousseau „stwórcą" Heloizy *(Kor. Fil.* III. 222). Nawiasem mówiąc indeks nazwisk, dodany do V. tomu *Korespondencji Filomatów* nie budzi zaufania, np. brak w nim Shaftesbury'ego.

W samym przekazie Odyńca największą trudność stanowi rozwiązanie pewnej zasadniczej sprzeczności: najpierw dowiadujemy się, że mit o Prometeuszu ma być zastosowany „do chrześcijańskich pojęć duchowych", a potem słyszymy o zapasach ducha ludzkiego „z potęgami wyższymi, a raczej tylko silniejszymi od niego". Blüth przyjmuje, że „potęgi wyższe" to szatan; jest to interpretacja najzupełniej mylna, samemu zresztą autorowi sprawia ona kłopot w dalszych wywodach i w rezultacie nie daje żadnych wyników. (*Verbum* 1935). Daleko prostszą hipotezą jest przyjąć, że Odyniec nie potrafił odtworzyć jakiegoś wspomnienia i poplątał różne rzeczy. Jest on dość zręcznym literatem, gubi się zaś najwidoczniej w miejscach, gdzie trzeba łamać głowę; np. wielokrotnie bezkrytycznie cytowane refleksje Mickiewicza przy grobie Galileusza są pod względem logicznym i stylistycznym wręcz żałośnie sklecone (Florencja, 3 listopada 1829). Być może, że Odyniec pomylił w swej relacji rzymskiej dwa fakty: plan przyszłego dramatu o Prometeuszu („nie będzie to ani tłumaczenie"... futurum właściwe planowaniu) i uwagi Mickiewicza na temat dzieła Ajschylosa („W treści zaś jest to odwieczna historia ducha ludzkiego"... praesens historicum charakterystyczny dla sprawozdania). To zresztą sprawa podrzędna.

Najważniejszą rzeczą w relacji jest wzmianka o chrześcijańskiej modyfikacji prometeizmu; sprawa to godna rozważenia bez względu na wartość historyczną świadectwa Odyńca, bo nasuwa się także z innych powodów. Na symbol Prometeusza, znany w najdawniejszym opracowaniu artystycznym z tragedii Ajschylosa składają się dwa głównie motywy:

1. męka — kara za świadczenie dobrodziejstw plemieniu ludzkiemu wbrew woli bogów
2. zuchwalstwo i nieugiętość wobec przemocy sił wyższych.

Starożytny dramat prometeizmu odbywał się na scenie boskiej. Kultura rozwija się w kierunku humanizacji symboli, czyli w kierunku odwrotnym do twórczości czasów pierwotnych, które wyrzuciły z łona ludzkości wielkie mity. Przeniesienie tragedii prometejskiej na scenę ludzką, jakie się dokonało w ciągu następnych wieków, pozwala wyciągnąć pewne wnioski co do wpływu klimatu

ogólnokulturalnego na dzieje tego symbolu. Jest to symbol z natury rzeczy czuły nadzwyczaj na moralną podstawę kultury.

Nie wdając się w szczegółowe przedstawienie rozgałęzień i przeobrażeń tego motywu w piśmiennictwie, czym się zajmowali A. Graf, Jonas Fränkel, K. Heinemann, O. Walzel i inni, zwrócę tu uwagę tylko na fakt, że oba najważniejsze systemy moralno-religijne europejskiego obszaru kulturalnego — hellenizm i chrześcijaństwo — każdy na swój sposób działały rozkładająco na ajschylosowski zespół motywów prometejskich.

Hellenizm przez brak silniejszego związku religijnego między człowiekiem i bóstwem nie stwarzał warunków odpowiednich dla rozwinięcia się prometeizmu ludzkiego. W świecie podobnych do ludzi bogów i pokrewnych bogom tytanów nie ma miejsca na prawdziwy konflikt dystansu, żarliwego porywu i wzruszającego upadku. Prometeizm ludzki w starożytnym wydaniu to stoicyzm. Laicystyczna droga prometeizmu prowadziła od buntu do hartu ducha, od aktywizmu do pasywności, od czynu do rezygnacji, od zuchwalstwa słowa do patosu milczenia, od metafizycznie wyolbrzymionego sprzeciwu do metafizycznie zabarwionego odcienia przekory. „Victrix causa diis placuit, sed victa Catoni" (*Pharsalia* I. 1 28) — w Lukanowej pochwale, rytej w heksametrze twardym jak okruch skały, do której Hefajstos przykuł Prometeusza, doszła może najwymowniej do głosu forma minimalnego prometeizmu prywatnoludzkiego.

Stoicka postać prometeizmu, na płaszczyźnie ludzkiej najbliższa chrześcijańskim jego przejawom, była możliwa dzięki pewnym ewolucjom ideologicznym, które przygotowały grunt dla chrześcijaństwa. Tu należy koncepcja kierowniczego bóstwa-rozumu, pozwalająca mówić o pewnym związku i dystansie między bogiem i stworzeniem; w moralnej zaś dziedzinie zasada, którą nazwałbym zasadą ryzyka wieczności. „Quod si in hoc erro, quod animos hominum immortales esse credam" — rozumuje Katon — „libenter erro; nes mihi hunc errorem quo delector dum vivo extorqueri volo; sin mortuus (ut quidam minuti philosophi censent) nihil sentiam: non vereor, ne hunc errorem meum mortui philosophi irrideant" (Cicero. *De senectute.* XXIII). Są to oczywiście substytuty właściwych podstaw prometeizmu indywidualnego. Ethik des Als-Ob...

Przechodząc z kolei do chrześcijańskiego przełomu w kulturze stwierdzamy, że chrześcijaństwo spowodowało uschnięcie pierwszego pierwiastka, wyróżnionego przez nas w prometejskim zespole: wbrew woli bożej nikt nie mógł naruszyć ustanowionego porządku we wszechświecie. W monoteizmie nie istnieje w ogóle kwestia, czy może być taki czyn, który będąc zbawczym dla ludzkości w jej drodze rozwojowej, jest równocześnie przeciwny zamiarom bożym. Miejsce starożytnej wieloplanowości moralnej i religijnej zajęła w chrześcijaństwie celowość skoordynowana, immanentność celu stworzenia przy transcendencji Stwórcy — cały ten przesubtelnie rozbudowany paralelizm wolnej woli ludzkiej i wszechmocy Boga.

W monoteizmie prometeizm przekształca się w lucyferyzm. „Daher stand" — powiada Schopenhauer — „wo Judentum, Christentum oder Islam herrschte, jener Auslegung die Allmacht des alleinigen Gottes im Wege, an welche der

Magiker sich nicht wagen konnte. Da blieb ihm dann nichts übrig, als seine Zuflucht zum Teufel zu nehmen, mit welchem Rebellen, oder wohl gar unmittelbarem Descendenten Ahrimans, dem doch noch immer einige Macht über die Natur zustand, er nun ein Bündniss schloss und dadurch sich seiner Hilfe versicherte: Dies war die „schwarze Magie". *(Sämmtl. Werke,* Inselverlag t. III. 316).

Wyraźny dystans między Bogiem i człowiekiem, występujący w monoteizmie, jest zasadniczym założeniem prometeizmu ludzkiego; przezwyciężenie zaś tego dystansu to — czyn prometejski. Akt prometeizmu staje się siłą rzeczy aktem wewnętrznym. W tragedii Ajschylosa akt ten ma charakter mieszany: zewnętrzno-wewnętrzny (Por. St. Witkowski. *Tragedia grecka* I. 190: „Akcja jest głównie wewnętrzna"). Dramat zmienia się w monolog, odę, dytyramb — tu tkwi zaród formy literackiej Improwizacji. Introspekcja, analiza psychologiczna, kult przeżyć, odkrycie osobowości, to są zdobycze nowej epoki, nowe drogi i nowe źródła w dziedzinie kultury.

Chcąc uwydatnić ich znaczenie w życiu ludzkości posługuję się świadomie terminami, którymi tradycja historyczno-literacka określa zaranie nowoczesnej formacji osobowości w renesansie. Doniosłość ich bowiem w skali dziejowej przewyższa wszystko to, co podziwiamy w Odrodzeniu; nazwy teologiczne lub mistyczne przenośnie nie zmniejszają ich rzeczywistego, psychologiczno-kulturalnego znaczenia.

W dalszym rozwoju wystąpią nieraz równolegle te elementy w formach czystych, pierwotnych obok form nowszych, pochodnych. Św. Franciszek z Assyżu odbiera stygmaty w czasach awerroizmu i odrodzenia sycylijskiego; św. Teresa hiszpańska i św. Franciszek Salezy żyją w jednej epoce z humanistami. Mickiewicz pisze w czasach Goethego. Dla zrozumienia jednak niektórych dzieł i pewnych sfer życia Mickiewicza nie wystarcza znać kręgi wewnętrznego życia tak pełnego i bujnego człowieka jak autor *Fausta.* Trzeba sięgnąć nieraz do form starszych. Właśnie o tyle czasem bywa Mickiewicz w porównaniu z Goethem dojrzalszy i bardziej nowoczesny, o ile jest odeń kulturalnie — rozwojowo młodszy. Stąd pochodzą różne, jakże nieraz bałamutne aktualizacje, zestawianie Mickiewicza z Nietzchem, Bergsonem, modernizmem religijnym itp. zjawiskami. W tych wypadkach zawodzą tzw. badania filologiczne; miejsce ich musi zająć badanie struktur społeczno-kulturalnych.

W upowszechnieniu i uprywatnieniu prometeizmu odbija się prócz przełomu moralno-religijnego także przełom socjalny, jakiego dokonało chrześcijaństwo. Zrównanie wszystkich ludzi, ras i stanów wobec Boga występuje wyraźnie w udostępnieniu przynajmniej teoretycznym wszystkim wyznawcom warunków, pozwalających na wzniesienie się ponad człowieczeństwo, w sferę bohaterstwa duchowego. Tytana mógł zluzować „szary" chrześcijanin. Boskie Theatrum zastąpiła chatka pustelnika, cela mistyka, lub pokój myśliciela. Posłuchajmy „Ducha" z prologu III. części *Dziadów.*

Ludzie! każdy z was mógłby samotny, więziony
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony.

Na tym przykładzie widzimy równocześnie, jak się nawarstwiają formy; w romantycznym zabarwieniu, żywiąc się sokami kultu indywidualności, występują przeżytki epoki magicznego myślenia.

Podkreśliwszy znaczenie dystansu między Bogiem i człowiekiem dla rozwoju prometeizmu i ustaliwszy wewnętrzne jego forum, przystępuję do omówienia dróg, prowadzących do zbliżenia człowieka z Bogiem, do zmniejszenia, jeśli już nie do całkowitego zniesienia dystansu, co jest drugim warunkiem prometeizmu.

Monoteizm chrześcijański był wprawdzie nauką o dystansie, ale dobra nowina mówiła ludziom o gwałtownikach porywających królestwo niebieskie. Trudno dziś powiedzieć, o ile wierne jest w szczegółach opowiadanie Odyńca o planie mickiewiczowskiego Prometeusza; tragedia Mickiewicza miała się kończyć wyzwoleniem cierpiącego tytana przez Chrystusa. Mickiewicz zamierzał widocznie wyzyskać dla wspaniałego finału słowa Hermesa z exodosu:

A końca już z tobą
Znoszącym takowe męki nie będzie dopóty,
Dopóki się nie zjawi bóg, co twojej lutej
Męczarni pragnąc ulżyć, zejdzie w Hadu ciemnie,
W czeluście Tartarową.

(tłum. J. Kasprowicz)

Jeśli Chrystus zstępował do otchłani, aby uwolnić z piekielnych okowów patriarchów, proroków i bohaterów biblijnych, którzy byli prefiguracjami Jego ofiary i męki — jak zabity niewinnie Abel, poświęcony przez ojca na stos Izaak lub sprzedany przez braci w ręce cudzoziemskie Józef — to mógł wywieść z Tartaru również jedną swą prefigurację pogańską: boga, co cierpiał za człowieka, boga któremu przykuto do skały ręce i nogi, oraz przebito pierś nawskróś... Co za scena, to spotkanie dwu Prometeuszów! Jeden kończy męką — drugi zaczyna triumf. Jeden odkupił ludzkość w cielesności cywilizacji — drugi w duchu łaski — kultury. Jeden na życie — drugi na nieśmiertelność. Przez jednego dzieje ludzkości wzięły początek — przez drugiego czasy się spełniły. Alfa Omega. Nic tedy dziwnego, że już Tertulian (*Adv. Marcionem.* Lib. I. 1.) wpadł na pomysł porównania Chrystusa z Prometeuszem! Jest to zresztą igraszka retoryczna, jak wynika z kontekstu. Mickiewicz mógł mieć wzory bliższe np. Shelleya, który w *Prometeuszu rozpętanym* posłużył się mglistą paralelą dwu ofiarników i dwu Golgot (I Akt). Kasprowicz w scenie przybijania Prometeusza do skały, w sztuce Ajschylosa, widział bliskie podobieństwo do ewangelicznej opowieści o Ukrzyżowaniu. (*Prometeizm w poezji*, str. 20—21). Najprawdopodobniej pomysł ten, jeśli wogóle zawierzymy Odyńcowi, podsunął Emerson. W szkicu o „Historii", którym zachwycał się Mickiewicz, nazwał Emerson Prometeusza „Jezusem starej mitologii", jakby odwracając koncept Tertuliana.

Mickiewicz mógł też obyć się bez wzorów. Chrystus bowiem jest naturalnym

symbolem prometeizmu: w swej ludzkiej naturze przedstawia dystans między ziemią i niebem, Bogiem i człowiekiem, a równocześnie niweluje ten przedział w swej drugiej boskiej naturze. Dlatego paralela ludzko-boska jest podstawową myślą i wspólną własnością wszystkich mistyków, tej kasty wybranych, którzy przejęli ciężkie i bolesne dziedzictwo po Prometeuszu starożytnym. Przy tej sposobności warto przypomnieć uwagi Schellinga o „wyrażeniach mitologicznych" w Piśmie Św. (*Philosophie der Offenbarung, Schellings Werke.* München 1927—28. VI. 680 in.).

IV

Chrześcijaństwo przez usta św. Pawła ogłosiło uroczyście i ze słuszną dumą zaprowadzenie nowego stosunku między ludźmi i Bogiem. Starym czasom przeciwstawia się Nowy Testament, jako wolność synostwa bożego: „Lecz gdy przyszło wypełnienie czasu, zesłał Bóg Syna swego uczynionego z niewiasty, uczynionego pod zakonem, aby te którzy pod zakonem byli wykupił, żebyśmy przysposobienia synowskiego dostali. A iż jesteśmy synowie zesłał Bóg Ducha Syna swego w serca wasze wołającego: Abba, Ojcze. A tak już nie jest niewolnikiem, ale synem, a jeśli synem: tedyć i dziedzicem przez Boga" (Do Galatów IV. 4—7. Do Rzymian VIII. 15—17). W ostatnich słowach, w śmiałości wnioskowania a „jeśli synem: tedyć i dziedzicem przez Boga" zawiera się cały mistyczny prometeizm w zarodku.

Popatrzmy jak szybko wydoroślał człowiek, który niedawno zaczął stawiać pierwsze kroki na paulińskiej drodze dziecięctwa bożego. „Stać się Synem Bożym" — referuje Wł. Horodyski doktrynę mistrza Eckhardta — „jest celem mistycznego życia..." Otóż w momencie, w którym człowiek staje się Synem Bożym, rodzi człowiek Syna Bożego dla Boga, a Bóg poznaje się tym samym w człowieku. A przecież Syn Boży jest praprzyczyną rzeczy, więc człowiek, który stał się Bogiem, stwarza w tej chwili mistycznej ekstazy cały świat od wieków („Gott hat alle Dinge geschaffen und ich mit ihm")... Ustrój świata polega wedle praw *Wesen* na tym, że istnienie człowieka jest warunkiem poznawania się Boga i warunkiem powrotu Boga do „cichej jedności", do *Wesen.* (*Średniowieczne źródła do filozofii mesjanizmu.* Arch. Komisji do bad. hist. filozofii w Polsce T. I. cz. I. str. 11 Kr. 1915 Ak. Um. por. też tego autora: *Trentowski* str. 375—378. Kr. 1913 Ak. Um.). Ta koncepcja staje się z biegiem czasu wspólną własnością mistyków. Do Mickiewicza mogła dojść choćby przez Anioła Ślązaka w gnomie „Ein Christ ist Gottes Sohn":

> Ich auch bin Gottes Sohn, ich sitz an seiner Hand:
> Sein Geist, sein Fleisch und Blut ist ihm an mir bekannt
>
> (I. 17)

Św. Augustyn jest pośrednikiem między mądrością antyczną i pobożnością chrześcijańską, a także nauczycielem, jak pogańskie wartości moralne przetwa-

rzać na wartości religijne. Jego maksyma „Deus creavit nos sine nobis, non salvabit nos sine nobis" tchnie szlachetnym humanizmem, stoicką godnością człowieczeństwa a zarazem duchem religijnym. Św. Augustyn jest jeszcze harmonijnym człowiekiem. Rozwój cytowanego adagium pokazuje, jak się wysuwa na pierwszy plan *osobowość*. Biorę znowu ekstrem. Anioł Ślązak powtarza tę samą myśl, ale tak nieuchwytnie poprzestawiał akcenty, że otrzymujemy zupełnie co innego:

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić
a bez naszej pomocy nie może nas zbawić

albo

Sam Bóg bez wiedzy naszej nie może nas rzucić,
a choć rzuci, gdy zechcem, musi do nas wrócić

(Mickiewicz. Zdania i uwagi).

Treściowo są to prawdy teologiczne, ujęcie ich jednak, akcentacja filozoficzna i moralna, świadczą o głębokim zaburzeniu pierwotnej harmonii augustiańskiej. Anioł Ślązak w silniejszych tonach maluje moc bożą, niż św. Augustyn, bo gdy tamten poprzestał na stworzeniu nas bez nas, ten zamiast nas wymienia świat cały i do potęgi stwarzania przydaje władzę niszczenia, a jednak nie służy to wszystko wyniesieniu Boga — przeciwnie to wszystko ma dowodzić tym większej bezsilności Jego wobec człowieka i tym większego znaczenia osobowości ludzkiej. W polskim przekładzie dystych omawiany ma nagłówek wprawdzie nie tak wyzywający jak w oryginale (Gott kann nicht all's Allein) ale niemniej wymowny „Majestat dusz naszych"! Wystarczy powiedzieć, że wariant tego dystychu włożył Byron w usta dumnej córy Kainowej Aholibamah, która w misterium *Niebo i ziemia* powiada w imieniu swym i swego kochanka-anioła:

But thee and me he never can destroy.

Dogmatycznie potomkini Kaina ma rację, a mimo to słowa jej brzmią, jak wyzwanie.

Mickiewicz zdawał sobie sprawę ze zmian, jakie się dokonały w ciągu wieków w zakresie struktur życia duchowego i trafnie dawał im wyraz lubo nieraz w terminach nieścisłych. Na temat stosunku chrześcijaństwa do starożytności, a w naszym ujęciu mistyki do prometeizmu znajdujemy pewne uwagi w prelekcjach paryskich, które świadczą dowodnie, że konstrukcja nasza nie jest zewnętrzna, dowolna, lecz że wyrasta z głębi samego zagadnienia i że nie była ona obca Mickiewiczowi. Chwalił np. Cieszkowskiego za rozróżnienie dwu stopni dziejowego rozwoju jednostki: „Powiada, że historia pogańska ludzkości wyrobiła, jak on nazywa *jednostkę człowieka* (a jak my byśmy nazwali osobistość niższego stopnia) zależącą tylko na postawieniu się, okazaniu się, uznaniu swojej udzielności; chrześcijaństwo zaś, podnosząc człowieka wyżej, rozwinęło tak zwaną u niego *podmiotowość* (co wedle nas jest *osobistością wyższą*...)". Najwznioślejszy przejaw podmiotowości widzi Cieszkowski w męczeństwie chrześcijan. (*Lit.*

słow. R. III. L. 22). Odpowiada to, zauważmy ubocznie, trzeciej epoce naszego czucia romantycznego według klasyfikacji Brodzińskiego (O *klasyczności i romantyczności.* Bibl. Nar. S. I. Nr. 10 str. 64).

Podmiotowość i męczeństwo, czyli idea ofiary, to dwa pojęcia, do których sprowadza się chrześcijańska postać prometeizmu. Warto podkreślić związek idei ofiary z podmiotowością. Zgoda na ofiarę jest zawsze następstwem heroizmu, poczucia swej wyjątkowości, mocy, znaczenia, słowem wysokiego stanu podmiotowości, rozwiniętej, spotęgowanej świadomości. Dlatego poświęcenie się na ofiarę stało się sprawą bożą, zwyczajem herosów, probierzem przebóstwienia.

Faust miał zmartwychwstać po samobójczym życiu i niespełnionej samobójczej śmierci. Dlatego słyszy pieśń wielkanocną:

Christ ist erstanden
Aus der Verwesung Schoss.

Konrad ma się narodzić nowym człowiekiem. Aniołowie kolędujący na lutę „Anioł pasterzom mówił" głoszą konieczność nowych narodzin. Wśród rymów duchowych Anioła Ślązaka mamy miniaturę duchowego odrodzenia, zatytułowaną „In dir muss Gott geboren werden":

Wird Christus tausendmal zu Bethlehem geboren
Und nicht in dir: du bleibst noch ewiglich verloren

(I. 61)

Mickiewicz daje swemu dystychowi znamienny tytuł „Boże Narodzenie"!

Wierzysz, że się Bóg zrodził w betlejemskim żłobie
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

Zauważmy, że w pewnej fazie redakcji *Dziadów* obecny prolog, w którym Więzień pisze na ścianie „Natus est Conradus", znajdował się w partii końcowej, czyli po przedstawionym w dramacie odrodzeniu bohatera. Z chwilą przeniesienia inskrypcji łacińskiej na początek dzieła zatarło się mistyczne pochodzenie tego motywu i jego wewnętrzna łączność z ideą religijną.

Od anielskiej kolędy rozlała się na najbliższe sceny przedziwna atmosfera dziecięctwa. W scenie IV. kołysanka niebiańska usypia Ewę — „Braciszka miłego sen rozweselmy". Widzenie ks. Piotra snuje dalsze obrazy cyklu Bożego Narodzenia: rzeź niewiniątek („Panie, cała Polska młoda wydana w ręce Heroda") i jakby dalekie echo ucieczki do Egiptu, ocalenia przyszłego zbawcy:

Patrz! — Ha! To dziecię uszło — rośnie — to obrońca!
Wskrzesiciel narodu!

(V. 21—22)

Widoczna tu łączność ze „Zdaniami i uwagami", wśród których mamy wariację na ten ciekawy temat. Podaję według autografu, ogłoszonego przez prof. Pigonia:

Duszo, gdy Boga zrodzisz, masz go w tajni chować,
Bo Heród już śle katów, by go zamordować.
Duszo ledwieś poczęła, musisz z dzieckiem bożem
Uciekać do Egiptu przed Heroda nożem.
Duszo dopóki syn twój jeszcze niemowlęciem
Uciekaj do Egiptu przed ziemi książęciem,
Duszo póki twe dziecię nie urośnie w lata
Unoś je do Egiptu przed oczyma kata.

(Rozprawy i mat. Wydz. I. Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie T. II. z. 1. Wilno 1928, str. 29). Następuje oczekiwanie Zbawiciela, prorockie wzdychania:

Panie! Czy przyjścia jego nie raczysz przyśpieszyć?
Lud mój pocieszyć? (V. 25—26)

I zaraz zaczyna się sławna pasyjna część wizji, która przykuła do siebie uwagę czytelników i badaczy tak mocno, że skłonni byli przeoczyć całość cyklu synostwa bożego i rozwój jego od narodzin do śmierci ofiarnej, zmartwychwstania i wniebowstąpienia w ramach mistycznego mikrokosmosu. Rozbrzmiewająca pieśń wielkanocna należy do cyklu wewnętrznego, misteryjnego; akcja realna odbywała się pierwotnie niedługo po Improwizacji, czyli około Bożego Narodzenia.

Zdanie Życzyńskiego, że widzenie ks. Piotra przypada na Wielkanoc (*Dziady Drezdeńskie Mickiewicza*, Lublin 1932, str. 31) polega na nieporozumieniu; poeta nie dał nam żadnych wyraźnych wskazówek co do tego, kiedy ks. Piotr przeżywa widzenie. Jest to inscenizacja symboliczna. Po zmartwychwstaniu mamy w widzeniu ks. Piotra podobnie symboliczny obraz wniebowstąpienia, a nawet jakby zapowiedź przyjścia na Sąd Ostateczny: męczennik-zbawca pokazuje ludom przebitą prawicę i występuje teraz w obrazach pełnych eschatologicznej grozy i majestatu.

Nasuwa się teraz sprawa genezy mesjanizmu *Dziadów*. Nie tłumaczą go należycie ani czysto zewnętrzna, dość zresztą niepewna, filiacja z pismami Brodzińskiego ani ogólnikowe wzmianki na temat ożywienia życia religijnego poety. Zagadnienie to złożone. Można w *Dziadach* wyróżnić jakby trzy sfery mesjanizmu. Pierwsza stylizacyjna; tu mogła działać bezpośrednia pobudka literacka. W ten sposób Kallenbach mesjanizm łączył z mową Brodzińskiego „O narodowości Polaków (*A. Mickiewicz* II. 65—66) a Chrzanowski trafnie dodawał jeszcze do mowy wiersz Brodzińskiego „Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego" (*Księga Pamiątkowa St. Dobrzyckiego*. Poznań 1928, str. 39). Druga warstwa to mesjanistyczny konwenans literacki, zjawisko, które badali Kaz. Jarecki (*Idee historiozoficzne Woronicza, a mesjanizm polski*. Pam. Lit. 1904), J. Ujejski (*Dzieje*

mesjanizmu polskiego do powstania listopadowego włącznie. Lwów 1931) i St. Pigoń. (*Na wyżynach romantyzmu.* Kraków 1936, str. 19—31). Warstwa trzecia to jakby zaktualizowanie tego zjawiska ogólno-kulturalnego w indywidualnym przeżyciu mistycznym. Dla sfery pierwszej i drugiej mamy przykłady w poezji filomatów. Czeczot, Tyrtej-moralista, reprezentuje te niższe stopnie. (Analogicznie jak reprezentuje pierwsze stadium rozwoju Konrada, Konrada-mściciela). Jako przejście od sfery drugiej do trzeciej możemy uważać improwizację Mickiewicza wygłoszoną na pożegnanie wywożonych do Rosji towarzyszy. Od konwenansu przeszliśmy do przeżycia. Reprezentantami tego stopnia przeżycia (biernego, ofiarnego, czyli częściowo tylko mesjanicznego) mogli być dla Mickiewicza Maryla w dziedzinie prywatnej i Zan w publicznej. W sferze trzeciej obok roli biernej występuje rola czynna. Nie trzeba dodawać, że ta warstwa jest najgłębsza i istotna. Do niej należy Improwizacja. W tej sferze krzyżują się dwa najważniejsze dla naszych rozważań momenty: romantyczno-poetycki (rola mikrokosmosu ludzkiego, boskie atrybuty twórcy) z religijno-politycznym (pojęcie wybraństwa bożego i poświęcenia, rola proroka i wodza).

Interpretacja mistyczna wyjaśnia również misteryjny charakter dramatu, zasadę paraleli planu indywidualnie ludzkiego i ogólnego, kosmicznego, ziemskiego i nadzmysłowego. Nie mówiąc już o tym, że w ten, mimo wszystko, naturalny sposób, odpadnie wiele wyjaśnień „gematrycznych", i wiele subtelności okaże się bez najmniejszych podstaw. Np. Zygmunt Lipiner ujmując wbrew zasadzie mistycznej „Widzenie ks. Piotra" tylko na jednym planie, stwierdził brak w nim obrazu Zmartwychwstania. Nie zwrócił wcale uwagi na wzmiankę inscenizacyjną Mickiewicza: „Słychać chóry aniołów, daleki śpiew wielkanocnej pieśni". Na koniec słychać „alleluja! alleluja!" Co więcej, Lipiner w tym rzekomym braku dopatrzył się ukrytego znaczenia symbolicznego: „Poeta" — pisze — „rozmyślnie odrzucił narzucające mu się obrazy. Przeskoczył Zmartwychwstanie. Naród ukrzyżowany nie zmartwychwstanie nigdy. Natychmiast po śmierci następuje Wniebowstąpienie"... (*Krytyka* 1904, str. 144). Cała ta egzegeza jest następstwem niewłaściwego ujęcia topiki mesjanicznej, a nadto polega na zasadniczym nieporozumieniu teoretyczno-literackim: „pieśń" wspomniana w tekście literackim staje się „obrazem". Są to rzeczy w utworze literackim najzupełniej jednorodne. W teatralnym przedstawieniu *Dziadów* będą to znów rzeczy najzupełniej równoznaczne w sensie widowiskowym, scenicznym, choć różnorodne co do swego pochodzenia i sfery oddziaływania zmysłowego.

Wśród *Myśli* Pascala znajduje się ustęp, który w przedziwnym streszczeniu zawiera jakby esencję lirycznych wierszy rzymskich Mickiewicza i schemat partii Konrada — Ks. Piotra z *Dziadów Drezdeńskich:* „Znajomość Boga bez znajomości własnej nędzy rodzi pychę. Znajomość własnej nędzy bez znajomości Boga rodzi rozpacz. Znajomość Jezusa Chrystusa stanowi pośrodek, ponieważ w niej znajdujemy i Boga i swoją nędzę". (Tłum. Boya-Żeleńskiego, Nr. 527). Chrystus, jak nadmieniłem uprzednio, został naturalnym symbolem prometeizmu; dzięki swej dwoistej naturze, boskiej i ludzkiej oraz dwoistej roli ofiary i zbawcy wyraża zarówno dystans między Bogiem i światem, jak pojednanie

stworzenia ze Stwórcą (w ujęciu teologicznym), przezwyciężenie oppositorum w unio mistica, a reintegrację w nauce teozoficznej Saint Martina.

Stąd w mistyce wymienność pojęcia ofiary i zbawcy. Przez ofiarę z siebie mistyk wchodzi w rolę zbawcy. Konrad uważa się za zbawcę Ojczyzny, bo cierpi za miliony. W Widzeniu ks. Piotra męczeńska Polska zostaje mesjaszem narodów. Stąd dalej dwoistość i polaryczność stają się zasadą wyrażania mistycznego. Wśród wielu dwoistości nie brak w mistycznych przeżyciach także tej dwoistości, która nas ze względu na partię Konrada — ks. Piotra szczególnie obchodzi: poczucia mocy i słabości, wzniesienia i upadku (rytmika energii biopsychicznej), góry i doliny (transpozycja obrazowa), dumy i pokory (symbolizacja moralno-religijna).

Umyślnie wybieram przykłady z filozofią romantyczną związane, jak mistrz Eckhart lub powszechnie w epoce romantyzmu znane i charakterystyczne dla omawianej sfery twórczości Mickiewicza. Oto fragment z *Glossy św. Teresy* Z. Krasińskiego:

Przed chwilą byłam w wieczności rozlana —
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie, małej, wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mym sercu jak w grobie —
Jam się, jak bezmiar, szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę — przez jedno westchnienie.

Myślowo i obrazowo łączą się z tymi wierszami rymy duchowe Anioła Ślązaka:

Gdy się Bóg we mnie jawi jestestwem swem rodzimem
O, cudo! jestem razem i dzieckiem i olbrzymem
(Ich bin so groß als Gott, er ist als ich so klein,
Er kann nicht über mich, ich unter ihm nicht sein)

(I. 10).

Jak wielki jest mój obszar! Jak stanął niepojemnie!
Gdy ten, co jest bez miary — Bóg się przechadza we mnie

(tłum. Józ. Jankowski).

W początkowym etapie Bóg jest na miarę świadomości mistyka („Tyś się zamykał w mym sercu jak w grobie"). W dalszym jednak procesie przedmiot jaźni, pojęty jako wielki, twórczy, nieskończony siłą rzeczy zwiększa pojemność tej jaźni („Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!" por. *Widzenie* Mickiewicza: „Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać". Jest to działanie obopólne, jakby nawarstwianie się świadomości („Ich bin so gross als Gott, er ist als ich so klein"), o czym mówi fenomenologia heglowska, gałąź filozofii, która ruchy świadomości głęboko zanalizowała. Nic więc dziwnego, że *Glossę* św. Teresy naśladował

Zygmunt Krasiński, jeden z wybitniejszych znawców Hegla na polskim Parnasie. Dialektyka mistyczna daje pożądane uzupełnienie idealizmu kantowskiego na drodze intuicyjnej: formy umysłu kształtują poznawany przedmiot, ale i te formy zostały kiedyś stworzone przez świat działających na nas przedmiotów.

Następstwem rozszerzenia jaźni jest poczucie siły, wybuch radości, upojenie typu poznawczego, nagłe wewnętrzne rozjaśnienie. Ten stan lekkości i jasności oddają mistycy przez „poznanie" i przez obrazy świetlne. Według Boehmego Bóg jest nieskończoną radością, gdyż nieustannie rodzi słowo, czyli radosną wiedzę o sobie. Dusza mistyka poznaje wszystkie stworzenia przez Boga i w Bogu. Mistyka, jako droga poznania stworzeń przez Boga, jest pewnego rodzaju dedukcją. Dochodzenie do Boga po szczeblach stworzeń, nauka Opatrzności, to droga indukcyjna — ulubiona przez racjonalistyczne kierunki teologiczne. Improwizacja obrazuje ruch świadomości, charakterystyczny dla przeżyć typu mistycznego. Symfonia wrażeń, integralizm władz zmysłowych, wymienność wrażeń dźwiękowych, wzrokowych i motorycznych, to wszystko znamy ze świadectw mistyków. Św. Jan od Krzyża opowiada, jak w chwili ekstazy zdaje się duszy, że „wszystkie balsamy, wonności i kwiaty świata całego zostały wstrząśnięte i poruszone, by rozlać swe zapachy i że wszystkie królestwa i księstwa świata i wszystkie moce i potęgi niebios są w ruch wprowadzone, że nadto wszystkie doskonałości, powaby i wdzięki wszystkich stworzeń błyszczą blaskami i w zgodnym drgają rytmie wszystkie razem". (Podkr. moje). (Św. Jan od Krzyża. *Żywy płomień miłości.* Strofa IV. 4. Kr. 1939).

Zjawisko synestezji wyzyskali dla literatury mistycy. Przenoszenie wrażeń jednego zmysłu na drugi w Improwizacji łączy Kallenbach z lekturą Saint Martina (II. 239), choć przyznaje, że w poezji Mickiewicza występuje ono dość wcześnie, w epoce, kiedy nie ma śladów studiowania Saint Martina! Chrzanowski zestawiał to z Dantem (Przegl. Warsz. 1921); o wiele to lepsze, bo wprowadza zagadnienie stylu mistycznego (por. Ks. Konst. Michalski. *Mistyka i scholastyka u Dantego.* Kr. 1921. Odb. z Miesięcz. Katechet.). Badacze starej daty wyżej cenią wykazywanie wpływu literackiego t. zn. zestawianie tekstów, często dość przypadkowe, niż ideologicznego, przez co rozumiem zespół związków wewnętrznych, zarówno z zakresu prądów kulturalnych i stylów, jak z dziedziny morfologii humanistycznej. Podłożem literackiej metafory, polegającej na transpozyji wrażeń z jednego organu zmysłowego na drugi jest zaburzenie fizjologiczne, które się objawia w ten sposób, że na jedną jakąś podnietę np. wzrokową występuje równocześnie reakcja innego zmysłu, np. słuchu. Stan ten można wywoływać sztucznie przy pomocy niektórych narkotyków. Nie jest zatem przypadkiem, że ten styl cechuje różne formacje literackie patologicznie wrażliwe: zarówno mistyków, romantyków jak i symbolistów.

Samo zestawienie tekstów, jak widać z tych paru uwag, nie da w tym wypadku żadnych poważnych wyników, bo zestawienie musi być dokonane z pewną myślą metodyczną, żeby nie być bezładną i przypadkową zbieraniną erudycyjną.

Nie trzeba dodawać, że metoda filologiczna obca jest duchowi Mickiewicza,

intuicjonisty i integralisty. Że sam Mickiewicz sprawę przenoszenia wrażeń zmysłowych ujmował szerzej, bardziej teoretycznie i „morfologicznie", mamy ciekawe świadectwo w liście do Trentowskiego: „Twoja teoria władz umysłowych wywinionych organicznie, którąś pierwszy tak jasno pojął, zmieniłaby całą estetykę, w której dotąd imaginacja i um i rozum upakowane jak w szufladkach. Przypominam, że Baader zmysły wszystkie uważa jako zmysł jeden, podnoszony coraz do wyższej potęgi. W tych dwóch uwagach ileż to leży prawdy" (z dnia 9 września 1839, podkr. moje).

Naturalne poczucie mocy przeżywane w ekstazie mistycznej Mickiewicz uzasadnia także moralnie i praktycznie-wychowawczo, jakby polemizując z zasadą Towiańskiego niesprzeciwiania się złu: „Ażeby dowieść, że się jest z Bogiem, nie ma innego sposobu, jak stać się większym od synów ziemi; okazać, że się jest silniejszym od nich, rozumniejszym od nich, że się obejmuje nawet tę ziemię, która dla nich jest jedyną dziedziną działania i że się ma siłę obracania nią, ściskania jej i podnoszenia. Duch człowieka jest dzieckiem tego Boga, co panuje nie tylko w niebie, ale i na ziemi. Duch powinien stać się panem ziemi".

Dla utrzymania się w stanie radosnej potęgi potrzebna jest mistykowi ciągła świadomość pokonywania dystansu między sobą i Stwórcą. Żeby móc jednak ten dystans przezwyciężyć należy go ustawicznie sobie uprzytomniać, a przez to podkreślać przezwyciężaną przez siebie rozpiętość. Stąd pochodzi wieczna oscylacja pojęć, dynamizm mistyczny, stąd ten niepokój wyrażający się antytezami, nagromadzanie i spiętrzanie obrazów, powtarzanie pomysłów. typowa dla pism mistycznych tautologia. Dlatego „glossa" nadaje się świetnie do wyrażania stanów mistycznych. Dlatego kontrast jest jakby przyrodzonym środkiem ekspresyjnym mistyków; grają oni niczym wirtuozi na obocznościach pana-sługi, nieba-piekła, męki-rozkoszy, żaru-chłodu, bogactwa-ubóstwa, mocy-słabości, stwórcy-stworzenia, ciemności-światła, życia-śmierci itp.

Ponieważ w akcie mistycznego zjednoczenia następuje coś w rodzaju zrodzenia Boga w duszy — odpowiednik idealistycznego stwarzania świata w świadomości poznawczej — nic nadzwyczajnego tedy, że przy tym mistycznym akcie powtarzają się wszystkie dziwy, — „rzeczy przeciwnych złączenia" mówiąc stylem dawnych homilii — które wysławiali kaznodzieje w Dzień Bożego Narodzenia. Dość przywieść ustęp, jakże charakterystyczny dla tradycji chrześcijańskiej, z *Postylli katolickiej mniejszej* Jakóba Wujka: „A któż się tu od dziwów nie zdumieje, że ten, który niebo i ziemię rządzi, staje się dzieciątkiem? Że stworzyciel staje się stworzeniem? Że ten, który jest Bogiem, staje się człowiekiem! Mądrość, słowo boże, staje się niemownym, wszechmocnym! Który mówił, ja niebo, ziemię napełniam, ten jest ogarnion w żłobie! Który jest żywotem i studnicą żywota, staje się śmiertelnym! Który nosi wszystko słowem mocy swojej, tego oto dziś na rękach noszą! Którego jest ziemia i wszystko co na niej, ten się oto urodził w stajni! Który wszystkim wszystko daje, stał się ubożuchnym? Który wszystkich żywi, piersi panieńskich pożywa! Który przyodziewa wszystkich, nagi na zimnie leży! Na koniec jednym słowem, ten który jest najwyższym, stał się dziś najniższym! Ezech. 23. Joan. 1. Hebr. 1". (Na dzień

Bożego Narodzenia, przedruk według wyd. Krak. z 1617. Wrocław 1843, cz. I, str. 62. Por. uwagi prof. J. Krzyżanowskiego na temat kolędy Karpińskiego „Bóg się rodzi". *Paralele.* Warszawa 1935).

Zrównanie z Bogiem to przejaw pędu mistycznego zjednoczenia. Analogia twórcza w Improwizacji to stadium argumentowania, to rzecz wtórna, następstwo literackiej obiektywizacji zagadnienia irracjonalnego. Walka, chęć zniszczenia nierówności jako przeszkody to intensywniejsza forma zjednoczenia. W pismach ks. Semenenki znajdujemy psychologicznie trafną uwagę, że zwyczajny spór, dyskusja, są objawem dążności do zjednoczenia z przeciwnikiem. A fortiori możnaby w ten sposób wyjaśnić psychologię wadzenia się z Bogiem.

Klasyczna mistyka rozróżnia trzy etapy dążenia do Boga: oczyszczenie (via purgativa), oświecenie (via illuminativa) i zjednoczenie (via unitiva). W *Dziadach* mamy porządek odwrócony. Konrad zaczyna od stopnia najwyższego, od zjednoczenia. Za to ominięcie przepisanych instancji życia religijnego spotyka go katastrofa. Musi wrócić na najniższy stopień, przejść przez oczyszczenie egzorcyzmów oraz oświecenie naukami i przykładem ks. Piotra.

Improwizację jako stan ekstazy mistycznej badał prof. K. Górski, opierając się w swych rozważaniach na *Doświadczeniach religijnych* W. Jamesa *(Racjonalizm i mistyka w Improwizacji Konrada.* Przegl. Warsz. 1922). K. Górski zajmuje się raczej przeżyciem Mickiewicza; mnie interesuje coś innego: pewna ogólna forma tego typu przeżyć oraz jej modyfikacje artystyczne, słowem zagadnienia konkretnie literackie.

Sprawę „Budowy mistycznej Improwizacji" poruszył też pobieżnie St. Marcus. Niepotrzebnie wdając się w szczegółową topikę mistyczną starał się on wtłoczyć monolog Konrada nie wiadomo czemu w schemat Sédira, co rzecz prosta nie mogło dać większych wyników *(Podświadome w Dziadach.* Warszawa 1923).

V

Ciekawa jest u Mickiewicza oboczność poetyckiego opracowywania pewnych tematów: oboczność stylu epicko-dydaktycznego i lirycznego. Te dwa style to dwie główne funkcje poezji Mickiewicza: bojownika i działacza oraz mędrca i kontemplatora. Improwizacja ma postać epicko-deklamacyjną, miejscami nawet zatrąca o retoryczną sofisterię. Za paralelę liryczną do Improwizacji można uważać wiersz zaczynający się od słów „Broń mnie przed sobą samym".

Są w tym fragmencie pierwiastki prorockie i mistyczne — niby partia ks. Piotra. Są również prometejskie — jakby część Konradowa. Wiersze

Dowiedz, żeś jest mocniejszy lub wyznaj, że tyle
Tylko ile ja, możesz w mądrości i w sile...

przypominają relację Odyńca o zapasach ducha ludzkiego „z potęgami wyższymi od niego". Chociaż jeden z uczestników sławnej audiencji u Piusa IX. w marcu 1848, Postempski, zaprzeczył, jakoby Mickiewicz chwycił i potrząsnął

ręką Ojca Świętego — jak mówiła fama — psychologicznie ta pogłoska jest uzasadniona; człowiek, który chwytał Boga „rękami za obie prawice", mógł chwycić także za rękę Jego zastępcę na ziemi.

Nie jest to szkic Improwizacji, lecz jakby tęsknota do wypowiedzenia się jeszcze raz w czystym lirycznym nurcie. W wierszach początkowych (Od „Są chwile..." do „Nie znasz początku twego") mamy jakby skrót Improwizacji, pozostałe zaś dają na mistycznej dialektyce opartą próbę usprawiedliwienia tytanicznego zuchwalstwa. Ten trzynastozgłoskowy wiersz — podstawą Improwizacji jest również trzynastozgłoskowiec — wykazuje nadto liczne zbieżności obrazowe, stylistyczne, czy wręcz słowne z monologiem Konrada.

W lirycznej paraleli Improwizacji ciekawe rozwiązanie znalazła delikatna sprawa walki z Bogiem. Wywody Konrada wyglądają na dosłowne porównywanie się z Bogiem — w ten sposób Mickiewicz celowo kompromitował swego bohatera. W wierszu *Broń mnie przed sobą samym* dążność do utożsamienia się z Bogiem nie razi, bo odbywa się sposobem mistycznym, na dwu planach. Natężenie retoryki — połowę wiersza zajmują pytania retoryczne — sofisteria typu mistycznego przechodzi zwolna w analogie istotne, też mistyczne, jak walka z szatanem lub przypomnienie dwu natur w Chrystusie, odwieczny, wspomniany już przez nas motyw bożo-człowieczeństwa. Kaskada zestawień przez swą paradoksalność, rozpływanie się formuł, umyślne zacieranie znaczeń, przez ich zdwajanie, przez nadanie im charakteru gry intelektualnej, a zwłaszcza przez przeciwstawienie Bogu nie siebie, określonej jednostki, lecz nieskonkretyzowanej ludzkości, więc czegoś abstrakcyjnego jakby na sposób boży idealiter bytującego, stoi wysoko ponad odpowiednią partią Improwizacji, gdzie konkretyzacja tytułów Konrada do dzielenia się władzą z Bogiem wychodzi poza tę delikatną sferę półrealizmu i półsymbolizmu, w której dziać się zwykły misteria.

Na uwagę zasługuje też pewien szczegół z dziedziny chwytów retorycznych. W Improwizacji Konrad wysilał się na uzasadnienie swej potęgi i pretensyj światowładczych. Tu mamy dialektycznie bardzo zręczne odwrócenie postępowania: Boga stawia się przed faktem dokonanym swej wielkości i boskości i wzywa się Go, by udowodnił, że jest mocniejszy! Tego chwytu nauczył się Mickiewicz u mistyków. Nie wolno zapominać, że elementy retoryki wchodziły w skład takich „lirycznych" gatunków pseudoklasycznych, jak oda, monolog i recytatyw. B. Tomaszewski pisze: „Do początku w. XIX zachował się tylko jeden rodzaj ody — oda uroczysta, wiersz liryczny na jakiś oderwany temat (np. na temat wypadku politycznego, na jakąś oderwaną tezę filozoficznego lub moralnego porządku) imitujący utwór retoryczny" *(Teoria literatury. Poetyka.* Tłum. pol. Poznań, 1935, str. 215).

Przeciwstawienie wizji ks. Piotra, pierwiastka ekstatycznego, Konradowej Improwizacji, monologowi, czyli formie retorycznej, nabiera właściwego sensu w świetle badań ściśle formalnych. Ten związek, który można by nazwać związkiem poetyki formalnej z estetyką zorientowaną metafizycznie, nie uszedł uwagi tak bystrego a zarazem tak śmiałego syntetyka jak Schopenhauer: „*Rhe-*

torik unterscheidet sich von Poesie dadurch, *dass sie im Gebiet der Vernunft bleibt*, sich an die zweite Klasse der Vorstellungen hält, durch Worte und Begriffe, ja durch den Klang und Sylbenfall der Worte Wirkung hat: die Poesie hingegen geht aus und führt zurück auf die erste Klasse der Vorstellungen; nicht Begriffe und Worte, sondern wirkliche Dinge, die Natur selbst, müssen dem Dichter, nie nachher dem Leser, durch die Fantasie gegenwärtig sein. In aller Poesie ist immer einiges Rhetorische: in Goethens aber am wenigsten, in Schiller viel. Je weniger rhetorisch die Poesie ist, desto besser. Metrum und Reim sind halb rhetorisch und verknüpfen die Poesie mit der Rhetorik". *(Neue Paralipomena.* § 459. Reclams Univ. Bibl. Nr 3131—3135, podkr. moje).

VI

Mistykę Mickiewicza trzeba rozważać zasadniczo inaczej, niż to czyniono dotąd. Nasamprzód należy wyjść poza sferę palcem wskazywanych filiacyj tekstowych. Mistykę sprowadza się w ten sposób do filologii, przeżycie irracjonalne do erudycji. Na tym polegała niekonsekwencja starej szkoły polonistycznej. Nie pamiętano, co pisał Mickiewicz o Goerresie: „Goerresa czytałem i wiele dzieł podobnych. Nic w nich nie znalazłem oprócz pięknych historycznych traktatów. Jest to geografia i historia krain, w których Goerres nigdy sam nie był, które zna z książek tylko" (Do jen. Skrzyneckiego z dnia 7. IV. 1842). Po tych słowach, jak mi się zdaje, nie wypada Mickiewicza badać tylko filologicznie, jako czytelnika rzadkich i osobliwych książek. Nie znaczy to jednak wcale, żeby Mickiewicza należało traktować jako mistyka-ekstatyka. Historyka literatury zajmują zresztą wytwory czyli przeżycia artystycznie zobiektywizowane, formy pracy intelektualno-uczuciowej, która kształtuje biopsychiczną miazgę na dzieło sztuki. Analogie kościelne, różne „psychologie świętych" bruździły niemało w studiach historyczno-literackich. Współczesna wiedza o strukturach życia psychicznego nie zna jakiejś odrębnej „mistyki religijnej"; bada mistykę w ogóle jako pewien ściśle określony typ przeżywania świata wartości.

Tylko na drodze badań strukturalnych można uniknąć różnych ślepych zaułków filologii, zamaskowanych bądź w postaci nauki o wpływach bądź płytkiego historyzmu. Klasycznym przykładem mógłby tu być stosunek Mickiewicza do Boehmego. Przez pisma nieuczonego szewca ze Zgorzelca nowsza myśl teozoficzna nawiązywała do mistyki średniowiecznej, do Eriugeny i mistrza Eckharta oraz do neoplatońskiej, do Dionizego Areopagity (por. Wł. Horodyski, *Trentowski*, Kr. 1913, str. 216—218 i 367—369). Mickiewicz żywo zajmował się Boehmem; wiązał z nim współczesnych sobie filozofów i mistyków, np. filozofię objawienia Schellinga uważał za mieszaninę pojęć Boehmego i Saint Martina *(Lit. słow.* R. III. L. 18); z Boehmem łączył Saint Martina. (Tamże. R. II. L. 27). Z listu do Bohdana i Józefy Zaleskich z maja 1838 r. wiemy, że chciał tłumaczyć Areopagitę. Nie przypadkowo tedy Boehme stanął w środku mistyczno-teozoficznych zainteresowań poety. Wbrew oczywistości nie chce uznać związków Mickiewicza z Boehmem ks. Andrzej Macko *(Teologia w Dziadach Mickiewicza.*

Lwów 1920), ponieważ przeszkadzają mu w tym, oprócz względów religijnych, narowy myślenia filologicznego (por. studium R. Blütha w *Pracach Komisji do badań nad historią literatury i oświaty*. T. III, Warszawa, 1929).

Mickiewicz sprowadzał prawie wszystkich znanych sobie mistyków i teozofów do Boehmego; na podstawie prelekcyj paryskich można przypuszczać, że miał na myśli związki literackie, zależność, wpływ. O Boehmem zaś twierdził, że książek nie czytał. Tymczasem historia filozofii widzi związki Boehmego z mistyczną spekulacją średniowieczną i starożytną. Nie przesądzając sprawy zależności lub samodzielności Boehmego poprzestaję na stwierdzeniu, że świadomość mistyczna to jedna z praform poznania. Obok wyjaśnienia historycznego, genetyczno-literackiego, czym się zajmują dzieje mistyki, istnieje jeszcze inny sposób wyjaśnienia; jest to zagadnienie z zakresu typologii życia duchowego, zagadnienie świadomości w ogóle. Ta druga droga, analiza zjawisk świadomości, tłumaczy, w jaki sposób człowiek żyjący w XIX wieku czytając trzeciorzędnych pisarzy mistycznych albo teozofów, może odtworzyć problemy gnostyczne, iluminackie lub joachimistyczne; a co więcej, jak dochodzi do tych doświadczeń, które znamy z wyznań ludzi o wyjątkowej organizacji nerwowej i psychicznej.

Z wyżej wyłożonych względów wymaga pewnych poprawek ekskluzywnie teozoficzna interpretacja Improwizacji, jaką dał prof. W. Borowy w rozprawie *Dziady a magnetyzm i teozofia:* „System teozoficzny" — czytamy — „jest kluczem koniecznym do interpretacji poematu. On jeden pozwala nam właściwie określić potęgę Konrada, odmalowaną w Improwizacji. Nie wyjaśnia nam jej porównanie Konrada z Prometeuszem, bo Prometeusz był półbogiem. Niewłaściwe zupełnie są tu też „psychologiczne" wywody o „potędze poety", o poczuciu „wyższości" właściwym artystom. To jest siła magiczna wedle pojęcia teozofów, takich jak van Helmont i Paracels". (W zbiorze *Kamienne rękawiczki*. Warszawa, 1932, str. 126—127).

Nie lekceważę wkładu „magicznego", który dla romantyków mógł mieć pewien powab metafizyczny. W związku z tym przypominam studium Schopenhauera o magnetyzmie zwierzęcym i magii w dziele *Über den Willen in der Natur*. Praca ciekawa zarówno przez próbę metafizycznej interpretacji zjawisk magii i magnetyzmu, jak z powodu bogatego materiału dowodowego, zebranego przez takiego erudytę jak Schopenhauer; między innymi cytuje on także van Helmonta, Paracelsa i Boehmego. Z van Helmonta mamy tu nawet ten sam wstęp na temat „potestas extatica", który prof. Borowy znalazł w *Pamiętniku Magnetycznym!* Co więcej — Schopenhauer łączył niektóre koncepcje magiczno-demologiczne van Helmonta z *Faustem* Goethego! *(Sämmtl. Werke,* Inselverlag. III, 323, przypisek. por. *Kamienne rękawiczki,* str. 122).

Doceniając usługi, jakie nam oddaje teozofia dla zrozumienia niektórych pomysłów Mickiewicza, nie widzę jednak koniecznej potrzeby odrzucenia innych, współrzędnych wyjaśnień, jak to czyni prof. Borowy. Analiza świadomości nie pozwala przede wszystkim na tak kategoryczne postawienie poza nawias wywodów psychologicznych o potędze poety zwłaszcza na tle idealistycznej

estetyki romantyzmu. Wspólną bowiem podstawą wywodów psychologicznych jak teozoficzno-magicznych są pewne zjawiska świadomości. Świadomość mistyczna przedstawia specyficzną odmianę świadomości w ogóle. Przeżycia religijne, jak uczą badania nad życiem duchowym człowieka, choć są z natury swej wrogie innym aktom, muszą się jednak o nie opierać. Dlatego w kulcie religijnym występuje pierwiastek estetyczny, w dogmatyce zaś pierwiastek teoretyczno-poznawczy. Nawet transcendentna mistyka zależy od obcych sobie konkretnych elementów życia. Jest to następstwem faktu, że przeżycia religijne nie posiadają własnej formy obiektywizacji (por. Edward Spranger, *Lebensformen. Geisteswissenschaftliche Psychologie u. Ethik der Personlichkeit.* 4 Aufl. Halle 1924, str. 54). Mickiewicz dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Weźmy list do Towiańskiego z grudnia 1842: „W ostatnich dniach pobytu w St. Germain, 4, 5, 6 Oktobra byłem ja w wielkim podniesieniu ducha, przypomniałem sobie, że miałem dawniej te stany, ale o nich całkiem straciłem był pamięć i teraz dopiero dziwnie wróciły. Ale było czucie swobody i mocy, bez żadnej myśli, bez kierunku, bez chęci. Dawniej puściłbym je na poezję, teraz czekałem kierunku". (Podkr. moje). Mamy tu oprócz ogólnej charakterystyki podniesienia ducha zaznaczoną możliwość zasilania tym samym źródłem mocy i swobody zarówno nurtu poetyckiego jak religijnego. Dlatego mógł Faust swą intelektualną ekstazę, zjawisko przypływu i odpływu energii psychicznej wyrazić słowami:

In jenem sel'gen Augenblicke
Ich fühlte mich so klein, so gross (626—627)

które przypominają nam przytoczone poprzednio warianty mistyczne św. Teresy i Anioła Ślązaka na temat zmiennego poczucia olbrzymienia i malenia duszy w chwili zjednoczenia z Bogiem. Za dalszy dowód uświadamiania sobie przez Mickiewicza tego zjawiska, które można by nazwać prawem zachowania energii psychicznej, uważam analogię, jakiej użył poeta w celu wytłumaczenia na czym polegał według Boehmego byt Boga przed stworzeniem świata widzialnego: „Dieu existait dans une individualité incompréhensible, semblable à une individualité humaine; cette existence consistait *en créations, productions et jouissances, ce dont une individualité humaine normale nous donne quelque ideé*". (Rozprawa Mickiewicza o Jakóbie Boehmem. Warszawa, 1898, str. 8, podkr. moje).

Poczucie mocy i radość płynąca z twórczości to naturalne źródło tytanizmu. Analogia Stwórca-artysta występuje tu jasno. Przypominam wykłady Schellinga o sztuce: „Dieser ewige Begriff, des Menschen in Gott als der unmittelbaren Ursache seiner Produktion ist das, was man Genię, gleichsam den Genius, das inwohnende Göttliche des Menschen nennt. Es so zu sagen ein Stück aus der Absolutheit Gottes. Jeder Künstler kann daher auch nur so viel produciren, als mit dem ewigen Begriff seines eignen Wesens in Gott verbunden ist"

(*Schellings Werke*. Münchner Jubiläumsdruck. 1927-28. III. 480). Z tytułu uczestniczenia artysty w twórczym absolucie Boga rola sztuki wzrasta niepomiernie. W dziele Schellinga, które Mickiewicz poznał jeszcze przed wyjazdem do Rosji, w *System des transcendentalen Idealismus* czytamy: „Wenn die ästhetische Anschauung nur die obiektiv gewordene transcendentale ist, so versteht sich von selbst, dass die Kunst das einzige wahre und ewige Organon zugleich und Document der Philosophie sei, welches immer und fortwährend aufs neue beurkundet, was die Philosophie äusserlich nicht darstellen kann, nämlich das Bewusstlose im Handeln und Produciren und seine ursprüngliche Identität mit dem Bewussten", VI. Hauptabschnitt § 3. (w wyd. cyt. II. 627—628). Nie zapominajmy, że Schellinga sprowadza Mickiewicz do Boehmego, podkreślając w ten sposób bezwiednie omawianą przez nas. typowość niektórych zjawisk świadomości na przestrzeni wieków.

Wiele reminiscencyj, filiacyj, zapożyczeń itp. rzekomo tekstowych zależności da się sprowadzić do pewnego typu przeżyć. Zbieżności Mickiewicza z Maniliusem to jeden z przykładów na podobieństwo pewnych postaci przeżyć oraz ich symbolizacji. (Por. St. Schneider, *Wpływ Maniliusa na Improwizację Konrada*. Pam. Lit., 1916).

Zagadnienie świadomości, ujmowane popularnie w zdaniu „jaźń poznająca stwarza poznawany świat" — to zagadnienie idealizmu. Choć idealizm od Berkeleya i Kanta do Schopenhauera odbył ciekawą ewolucję, za ojca nowoczesnego idealizmu uchodzi powszechnie Kant. Filozof królewiecki złamał uroszczenia rozumu przez ustalenie granic poznania i dziedzinę moralną przeniósł w sferę irracjonalizmu (imperatyw kategoryczny). Racjonaliści nie dojrzeli w kantyźmie elementów, które z nawiązką rekompensowały „znieważenie ludzkiego umysłu", nad którym bolał Jan Śniadecki. Kant z rozumu-badacza poznającego gotowy jakby cudzy świat zrobił rozum-twórcę, rozum poznający własny, stwarzany w poznaniu świat. Następstwem ograniczenia władzy poznawczej był wzrost roli podmiotu poznawczego i moralnego. Do głosu doszedł pierwiastek twórczy w człowieku. Podmiotowość u następców stanęła najpierw w centrum świata, a potem stała się nawet samym światem.

Problem Kantowski istniał przed Kantem w formie niekrytycznej. Był to idealizm typu mistycznego.

Ich weis dass ohne mich Gott nicht ein Nu kann leben.
Werd ich zunicht, er muss von Not den Geist aufgeben. (I. 8).
Ja wiem, że Bóg beze mnie chwili trwać nie może.
Gdybym miał zginąć ja i tybyś zginął Boże.

— powiada Anioł Ślązak. Schopenhauer, który do filozoficznych koncepcyj lubił wyszukiwać łańcuchy genealogiczne, widział w tym dwuwierszu jądro idealizmu nowożytnego (*Die Welt als Wille und Vorstellung*, II. § 25). Poprzez arabskich neoplatoników zjawia się w średniowieczu myśl grecka o człowieku, jako o miarze wszechrzeczy. Eckhart mówił: „In meiner Geburt wurden auch

alle Dinge geboren, ich war zugleich meine eigene und aller Dinge Ursache. Und wollte ich: weder ich wäre noch alle Dinge. Wäre aber ich nicht, so wäre auch Gott nicht" (cyt. wg. Alfreda Rosenberga. *Mythus des XX. Jahrhunderts*, roz. III). Wiersz Mickiewicza:

Człowiek większy nad słońce wie, że ta powłoka
Złota-ciemna jest tylko tworem jego oka.

(Broń mnie przed sobą samym).

Można rozumieć w tym samym sensie, a niekoniecznie w znaczeniu węższym, złudzenia zmysłowego. Niekoniecznie natomiast trzeba uzależniać go od Goethego. Znany czterowiersz:

Wär nicht das Auge sonnenhaft,
Die Sonne könnt es nie erblicken:
Läg nicht in uns des Gottes eigne Kraft,
Wie könnt' uns Göttliches entzücken.

jest także pochodzenia mistycznego, zdradza jednak zabarwienie panteistyczne.

U Anioła Ślązaka znajdujemy nadto dystych, który oprócz idealistycznego problemu jaźni zawiera w zalążku zagadnienie względności czasu, dystych jakby stworzony na cytat dla Bergsona i Prousta:

Du selber machst die Zeit, das Uhrwerk sind die Sinnen.
Hemmst du die Unruh' nur, so ist sie Zeit von hinnen.

(I. 189)

Problem jaźni, zwrócenie dramatu do środka świadomości występuje już w *Tragicznej historii doktora Fausta* Marlowa, czyli w pierwszym nowoczesnym literackim opracowaniu motywu prometejskiego na gruncie chrześcijańskim. Dla naszych rozważań szczegół to bardzo ważny, bo zdradza mechanizm przeniesienia dramatu do duszy ludzkiej. Problem piekła wyrasta z wnętrza człowieka, z jego sumienia. Faust jest przekonany, że przywołał Mephistophila swymi zaklęciami, środkami mechanicznymi; ów jednak wyprowadza go z błędu powiadając:

Hell hath no limits, nor is circumscrib'd
In one self place; for where we are is hell

(str. 34)

Szatan Miltona posługuje się tą samą formułą:

Which way I fly is Hell; myself am Hell

(Paradise Lost. IV. 75).

Swedenborg do podobnego stanowiska idealistycznego dochodzi na drogach mistyczno-teozoficznych. Czytamy w *Arcana coelestia:* „in genere tales spiritus apud hominem sunt, qualis ipse homo est... homo sibi arcessit spiritus ex inferno secundum vitam" (cyt. wg. *Goethestudien* Maxa Morrisa. 2 Aufl. I. 21).

Oba źródła — mistyczne i filozoficzne — mieszają się w literackim idealizmie XIX w. Lucyfer bajroński operuje pojęciami swedenborgiańskimi, gdy mówi, że nie stanąłby przed Kainem, gdyby duch jego nie był zdolny do tego towarzystwa; wówczas wystarczyłby do zwiedzenia go wąż, jak to się stało ongi:

And hadst thou not been fit by thine owl soul
For such companionship, I would not now
Have stood before thee as I am: a serpent
Had been enough to charm ye, as before.

(I. 1)

Równocześnie to stanowisko idealistyczne ułatwia Byronowi motywację psychologiczną, a nawet dramatyczne kształtowanie dzieła przez obiektywizację marzeń i pragnień bohatera, które, zanim uświadomi je sobie należycie Kain, już się ujawniają w ustach Lucyfera, odgadującego tajne i ledwie zarysowane myśli człowiecze. Lucyfer gra tu jakby rolę metafizycznego psychoanalityka:

Lucifer: His (Abla) sacrifices are acceptable
Cain: So be they! wherefore speak to me of this?
Lucifer: Because thou hast thougt ofthis ere now.

(II. 2)

Nie rozróżnia tego podwójnego aspektu R. Blüth, co doprowadza go do wniosku, że Byron potraktował Kaina zbyt naturalistycznie, a przez to zmniejszył tragizm tej postaci. (*Verbum.* 1935, str. 533—534). Nieporozumienie polega na tym, że *Kain* ze stanowiska teorio-poznawczego jest dziełem idealistycznym, symbolicznym, którego tragizm można ujmować w kategoriach estetyki metafizycznej. Ten sam *Kain* rozważany ze stanowiska psychologicznego spełnia warunki, jakie sztuce stawia realizm: misterium dzieje się w ramach prawdopodobieństwa i motywacji charakterologicznej. Jest to punkt czuły także przy interpretacji *Dziadów.*

Wróćmy teraz do początku rozważań, do świadomości mistycznej. Spranger rozróżnia trzy typy mistyczne. Mistyk immanentny ustosunkowuje się pozytywnie do wszystkich przejawów życia i przeżywa je jako najwyższą wartość. Do tej kategorii należą typy uniwersalistyczne, jak Giordano Bruno i Shaftesbury; z postaci literackich — Faust. Mistyk transcendentny odnosi się negatywnie do wszystkich wartości życia; najwyższą wartością staje się dlań zaprzeczenie świata; podrzędną natomiast jest rzeczą, czy wynikiem zaprzeczenia będzie pesymizm, czy też jakaś idealistyczna nadbudowa nad otchłanią nicości. Przedstawicielami tej grupy będą neoplatonicy i większość mistyków chrze-

ścijańskich. „Chorus mysticus" z końca II. cz. *Fausta* jest wyrazem wiecznego neoplatonizmu, który nauczał, że bóstwo przesyca wszystko i wszystkich, że każda rzecz ma znaczenie dopiero przez wyższe symboliczne ujęcie, bo wszystko skończone jest odbiciem nieskończoności i każda rzecz sama przez się nie przedstawia wartości, jakby pozbawiona elektrycznego ładunku bóstwa. Trzeci typ mistyka jest dualistyczny, mieszany. *(Lebensformen.* 214—219). Tu należy pewna część mistyków chrześcijańskich.

W świetle tego podziału Mickiewicz przedstawia typ mieszany: fantastyczno-mistyczny, prometeuszowo-chrześcijański. Był Mickiewicz integralistą, mistykiem, monistą. Cechuje go głębokie przeżywanie życia, skłonność do uogólnień, zamiłowanie do analogii, symbolów itp. „mistycznych" odpowiedników poezji. Życie, filozofia, poezja, skojarzenie tych trzech elementów wywołuje najwyższą pochwałę z ust Mickiewicza dla Byrona, księcia poetów romantycznych: „On pierwszy pokazał ludziom, że poezja nie jest czczą rozrywką, że nie dość tu życzeń i słów, że trzeba samemu tak żyć, jak się pisze... To mocne uczucie potrzeby spoetyzowania swego życia, zbliżenia ideału do rzeczywistości stanowi całą wartość poetycką Byrona... Z Byronem poczyna się nowa epoka literatury, nowa epoka poezji. Ta poezja dotyka jedną stroną filozofii, drugą życia rzeczywistego..." *(Lit. słow.* R. III. L. 3, por. też list poety do Al. Chodźki, z 8 lutego 1842 r.).

Życie rzeczywiste to szczerość i konkretność przeżyć: odpowiednikiem tej zasady w sferze artystycznej będzie realizm i humor. Co zaś rozumiał poeta przez drugą stronę poezji, przez filozofię, o tym pewne pojęcie daje nam ustęp, poświęcony Heglowi w Collège de France: „Kto by dał temu wiarę, że Hegel po dziesięciu leciech nauczania filozofii z katedry w Berlinie zostawił swoich słuchaczy w wątpliwości o tym, czy przypuszczał bytność Boga osobistego, duszy nieśmiertelnej i świata niewidomego? Przecież dawał on lekcje filozofii, nie chemii ani fizyki, albo historii naturalnej. Jeżeli nic pewnego nie wyrzekł o Bogu, o nieśmiertelności duszy, o świecie niewidomym, o czymże przez dziesięć lat gadał?" *(Lit. słow.* R. III. L. 18). Mickiewicz przemawia tu, jak przystało na ucznia Tomasza à Kempis, w zgodzie zresztą całkowitej z mistycznym romantyzmem, jak świadczy choćby następujący fragment Novalisa: „Die Philosophie kann kein Brot backen, aber sie kann uns Gott, Freiheit und Unsterblichkeit verschaffen". *(Phantasien im Gebiete der Philosophie und Physik).*

Był jednak Mickiewicz także dualistą. Bóg i świat jednak istniały dlań jako byty gotowe, przed człowiekiem, obok człowieka i ponad człowiekiem. Dwie zasady: gotowy świat (naiwny realizm) i człowiek stwarzający sobie świat i Boga (idealizm mistyczny), realizm i irracjonalizm, gorące umiłowanie życia i zaprzeczenie świata, istniały jakby obok siebie. Ta niejednolitość typu pozwala rozumieć niektóre trudności, z jakimi się spotykamy przy próbach interpretowania twórczości poety.

Tożsamość formy obiektywizacyjnej, w którą oblekają się nieraz najbardziej sobie obce przeżycia ludzkie, oboczność ujęcia racjonalistycznego i mistycznego, filozoficznego i moralnego pewnych zasadniczych dążeń człowieka wystąpi

jaśniej, kiedy od jednego bieguna, który przedstawiała świadomość mistyczna, przejdziemy do drugiego: do świadomości filozoficzno-artystycznej. Za przedmiot rozważań wezmę wstępny monolog Fausta z I. części, jako odpowiednik Improwizacji Konrada.

Odyniec zawinił dwa nieporozumienia w stosunku badaczy Mickiewicza do Goethego: jedno z *Prometeuszem*, a drugie z *Faustem*. Po jego relacji o wizycie w Weimarze, o wrażeniach Mickiewicza z jubileuszowego przedstawienia *Fausta* zdawałoby się, że nie może być nic wspólnego między autorem *Dziadów* i Goethem. Wybieram kilka szczegółów z tego opowiadania: „Dotąd patrzałem nań" (na Goethego) — wyznaje Odyniec — „tylko jako na poetę, na arcymistrza w sztuce, na potentata w rozumie i z głębi przekonania wołałem na kolanach: wielki! wielki! wielki! Teraz szukam w poecie wieszcza; w mędrcu idei i prawdy; w człowieku serca i ducha. Szukam tego, co widzę i czuję w Adamie". Oczywiście Odyniec tego nie znalazł u Goethego. Słyszymy dalej, że Mickiewicz nie chciał Odyńcowi powiedzieć swego zdania o *Fauście*. Nagabnięty przez Goethego o wrażenia teatralne, Mickiewicz „unosząc się nad pojedyńczymi scenami ani słowa o całości nie wspomniał. I musiało to widać uderzyć Goethego, bo patrzał nań przenikliwie, jak gdyby czegoś jeszcze oczekiwał więcej..." Z opowiadania wynikałoby, że to Goethe był zaszczycony wizytą Mickiewicza, a nie na odwrót. Gdy Goethe przy stole mówi o stosunku człowieka do natury, słowa jego tchnęły na Odyńca „mroźnym, przeraźliwym chłodem". Nadmienia przy tym: „I spoglądałem ciekawie na Adama, aby odgadnąć z twarzy, co też myśli? Ale on siedział nasępiony i milczał. Ciekawy byłbym bardzo, czy sobie o Oleszkiewiczu nie wspomniał?" (Listy z podróży. Weimar, 29 sierpień 1829).

Zbyt widoczna w tym sprawozdaniu stylizacja stosunku Mickiewicza do Goethego na stosunek romantyzmu do oświecenia, uczucia do rozumu, religii do deizmu. Można nawet w tym wypadku powiedzieć u kogo się Odyniec zapożyczył. W *Essais sur le drame fantastique* (1839) przeciwstawiła George Sand artystę-wirtuoza prawdziwemu poecie w następujących słowach: „Cependant, dans les idées que nous faisons d'un idéal de poëte, Goethe serait plutôt un grand artiste; car nous nous ne concevont pas un poëte sans enthousiasme, sans croyance ou sans passions et la puissance de Goethe, agissant dans l'absence de ces éléments de poésie, est un des prodiges isolés qui impriment une marche au talent plus qu' aux idées. Goethe est le vrai père de cette théorie, tant discutée et si mal comprise de part et d' autre, de l'art pour l'art". I jeszcze jedno ważne zdanie o Fauście: „Dans ce poëme magnifique où rien ne manque d'ailleurs, quelque chose manque essentiellement, c'est le secret du coeur de Faust". Ostatni sąd skwapliwie przyswoili sobie pisarze polscy. Lenartowicz opowiada w *Listach o Adamie Mickiewiczu*, że poruszył podobne zagadnienie przed autorem *Dziadów*, który zapytał go z uśmiechem, skąd to wie? Lenartowicz przytacza ten szczegół, jako dowód trafności swych domysłów, jako przytwierdzenie ze strony Mickiewicza. Zdaje mi się, że Mickiewicz musiał się ubawić niemało, widząc jak szybko stały się

publiczną własnością poglądy krytyczne pani George Sand i dlatego zapewne pytał z uśmiechem: a skąd ty to więsz?

Badacze nasi przytaczają pochlebne sądy pani George Sand, nie dostrzegając dowolnych założeń teoretycznych tego studium. Żywe z tej pracy pozostały dziś drobne uwagi o twórczości właśnie Goethego. Sąd zaś o Mickiewiczu nie przeżył romantycznej filozofii sztuki pani Sand. Pochwały zresztą francuskiej przyjaciółki wyglądają dość podejrzanie przez swą teoretyczność. Ganiła zasadniczo Goethego, jako poetę bez ideału, ale napisała sporo ciekawych rzeczy o jego dziele. Wyżej stawiała Byrona, mniej jednak miała do powiedzenia o *Manfredzie*, niż o *Fauście*. Mickiewicza postawiła na szczycie i poprzestała na obfitych cytacjach!

Z *Faustem* to wyszła osobliwa historia. Nie zbadano należycie stosunku obu dzieł do siebie, przesadzano natomiast w wyszukiwaniu zależności. Kawczyński wskazał parę drobiazgów, często nieistotnych, a czasem zupełnie fikcyjnych. Uważa np., że ks. Piotr nauczył się od Fausta wypędzać diabła tędy, kędy wszedł. Marny byłby z ks. Piotra egzorcysta, gdyby nie znał tej podstawowej zasady demonologicznej, którą dziś jeszcze zna, mówiąc stylem Jana Śniadeckiego, każda baba wiejska. Nie obyło się też, rzecz prosta, bez modnego w starszej polonistyce moralnego wywyższania dzieł rodzimych nad obce; przy *Dziadach* można było przy tym wygodnie powtarzać pacierz za panią George Sand. Była to jakby podświadoma chęć naprawienia krzywdy artystycznej, jaką tym dziełom wyrządzali ci sami badacze, przez rozprzędywanie ich swoistych wartości na nieistotne, a często wręcz wyimaginowane wpływy i zależności od cudzoziemców. „Faust myśli tylko o sobie" — pisze Kawczyński — „Konrad wcielił się w naród i czuje w sobie ból i krzywdy milionów" (*Rozp. Wydz. Filol.* XXI. 19 i 31). Kawczyński powtarza tu Lenartowicza (*Listy o Mickiewiczu*, str. 26). Lenartowicz był echem Cybulskiego (*Dziady Mickiewicza*, Poznań, 1864, str. 10); za Kawczyńskim powtórzy to samo M. Żmigrodzki (*Gustaw-Konrad Mickiewicza i Faust Goethego*, Włocławek, 1909). Dodajmy, że żaden z nich nie cytuje swego poprzednika i że ostatni powtarzacz nie zna Zdziechowskiego, który wreszcie rozwiał legendę egoizmu Fausta (*Byron i jego wiek*, Kr., 1897. II. 445).

Przeoczono choćby takie słowa Fausta, jak:

Es reget sich die Menschenliebe,
Die Liebe Gottes regt sich nun (Studierzimmer)

lub

Der Menscheit ganzer Jammer fasst mich an (Kerker)

Nie rozumiano, że ostatecznie odpowiednie miejsce Improwizacji jest, literacko rzecz biorąc, również tylko gołosłownym zwrotem w ustach Konrada i że w ujęciu Goethego Faust jest przedstawicielem ludzkości, więc znowu literacko patrząc na sprawę trzeba przyznać, że rola jego przewyższa o wiele Konradowe cierpienie za naród.

Dziadów część III łączą różne związki z *Faustem*. Dla naszych celów wystarczy porównać monolog Fausta z Improwizacją, żeby się przekonać o pokrewieństwie formy wewnętrznej. Równocześnie zaś stwierdzimy różnice, wyrażone przez nas formułą „świadomość mistyczna i świadomość filozoficzno-artystyczna". Nawet przez traktowanie *Dziadów* jako Anti-Fausta (T. Lenartowicz, *Listy o Adamie Mickiewiczu*, str. 26), przez przypisywanie Mickiewiczowi zamiaru przeciwstawienia się Goethemu stwierdza się pośrednio pokrewieństwo punktu wyjściowego. Za tym zaś idzie podobieństwo schematu psychologiczno-morfologicznego przy różności myśli kierunkowej, czyli przy odmienności założenia ideologicznego. Dotknęła tego zagadnienia Z. Ciechanowska w szkicu *Mickiewicz a Goethe (Pam. Lit.*, 1924—25, str. 117—119).

Przyjrzyjmy się Faustowi, zagłębionemu w dziele Nostradamusa. Na piękno świata, ujrzane w znaku makrokosmosu, reaguje Faust wstrząsającą radością, wzmożonym poczuciem siły, które wyraża się pytaniem:

Bin ich ein Gott? (439)

Kontemplacja znaku Ducha Ziemi przedstawia dalszy proces rozszerzenia się i potężnienia świadomości:

Ich fühle Mut, mich in die Welt zu wagen
Der Erde Weh, der Erde Glück zu tragen.
(464—465)
Ich bin's, bin Faust, bin deines gleichen (500)
...nie nah fühl' ich mich dir (511)
Ich mehr als Cherub (618)

Poczucie mocy jest zwykle wstępem do roli zbawcy. Chęć zrównania się z Bogiem Ojcem-Stwórcą prowadzi nieuchronnie do zrównania się także z drugą osobą Trójcy, z Bogiem Synem cierpiącym i zbawiającym. Ten prometejski i mistyczny zarazem pierwiastek występuje w Improwizacji w postaci krytyki rządów Boga na ziemi i przejęcia się losem nieszczęśliwego narodu. *Faust* zawiera również krytykę Opatrzności i motyw współczucia:

Soll ich vielleicht in tausend Büchern lesen,
Dass überall die Menschen sich gequält,
Dass hie und da ein glücklicher gewesen? (661—663)

Goethe zdradza prometejski charakter tych słów w „Prologu w niebie", z którego widać, że Faust jeszcze przed poznaniem Mefistofelesa dzielił z nim te same prometejskie troski; Mefistofeles bowiem wysłuchawszy archanielskich hymnów na cześć Boga, zagaja rzecz w następujący sposób:

Von Sonn' und Welten, weiss ich nichts zu sagen,
Ich sehe nur, wie sich die Menschen plagen. (279—280).

Kiedy Faustowi zaświta myśl znalezienia wyjścia z ciasnoty ludzkiego świata i ludzkiej słabości przez śmierć (biologiczny rytm uniesienia i przygnębienia), napływa nowa fala siły i dumy wobec bóstwa:

Hier ist es Zeit, durch Taten zu beweisen,
Dass Manneswürde nicht der Götterhöhe weicht,
Vor jener dunkeln Höhle nicht zu beben
In der sich Phantasie zu eigner Qual verdammt.
(712—715)

Podobną stylizację w podkreśleniu właściwego momentu rozprawy, jakiejś magicznej wprost ważności chwili, mieliśmy wcześniej:

Jetzt erst erkenn' ich was der Weise spricht (442)
Du musst! Du musst! und kostet es mein Leben (481)

Warto jak mi się zdaje, zestawić te wiersze ze słowami Konrada:

Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam czym najwyższy, czylim tylko dumny,
Dziś jest chwila przeznaczona (85—87).

Że tu mamy coś więcej ponad reminiscencję stylistyczną i że słowa Konrada dążącego do pilnej i natychmiastowej próby sił nie tłumaczą się sytuacją wewnętrzną dramatu — to jasne. Miejsce to natomiast tłumaczy się wystarczająco w świetle tradycji motywów faustycznych. Tę samą niecierpliwość i pęd do ryzyka za wszelką cenę zdradza bohater Marlowa:

For, ere I sleep, I'll try what I can do:
This night I'll conjure, though I die there fore.
(Wyd. Tauchnitza, str. 19).

Kto wie czy narzekania Konrada na niedostateczność mowy ludzkiej nie można by łączyć z faustowskim zdaniem „Wie spricht ein Geist zum andern Geist" i co za tym idzie z rozważaniami Swedenborga na temat doskonałej i szybkiej wymiany myśli między duchami, które komunikują sobie bezpośrednio swoje idee zamiast posługiwać się ciężkimi, leniwie i okrężną drogą do celu zmierzającymi słowami (por. Max Morris, *Goethestudien*, 2 Aufl. Berlin, 1902, I. 24).

Ukazanie się Ducha Ziemi w ogniowej postaci przejmuje Fausta przerażeniem. Duch Ziemi zwraca się doń z wyrazami wzgardy i politowania.

Przy tej sposobności po raz pierwszy wynurza się zagadnienie idealizmu poznawczego:

...welch erbärmlich Grauen
Fasst Übermenschen dich! Wo ist der Seele Ruf?
Wo ist die Brust, die eine Welt in sich erschuf
Und trug und hegte, die mit Freudebeben
Erschwoll, sich uns, den Geistern, gleich zu heben?

Bist du es, der, von meinem Hauch umwittert,
In allen Lebenstiefen zittert,
Ein furchtsam weggekrümter Wurm?
(489—493 i 496—498)

Przypomina to refleksje kaprala nad powalonym Konradem:

A patrzcie głowa mądra w prochu się taczała
I z tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała.
(III. 24—25)

Oraz drugi wywód na temat strachu, który największych śmiałków dopada przy śmierci: „wychodzi z trupa jak owad i pełza wokoło".

Ukazanie się Ducha Ziemi było preludium do strącenia Fausta z nieba na ziemię. Duch rozbija wszystkie jego zapędy sławnym zwrotem:

Du gleichst dem Geist, den du begreifst
Nicht mir! (512—513)

Posłuchajmy rozważań Fausta:

Den Göttern gleich' ich nicht? zu tief ist es gefühlt:
Dem Wurme gleich' ich, der den Staub durchwühlt,
Den, wie er sich im Stauben nährend lebt,
Des Wandrers Tritt vernichtet und begräbt. (652—656).

Odpowiada to sytuacyjnie, podobnie jak uwagi Kaprala, drugiej części Improwizacji czyli partii ks. Piotra:

Panie! czemże ja jestem przed Twojem obliczem
Prochem i niczem! (V. 1—2)

Inny sługa boży będzie się nawet nazywał Robakiem na pamiątkę słów pisma: jak robak w prochu... Tu mógł działać także przykład Byrona, który tym biblijnym zwrotem chętnie określa człowieka w swych biblijnych natchnieniach.

Uzupełnienie Konrada ks. Piotrem nasuwa pewną analogię. Gothe pracował nad tematami prometejskimi przez ładnych parę dziesiątków lat; *Prometeusz* (1773) i ciąg dalszy jego *Pandora* (1808) to słupy graniczne. Równocześnie miał na warsztacie *Fausta*, którego tworzył z przerwami blisko przez sześćdziesiąt lat. W *Pandorze* prometejskiemu „Streben", ideałowi działaczą, człowieka

czynu, przeciwstawiał Goethe Epimeteusza, ideał życia kontemplacyjnego. Jest też pewna analogia sytuacyjna. Partię Fausta kończy pieśń wielkanocna a partię Konrada kolęda anielska; z najważniejszymi uroczystościami chrześcijańskimi związali obaj twórcy ocalenie swoich bohaterów. Na zakończenie jeszcze jeden drobiazg. Jak wiemy z korespondencji Nowalisa z A. W. Schleglem, zimą 1797 pracował Goethe równocześnie nad *Prometeuszem* i nad *Faustem*. (Novalis, *Briefwechsel*, Mainz, 1880, str. 44). Z *Prometeusza* został tylko fragment. *Dziady* wchłonęły planowanego w Rzymie Prometeusza chrześcijańskiego; za jedyny fragment, który z Prometeusza ocalał, uchodzi — od czasów Odyńca — Improwizacja Konrada.

Wróćmy teraz do słów, którymi Duch Ziemi uprzytomnił Faustowi jego ludzkie granice wiedzy i władzy:

Du gleichst dem Geist den du begreifst
Nicht mir (512—513).

Duch Ziemi formułuje w tym zdaniu problemat idealizmu poznawczego. Taki jest twój świat, taki będzie zakres twego poznania, jaką jesteś jaźnią poznającą. Tragedia Fausta jest tragedią poznania. Faust marzy o poznaniu istoty rzczezy. Dlatego Duch Ziemi przywołuje go do porządku postawieniem zasadniczego problemu idealizmu. Spotkanie Fausta z Duchem Ziemi jest symbolicznym spotkaniem myśli przedkantowskiej z myślą nowożytną, świadomości magicznej z świadomością naukową. Zauważmy, że to Natura poucza człowieka. Odyniec z pobytu w Wejmarze zanotował między innymi także takie zdanie Goethego: „Kiedy dysputuję z człowiekiem, nigdy całkiem pewny nie jestem, kto z nas ma rzeczywiście słuszność; mais en disputant avec la nature, je sais d'avance, que c'est elle qui a raison" (*Listy z podróży*, 29 sierpnia 1829). Odyniec korzysta tu z Eckermanna! (por. rozmowę z 13 lutego 1829).

Faust zrozpaczony, że na drodze studiów nie dotarł do zagadki świata, jakby do „Ding an sich", postanawia oddać się wiedzy tajemnej. Magia Fausta jest symbolem poznania na drodze pozarozumowej; człowiek, który się zniechęcił do rozumu, usiłuje zdobyć inne narzędzia poznania, nieświadomie odwołuje się do swej świadomości mistycznej. Faust wyznaje otwarcie:

Jetzt erst erkenn' ich was der Weise spricht:
„Die Geisterwelt ist nicht verschlossen,
Dein Sinn ist zu, dein Herz ist tot" (442—444)

Jest to zasada bardzo podobna do tej, którą Mickiewicz wygłosił w „Romantyczności":

Nie znasz prawd żywych, nie zobaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

Tak długo nasi badacze rozwodzili się nad racjonalizmem Goethego, że trudno nam się będzie może oswoić z obrazem Goethego-teozofa. Po powrocie ze stu-

diów uniwersyteckich do Frankfurtu, Goethe choruje; jest to pietystyczny okres w życiu poety; na ten czas przypada znajomość z Zuzanną von Klettenberg, pod której wpływem Goethe studiuje teozofów i mistyków. Wiemy też o stosunkach Goethego z Jungiem Stillingiem. Badania wykazały, że autor *Fausta* znał van Helmonta, Paracelsa i Swedenborga. Znowu mamy „mickiewiczowskie" lektury! W r. 1781 pisze Goethe do Lavatera, że skłonny jest uwierzyć w świat duchów, istniejący poza światem widzialnym i że ma dość siły „mein eigenes Selbst zu einem Swedenborgischen Geisteruniversum erweitert zu fühlen". Faust w monologu powołuje się na jakiegoś mistycznego mędrca. Erich Schmidt wskazał, że jest to Swedenborg *(Goethes Faust in ursprünglicher Gestalt*, Weimar, 1899, XXXIX). Pobudzony tą wskazówką Max Morris zajął się szczegółowo wpływem Swedenborga na *Fausta*. Okazuje się, że mimo wzmianki o tajemniczej księdze Nostradamusa, mamy do czynienia w dziele Goethego z symbolami Swedenborga. Starym mistycznym symbolem, dodajmy od siebie: starszym od Swedenborga, jest również „jutrzenka", w której Faust ma znaleźć ożywczą kąpiel dla swych zamkniętych zmysłów i serca martwego. Krążenie znów sił w kołowrocie kosmicznym przed oczyma Fausta wiążą komentatorowie z Jakubowa drabina van Helmonta, po której na kształt aniołów wchodzą w górę i schodzą na dół niebieskie siły (Max Morris, *Goethestudien*, I, 13—41). Mędrzec na którego powołuje się Faust, nie jest ściśle określoną osobistością: nie jest Nostradamusem, van Helmontem, Paracelsem, Swedenborgiem, ani Herderem, ani Hamannem: to symbol intuicji w ogóle (Ernst Traumann, *Goethes Faust. Nach Entstehung und Inhalt erklärt*. München, 1919. I. 220—222).

Nie mniejszą niespodzianką będzie stwierdzenie, że Goethe uświadamiał sobie obie drogi, na których dochodzi się do idealizmu poznawczego: nie tylko teoretyczno-filozoficzną lecz także — pseudofilozoficzną, mistyczną. Wśród studiów demonologicznych do Fausta czytał dzieło Erazma Francisci *Neupolirter Geschicht-Kunst- und Sittenspiegel ausländischer Völker*, w którym zainteresował się, jak donosi Schillerowi 3 stycznia 1798 r., rozmową między uczonym chińskim i jezuitą na temat: czy umysł tylko odbija obrazy świata zewnętrznego, jak twierdził jezuita, czy też wytwarza je z siebie, co wyznawał mędrzec wschodni. W liście do Schillera z 6 stycznia 1798 Goethe bierze stronę wschodniego, twórczego idealizmu przeciw jezuickiemu Reinholdyście.

Dzieło Fr. Francisci to w założeniu coś w rodzaju niemieckich *Nowych Aten*, tylko na wyższym poziomie.

Wspomnianą przez Goethego rozmowę znajdziemy w rozdziale 11-tym I. księgi. Wśród dysput, jakie toczył misjonarz O. Mateusz Riccius, jezuita, z uczonymi chińskimi, mamy następującą rozmowę:

Jezuita: Czy wierzysz w Stwórcę nieba i ziemi?

Chińczyk: Nie przeczę, że dałby się znaleźć taki regent wszechświata, nie przypisuję mu jednak większej władzy ani tym bardziej boskiej mocy. Zarówno ja, jak i każdy inny człowiek, jesteśmy wszyscy mu równi i nie ustępujemy mu w niczym.

Jezuita: Więc mógłbyś stworzyć niebo i ziemię?
Chińczyk: Owszem, mogę.
Jezuita: No, to stwórz choćby taki kociołek z rozżarzonym węglem.

Chińczyk oburzony jest niesłusznym żądaniem i, dodajmy to od siebie, apologetycznymi metodami dyskusji filozoficznej; Jezuita posłużył się zupełnie, jak to wynika z dalszego wywodu kapłana chińskiego, chwytem zwanym argumentum ad hominem. Wykrzykuje przeto:

Chińczyk: Jeśli dysputujesz o słońcu i księżycu, powiedz czy to ty wznosisz się do nieba, czy też ciała niebieskie zstępują do ciebie?
Jezuita: Ani jedno ani drugie. Gdy coś widzę, szkicuję na tablicy swego umysłu postać oglądanej rzeczy. Kiedy zaś potem chcę mówić albo myśleć o tej rzeczy, to zwracam się do swoich zmysłów i umysłu, żądając od nich zwrotu przyjętych obrazów i postaci.
Chińczyk: (zrywając się na nogi i wykrzykując w radosnym poczuciu zwycięstwa) I w tym oto momencie stwarzasz nowe słońce i nowy księżyc. W podobny sposób możemy stwarzać wszystkie inne rzeczy.
Jezuita: Przedmiot i jego odbicie w nas to są dwie rzeczy różne. Naszego wewnętrznego obrazu nie można uważać za rzeczywiste słońce. Cóż z tego, że zwierciadło odbija słońce i księżyc, przecież nikt nie powie, że stwarza ono miesiąc i słońce.

To wyjaśnienie, jak wynika z zachowania się świadków dysputy, dodaje autor kroniki, podobało się więcej niż sny i marzenia pogańskiego mnicha. Naszym zdaniem, Chińczyk krzykiem zaprotestował przeciw posłużeniu się analogią jako dowodem, co jest błędem logicznym, oraz przeciw porównaniu twórczej władzy umysłowej z bezdusznym przedmiotem, nie posiadającym świadomości, co kryło w sobie dla człowieka wschodu obrazę godności ludzkiej. Kronikarz zaś wyjaśnia, opierając się prawdopodobnie na doświadczeniach europejskich, że Chińczyk pragnął w ten sposób ratować swą przepadłą sprawę i osłonić swój nierozum. (Nürnberg, 1670, str. 42—43).

Na przykładzie tym widzimy dowodnie pramistyczne, kontemplacyjno-filozoficzne pochodzenie problemu świadomości, stwarzającej świat. Równocześnie widzimy tu jakby mechanizm prometeizmu: poczucie dostojności i godności ludzkiej, porównanie się z bóstwem i w następstwie tego bunt, nie uznawanie władzy boga nad światem i sobą.

Mistyk zamyka się w swym wnętrzu, w zamiarze wyjścia poza ludzki świat. Ucieczka do wewnątrz oznacza rezygnację z rzeczy istniejących na zewnątrz świadomości. Poznanie zamyka się, nie zdając sobie z tego sprawy, w kręgu własnej świadomości; mistyk zatem instynktownie i praktycznie odkrywa zagadnienie świadomości. Anima mystica naturaliter kantiana! Dlatego magne-

tyści i teozofowie widzieli w Kancie sprzymierzeńca przeciw dufnemu w sobie racjonalizmowi; z tego samego powodu Śniadecki potępiał w czambuł i sumarycznie: Kanta, teozofów i romantyków.

Idealizm wszystkich odcieni — krytyczny Kanta, obiektywny Fichtego, obiektywny Schellinga, bezwzględny Hegla czy racjonalny Schopenhauera — czynił z ludzi bogów, albowiem wywodzili oni światy całe z własnej jaźni i nadawali im prawa na obraz i podobieństwo swoje, czyli w ustalonych przez Kanta a przez Schopenhauera zredukowanych do liczby trzech kategoriach: czasu, przestrzeni i przyczynowości. Romantycy biorą dosłownie analogię poznanie — stwarzanie. A poznaniem wyższego rzędu jest według nich każdy akt twórczy. Stąd każdy poeta ma prawo uważać się co najmniej za demiurga.

W tym miejscu przypomnijmy, że Mefistofeles, przedstawiciel sceptycznego oświecenia, racjonalizmu i krytycyzmu, studentowi palącemu się do wiedzy, kandydatowi na drugiego Fausta i może romantycznego demiurga wpisuje ironicznie do sztambucha bardzo ciekawy werset biblijny: „Eritis sicut Deus scientes bonum et malum".

ADAM MICKIEWICZ

FOTOGRAFIA SZWEYCERA Z 1853 ROKU

ADAM MICKIEWICZ W TURCJI

RYSUNEK JULIUSZA KOSSAKA

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

TRADYCJE GDAŃSKIE W RODZINNYCH STRONACH MICKIEWICZA

Żadna chyba z depesz, donoszących nam o powrocie pod skrzydła dawnej swej Macierzy szeregu ziem i grodów naszych, nie znalazła w sercach polskich takiego echa, jak wieść, że nad miastem i nad portem gdańskim powiewa znów dumnie sztandar Rzeczypospolitej.

Prawda, biły nam również mocno serca, gdyśmy się dowiadywali o odzyskaniu i innych naszych miast i dzielnic, a przede wszystkim — Gdyni. Ale Gdańsk, ale polski Gdańsk — to wiadomość, która poza brzmiącymi mile echami widowiskowych tradycyj, poza oślepiającymi perspektywami wszelkiego rodzaju możliwości ekonomicznych, kryła w sobie dla nas jeszcze jeden walor, być może najważniejszy, gdyż natury czysto moralnej.

Chodzi o to, że w ciągu tych kilku strasznych lat, drogą stosowania niespotykanych dotychczas pod względem wyrafinowanego okrucieństwa metod prowadzenia wojny, a w szczególności postępowania z ludnością cywilną, zdołał wróg, obok nieprzeliczonych i niepowetowanych strat materialnych, wyrządzić nam i mnóstwo dotkliwszych jeszcze, być może, szkód natury duchowej i moralnej. Wyeliminowano po prostu z ustalonego latami sposobu bycia przeciętnej jednostki cały szereg dziedzin życia duchowego. Wycofano z obiegu te wszystkie elementy i fundamenty, na jakich gruntowała się i kształtowała postawa życiowa normalnego osobnika. Zabito w nas wiarę w istnienie takich wartości, jak: dobroć, miłosierdzie, uczciwość, no i ...sprawiedliwość. Sprawiedliwość taka, jaką starożytni wyobrażali w postaci bogini mającej przewiązane chustką oczy, aby na niewidzianego, nie licząc się z żadnymi względami i okolicznościami ważyć ludzkie postępki i czyny, wymierzając odpowiednie nagrody i kary. Ale obok tej cnoty, służącej niejako na użytek dnia powszedniego i regulującej stosunki pomiędzy jednostkami, istnieje sprawiedliwość wyższego rzędu: sprawiedliwość dziejowa, której przejawy występują na przestrzeni wielowiekowych okresów rozwoju historycznego całych narodów. Ona to właśnie zdawała się być już całkowicie unicestwiona bezmyślnym płomieniem pożogi wojennej. Zło zdawało się już na wieczne czasy triumfować nad dobrem. Szatańskie zamysły burzycieli pokoju światowego stawały się błyskawicznie, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, faktami dokonanymi. Szczęście wojenne sprzyjało im we wszyst-

kich ich poczynaniach. Z niewiarogodną wprost łatwością toczyła się od zwycięstwa ku zwycięstwu potężna lawina dzikiego lecz świetnie zorganizowanego barbarzyństwa, miażdżąc napotykane po drodze żywe organizmy, pokój i twórczą pracę miłujących narodów, zostawiając za sobą łzy i nieszczęścia, ruiny i pożogę; żadna siła, zdawało się, nie zdoła już się oprzeć temu straszliwemu, apokaliptycznemu pochodowi, jaki w krótkim stosunkowo czasie rozlał się po całej niemal Europie.

Dla nas, zdawało się, przyszedł również jakiś wielki, tragiczny kres dziejowy. Zdawało się, że nad całą naszą tak pełną chwały i wielkości przeszłością trzeba postawić na zawsze krzyżyk, i że nigdy już nie zdołamy wydostać się spod piekielnego ucisku germańskiego buta, że słońce wolności na wieki dla nas zgasło, pogrążając nas w mrokach wieczystej niewoli.

I oto, w momencie szczytowego triumfu oszołomionego powodzeniem najeźdźcy, zaczyna mu się naraz powijać noga. Szczęście wojenne odwraca się wyraźnie na stronę ponoszących dotychczas same niemal klęski jego przeciwników. Z zachłannych rąk krwiożerczego zbira coraz częściej zaczynają wypadać całe połacie zagrabionych i uciemiężonych krajów. I oto widzimy, jak wreszcie zostaje on powalony na kolana i pochwycony za gardło.

W trakcie tej zmiany ról i my odzyskujemy swobodę oddechu. Ponura zasłona nocy pęka naraz od góry do dołu, a granice nasze zaczynają się szybko wypełniać wracającymi w ich obręb, a nawet poszerzającymi go ziemiami i terenami.

Wraca i Gdańsk. Właśnie Gdańsk — owa wieloletnia kość niezgody, ów sporny teren, który, czy to ze zmyślonych, czy też może i z istotnych powodów, stał się zarodkiem zlikwidowanego świeżo konfliktu. Wraca pod sztandary Rzeczypospolitej miasto, gdzie zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich lat przedwojennych władze nasze i przedstawicielstwa dyplomatyczne jak również wszelkie inne nasze placówki i ludność polska w nieprawdopodobny sposób były szykanowane, sztandary nasze — niejednokrotnie zrywane i bezczeszczone, a nasze godło narodowe — w ohydny sposób plugawione.

Sprawiedliwości dziejowej stało się zatem zadość. Znów wróciła nam wiara w jej istnienie. I w tym właśnie kryje się całkiem odrębny, symboliczny niejako sens omawianego faktu. Dlatego to każdy z nas tak głęboko zareagował w swym sercu na wiadomość o powrocie Gdańska, o spełnieniu się proroctwa Mickiewicza, który w usta Sędziego w „Panu Tadeuszu" kładzie słowa: „Miasto Gdańsk! Niegdyś nasze, będzie znowu nasze!"

Ale, jak powiedzieliśmy, obok tej dziejowej niejako strony faktu występuje i jego całkiem realna ocena. Olśniewa nas wprost świadomość olbrzymiego znaczenia, jakie dla rozkwitu naszego dobrobytu państwowego będzie miało posiadanie własnego i tak dogodnego portu. I mimowoli, dla celów wprost orientacyjnych, pamięć nasza cofa się ku tym latom, gdy stosunki nasze sąsiedzkie i handlowe z Gdańskiem, w okresie niepodległej Rzeczypospolitej, a nawet i w pierwszych latach porozbiorowych, układały się zgoła inaczej, niż za naszych czasów.

Gdy nie było jeszcze kolei, cały handel z portami bałtyckimi mógł się jedynie odbywać drogą wodną, to znaczy korytem Wisły i jej dopływów. Jak wielkie były owe obroty handlowe, wiemy wszyscy dobrze nie tylko z tradycyj, zachowanych w takich chociażby utworach literackich, jak „Flis" Klonowicza, bądź też w całym szeregu niezmiernie niegdyś popularnych piosenek na temat „flisaczej dziatwy" płynącej tratwami do Gdańska, lecz również i w zachowanych bodajże do dziś dnia takich materialnych świadkach owego handlu, jak potężne spichrze w Kazimierzu nad Wisłą.

Nie każdemu natomiast wiadomo, że z Gdańskiem handlowały nie tylko ziemie objęte systemem wodnym Wisły i jej dopływów, lecz również i tereny położone stosunkowo daleko od tego systemu.

Tak na przykład, jeśli w utworach Mickiewicza, poza cytowanym już proroctwem, spotykamy jeszcze parokrotne wzmianki o Gdańsku, to nie należy w tym dopatrywać się śladów jakichś wiadomości zaczerpniętych przez poetę z lektury książkowej, lecz echa żywej jeszcze za jego czasów w rodzinnych jego stronach tradycji o stosunkach panujących w epoce przedrozbiorowej, a nawet i nieco późniejszej, jak i tego, co mógł on był jeszcze oglądać własnymi oczyma.

Nie możemy z braku źródeł przytoczyć danych cyfrowych, obrazujących rozmiary tego handlu. Ograniczymy się tedy jedynie do próby skreślenia ogólnego jego charakteru.

Z dwoma głównie miastami portowymi handlowała ówczesna Nowogródczyzna: z Królewcem i z Gdańskiem. Z pierwszym komunikacja była mało skomplikowana i odbywała się za pośrednictwem wód Niemna i takich jego, gęsto stosunkowo kraj poety przecinających dopływów, jak: Usza, Dźwieja, Serwecz, być może nawet i Ruta, i Niewda, no i — odrębny kierunek biegu mająca — Szczara.

Trasa do Gdańska wiodła początkowo tymi samymi szlakami, po czym porzucała koryto Niemna, aby poprzez Kanał Augustowski, Narew i Bugo-Narew osiągnąć koryto Wisły.

Środki przewozowe, jakimi posługiwano się przy tych transakcjach, były kilku rodzajów. Drzewo spławiano głównie w postaci tratew. Do przewozu natomiast zboża i innych towarów używano, zależnie od szerokości i głębokości danego szlaku wodnego, łodzi odpowiedniego „tonażu". A więc, na mniejszych rzeczkach — zwykłych łodzi i wicin, na większych — „strugów" i „batów". W miarę osiągania szerszego szlaku wodnego następował w najbliższej przystani przeładunek do bardziej pojemnych łodzi. Do tychże przystani dostarczano również towary drogą lądową z okolic leżących z dala od dogodnych szlaków wodnych. Zachowały się dokumenty, z których dowiadujemy się, że tego rodzaju przystanie znajdowały się, między innymi, w Stołpcach, w słynnych Chreptowiczowskich Szczorsach, oraz w dalej jeszcze nieco w dół rzeki położonych Jeremiczach.

Mickiewicz już od najwcześniejszego dzieciństwa miał tysiączne okazje do przyjrzenia się temu ruchowi, jako też do przysłuchiwania się opowiadaniom osób, trudniących się omawianym handlem, o czynionych przygotowaniach do

drogi o przygodach doznawanych w trakcie długotrwałej żeglugi, oraz o wrażeniach wyniesionych z pobytu w owych wielkich miastach portowych. Najwięcej takich okazyj dostarczała mu żegluga odbywająca się korytem rzek Szczary i Serweczy, no i oczywiście — samego Niemna.

Rzeka Szczara bierze początek w jeziorze Kołdyczewskim, położonym tuż obok Zaosia, miejsca urodzenia i pobytu Mickiewicza w pierwszych latach jego życia. Wypływając z jeziora, Szczara z punktu już niemal jest sporą rzeczką, a w miasteczku Stołowiczach, położonym o jakieś 8—9 kilometrów od Zaosia, staje się w znacznym stopniu spławną rzeką. A ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa poeta nasz, co najmniej w ciągu jednego roku szkolnego uczęszczał był do miejscowej szkółki parafialnej, więc żegludze na Szczarze mógł się on był napatrzeć do woli.

W latach późniejszych głównym źródłem obserwacyj była dlań zapewne rzeka Serwecz, płynąca malowniczą, rozległą doliną, i wpadająca do Niemna nieco powyżej wspomnianych już Szczors.

Wody tej rzeki były specjalnie bliskie i drogie sercu poety. Wpadała do niej rzeczka Poruczanka, przepływająca przez wieś Poruczyn, gdzie Mickiewicz w młodości często bywał u miejscowego parocha Horbacewicza, późniejszego „Księdza z Cyryna" i „Księdza" z „Dziadów cz. IV", bawiąc się z jego synami, kąpiąc się w owej rzeczułce itp. Następnie, koło miasteczka Cyryna, do Serweczy wpada rzeczka Piotuchówka przepływająca przez zaścianek Horbatowicze, w którym mieszkali stryjowie poety i gdzie bywał on również częstym gościem. I tu więc miał on sposobność widzieć i słyszeć niejednego z ich sąsiadów, jakiegoś Horbatowskiego czy też Saka, pierwowzorów późniejszych Bartków-Prusaków, handlujących z nadbałtyckimi miastami portowymi.

Wody obu wyżej wymienionych rzeczek zlewały się za pośrednictwem Serweczy z wodami Niemna, przepływając w dalszym biegu poprzez Szczorsy. W tym więc dopiero świetle zrozumiałe stają się słowa, właśnie w Szczorsach napisanego sonetu „Do Niemna", gdzie Mickiewicz, pogrążony w rozpaczy po stracie Maryli, zwraca się do przepływającej u stóp jego rzeki z pytaniem:

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Do których przez kwieciste skakaliśmy błonie
I któreśmy czerpali w młodociane dłonie?

Przede wszystkim jednak Serwecz była droga poecie jako rzeka, nad której brzegami przeżył on zarówno chwile szczęścia jak i ból zawodów sercowych w związku ze swym pierwszym, dziecięcym jeszcze uczuciem dla jakiejś zaściankowej szlachcianeczki, oraz z późniejszą głęboką i tragiczną miłością do Maryli.

O owej szlachcianeczce mamy bardzo skąpe i sprzeczne wiadomości, zdaje się jednak, że we wspomnieniu poety osoba jej łączyła się z okolicami miasteczka Cyryna leżącego również nad Serweczą, o pięć kilometrów poniżej Tuhanowicz. W Cyrynie bywał Mickiewicz często w różnych okresach swej młodości, i tu mógł był poczynić wiele interesujących nas obserwacyj.

Najwięcej jednak odnośnego materiału mógł on niewątpliwie zgromadzić w czasie długotrwałych i częstych pobytów wakacyjnych w siedzibie Wereszczaków, Tuhanowiczach, gdzie ulubioną rozrywką licznie tu zazwyczaj zgromadzonego grona młodzieży było, między innymi, łowienie ryb na wędkę i kąpiel w Serweczy, pływanie łódką i spacery wzdłuż jej uroczej doliny. Zarówno w utworach poety, jak i w listach Filomatów, mamy na to liczne dowody.

A gdy przychodziły chwile zawodów miłosnych, Mickiewicz, ów „zapaleniec młody", jak sam siebie nazywa w dalszym ciągu przytoczonego sonetu, tymi samymi wodami Serweczy odpływał łódką w „dzikie ustronie", „sercu niespokojnemu szukając ochłody".

Jako dowód, że Serwecz w tych okolicach była już do pewnego stopnia spławna, służyć nam może ballada „Kurhanek Maryli", w której „obcy człowiek" płynący z „wiciną" pyta stojącą na brzegu rzeki dziewczynę:

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi
Co to za piękny kurhanek?

„Niemnowa odnoga", czyli dopływ Niemna, to właśnie rzeka Serwecz. „Zielona rozłoga" — to rozległa jej dolina. A ów „kurhanek", to do dziś dnia istniejący opodal brzegu Serweczy kurhan na błoniach cyryńskich. Pod tym samym kurhanem figurującym jako „pagórek", przysiada odpocząć Dudarz w tejże nazwy balladzie. Opowieść jego (podobnie jak i słowa Alfa w „Konradzie Wallenrodzie") świadczy, że poeta dobrze wiedział o istnieniu drogi wodnej, łączącej jego strony rodzinne z brzegami Bałtyku.

Dudarz, przybywający z Królewca, mówi:

Kiedym wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przypłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

Ów pasterz, to oczywiście sam poeta. Przed śmiercią zwraca się on do Dudarza z prośbą:

„Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie zobaczę",

to znaczy — Marylę. I Dudarz, idący Niemnem „jak Niemen długi, od wioseczki do wioseczki", przybywa do Cyryna, i wśród zgromadzonego tłumu ciekawych dostrzega „pasterkę" — Marylę.

A młody Alf, będący wyraźnie odbiciem samego Mickiewicza, opowiada o sobie:

Potem, w latach młodzieńczych, czegośmy z portu Kłajpedy
W łódkę ze starcem siadali, brzegi litewskie odwiedzić.
Rwałem kwiaty ojczyste.

Bardzo być może, że poeta stykał się również z ludźmi trudniącymi się handlem z portami bałtyckimi, bawiąc od najwcześniejszej młodości, nieraz całymi miesiącami, w Rucie, miejscu zamieszkania wielkiego przyjaciela i opiekuna rodziny Mickiewiczów, sędziego Rostockiego.

A już z wszelką pewnością twierdzić można, że szerokie pole do czynienia omawianych obserwacyj miał Mickiewicz w czasie pobytu w Szczorsach, a przede wszystkim — w Kownie, gdzie przesiadując godzinami na ulubionej swej ławeczce stojącej na wysokim brzegu Niemna, miał on przed oczyma wody swej „domowej rzeki", gęsto już w tym miejscu pokrytej zdążającymi w obie strony „strugami" i „batami", jak również i płynącymi ku morzu tratwami.

Poza tymi wiadomościami natury ogólnej mamy w „Panu Tadeuszu" kilka ustępów wskazujących na to, że wśród sposobów zarobkowania mieszkańców ówczesnej Nowogródczyzny handel z portami bałtyckimi zajmował wcale poczesne miejsce.

Oto, w trakcie narady, jaką zgromadzona w Dobrzyniu szlachta odbywała przed wyruszeniem na zajazd Soplicowa zabiera, między innymi, głos Bartek-Prusak występujący w obronie Sędziego Soplicy:

Z kolei, Bartek poseł rzecz swą wyprowadzał;
Ten, że często na strugach do Królewca chadzał,
Nazwany był Prusakiem od swych spółrodaków
Przez żart, bo nienawidził okropnie Prusaków,
Choć lubił o nich gadać; człek podeszły w lata,
W podróżach swych dalekich wiele zwiedził świata.

W toku tej przemowy mówi on wyraźnie o swych stosunkach handlowych z Gdańskiem:

Pamiętam, kiedy przeszli Francuzi przez Wartę,
Bawiłem za granicą wtenczas, w roku Pańskim
Tysiącznym osiemsetnym szóstym; właśnie z Gdańskiem
Handlowałem.

Na jego próbę wybielenia Sędziego, Klucznik Gerwazy, stronnik Horeszków, replikuje:

Panie Prusak! że Waszeć Sędziowską handlujesz
Parą wicin mizernych, to już zań gardlujesz?
Zapomniałeś, Mopanku, że ojciec Waszecin
Spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin?
Stąd się zbogacił i on i jego rodzina;
Ba, nawet wszyscy, ilu was tu jest z Dobrzyna.

Cóż jednak stanowiło obiekt tego handlu?

I znów brak pod ręką potrzebnych źródeł nie pozwala nam dać tu szczegółowszego wykazu wywożonych i przywożonych towarów. Zaznaczymy więc

jeno, że poza spławianym pod różnymi postaciami drzewem i takimi otrzymywanymi zeń produktami jak smoła i żywica, przedmiotem wywozu było zboże, ziemniaki i inne produkty rolne, jak na przykład len i konopie. Dalej — jaja, masło i sery, oraz różnymi sposobami konserwowane mięso (jako swego rodzaju osobliwość podajemy, że na ziemi poety przechowywano w beczkach, niby kiszone ogórki, solone dzikie kaczki bite masowo na miejscowych błotach).

Wywożono następnie, zapewne, i znakomite „więdliny" litewskie, wszystkie owe soplicowskie „kumpie" i „skrzydliki ozoru". Dalej — słoninę i łój. Zapewne również miód, wosk, jabłka oraz inne trwałe owoce i ich przetwory. A obok tego wytwory miejscowego przemysłu ceramicznego, płótno, wełnę i samodziały. Być może także i słynne gobeliny korelickie i pasy słuckie. Wreszcie — półwyprawne skóry, kożuchy i futra.

Z Gdańska zaś i z Królewca sprowadzano wszelkiego rodzaju wyroby fabryczne, jako to: narzędzia rolnicze, zapewne meble, i inny, bardziej skomplikowany sprzęt gospodarczy. Następnie przywożono materiały łokciowe, odzież, obuwie i galanterię. A obok tego — towary kolonialne: herbatę, kawę, wszelkie przyprawy kuchenne, wina, no i — jeden z najprzedniejszych wówczas trunków — słynną wódkę gdańską, do której, sprzedawanej w butelkach, wkładano podobno dla smaku listki prawdziwego złota.

Wszyscy pamiętamy jak w balladzie „Pani Twardowska" małżonek jej Twardowski podochociwszy sobie w karczmie

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki.
Cmoknął: cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Drugą wzmiankę o tejże wódce znajdujemy w „Panu Tadeuszu", w scenie polowania na niedźwiedzia. Tu, po mistrzowskim opisie sposobu gotowania bigosu, i po wymienieniu zalet owego gdańskiego trunku, Mickiewicz w sposób zaiste cudowny, wydobywa naraz z tych prozaizmów na wierzch głęboką nutę patriotyczną: proroctwo, jakie się właśnie w naszych oczach spełniło. Posłuchajmy:

...Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy
(Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka),
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka;
„Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę,
Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze!"
I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

I oto Gdańsk znów jest nasz, i wierzymy, że takim na zawsze już pozostanie.

OSTATNIE LATA MICKIEWICZA

Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski:
Polały się łzy me czyste, rzęsiste...

Smutny lozański wiersz-spowiedź obrywa się jakby. Po „wieku męskim" już nie mamy nic. Lub mamy nawrót do refrenu o czystych łzach skruchy pokornej...

Nie ma w wierszu lozańskim przeczucia starości. Może tych przeczuć nie było w momencie lozańskiego rozeznania Losu. A może były przeczucia bolesne, którymi już zwierzać się nam Mickiewicz nie chciał... Bo chyba o soplicowskim zgonie ten, który o wieku męskim „wiek klęski" pisał — nie marzył dla siebie. Triumfu w śmierci się nie spodziewał.

Rzecz znamienna: historiografowie Mickiewicza — wszyscy, wraz z najgłębszym historiografem — poetą Wyspiańskim, wiersz lozański traktują niejako jak testament. Poza wiek męski, wiek klęski — nie wykraczają. Jest w tym nieświadoma nielojalność wobec życia wieszcza — życia, dokonanego przecież tam, w Konstantynopolu.

Wyspiański, co najgłębiej docierał do prawdy o życiu Adama, właściwie na legionie włoskim się zatrzymuje. Tam szuka szczytowego punktu tradegii owego życia i tam katastrofy — czyli, jak widzimy, lozańskie rozeznanie Losu *(anagnorisis)* za katastrofę uznaje. Katastrofę, przypominam — budzącą grozę i współczucie — konieczne czynniki — *katarsis*...

I taki dotychczas był dla nas obraz czy „widowisko" życia Mickiewicza. Obraz niepełny. A przecież prawdy o życiu Mickiewicza nie otrzymamy bez poznania i rozpoznania wszystkich scen tego życia. A może zwłaszcza życia tego konstantynopolitańskiego dokonania i konstantynopolitańskiej katastrofy zarazem.

Nie danym było Mickiewiczowi skończyć na wieku męskim. Czekała go jeszcze starość. O tej starości Mickiewicza nic już nie wiemy. Przeświadczeni jesteśmy, że w pełni sił odszedł. Że mu odebrano kielich goryczy, jaką jest starość... po życiu sielskim, chmurnym, durnym i klęski. Przeświadczeni jesteśmy (i Wyspiański nas chce o tym przekonać), że ten konradowo dumny samotnik

nie doznał za życia innego jeszcze boleśniejszego osamotnienia, niż tamto własnowolne. Klęska wieku męskiego — istotnie na tej konradowej samotności polegała. Ale nie udręka starości. Starość Mickiewicza... Nie przyszła, ale wybuchła, można powiedzieć, po przegranym roku 1848. Roku klęski nie dla samego Mickiewicza. Rok 1812, — rok 1848. Dwa pamiętne lata. Ale jakże różne, diametralnie różne, mimo że każdy po swojemu był piękny. Po r. 1848 Mickiewicz zaczął się starzeć. Spostrzegali to wszyscy. Wzrok Mickiewicza tracił ostrość konradową. Pamiętamy ten potężny wzrok, co umiał gwiazdy wstrzymywać w ruchu. Zwykliśmy w zamgleniu oczu starego Mickiewicza doszukiwać się mistycznej zaświatowości. Było i to, ale przede wszystkim był smutek... beztwórczości.

Smutna, niebywale smutna była starość Mickiewicza. Mąż, ojciec, emigrant... Nie było szczęścia, spokoju, nawet spokoju sumienia w domu Mickiewiczów. I to nie tylko dlatego, że go nie było w ojczyźnie. Nie tu jest miejsce na rozważanie tajemnicy domu Mickiewiczów. Zresztą — ta niedawno z okrutną niedyskrecją wysunięta sprawa Ksawery Deybel, to czynnik jeszcze męskiej klęski (ma się rozumieć, czynnik nieprzewidziany w Lozannie, a więc i nie „opłakany czystymi łzami"). Po roku 1848 były już tylko uczuciowe, moralne i duchowe skutki tej sprawy. Była przede wszystkim krzywda Celiny. Teraz dopiero dawało się we znaki małżeństwo, zawierane z dziwnych, egzaltowanych samarytańskich wyrachowań, a przecież bez miłości dla tej dumnie obdarowywanej współczuciem i... przebaczeniem. Uleczona cudownie (?) Celina, czy po prostu unieszkodliwiona w swych okresowych napadach nieszczęsnych pobudzeń może za cenę wielkiej ofiary ze strony Adama (pod wpływem Towiańskiego, zabierającego chorą do domu) — już wtedy, w latach 1848—53, była spokojna. Wiele robiła miłość dla dzieci, miłość, której dała przykład heroiczny, święty w czasie walk rewolucyjnych 1848 roku. Ten heroizm żony Mickiewicza jest chyba dopełniającą i odwrotną stroną czynu rzymskiego, dla którego spełnienia nie wahał się Mickiewicz dzieci pozostawić na los opatrzności.

Do smutku starości Adama dochodził, pogłębiając go, zarażając też częściowo, nienormalny smutek starzejącej się chorej Celiny. Dzieci, a zarazem nędza tego domu. Nędza upokarzająca, mimo wszystko i dlatego skrywana, przez wielu za chorobliwe skąpstwo dziwaczejącego Adama poczytywana. Nie, nie znamy i dziś, w dobie kryzysu, takiej nędzy „literata". Ta nędza mówi już wiele o odosobnieniu, o obojętności. Zapomniano o niespokojnym z ducha „wieszczu" i „mistrzu".

W legendzie mickiewiczowskiej wszystko to inaczej wygląda. Nawet w tragicznym widowisku *Legionu*. Ale w tym szkicu idzie mi o wmyślenie się w życia proces realny.

Dwoje przedwcześnie starych ludzi, przedzielonych od siebie krzywdą i koszmarnymi wspomnieniami z czasów choroby. A wokół garstka zmizerowanych, zaniedbanych i chyba też nad wiek posmutniałych dzieci. Półtora roku temu, siedząc nad jakąś książką, potrzebną mi dla badania genezy III części *Dziadów*, w paryskiej „Bibliotece Narodowej", niespodziewanie zetknąłem się z postacią

Józefa Mickiewicza. Spojrzałem na tego dziwacznego z wyglądu i o niesamowitej twarzy człowieka i zrozumiałem, że tak musiał wyglądać jego ojciec w najsmutniejszej epoce swego życia. Wtedy gdy się nagle zestarzał. Ta sama abnegacja, ten sam nade wszystko nie zaświatowy tylko smutek w oczach. Gdy przyglądałem się Józefowi Mickiewiczowi, zrozumiałem także, jak pozorne było tylko podobieństwo do ojca Władysława — człowieka raczej o poczciwej, trochę złośliwej, ale pozatragicznej twarzy...

Nie winmy zbytnio emigracji, że zezwoliła na takie osamotnienie Adama. I ona zestarzała się w tym czasie okropnie. Czartoryski, Lelewel, Mickiewicz — toż to wszyscy już ludzie, w smutku starości wyczekujący na kres emigracyjnego życia... Ucichły kłótnie, swary, namiętne walki partyjne. Zapadał mrok wegetacji dla wszystkich.

1848—1855 — to najstraszniejsze lata. I tu i tam — i w kraju i na emigracji. To przygotowywanie się konstantynopolitańskiej katastrofy. A proces ten tak szybko postępował, że gdy wybuchła wojna krymska, gdy i wrogowie i przyjaciele Polski spodziewali się, że powstanie wybuchnie, gdy rząd rosyjski był nawet możliwościami takiego powstania wyraźnie hamowany w swych posunięciach — wymęczona i umęczona Polska prawie nie drgnęła. Wiele się mówi o winie starego Czartoryskiego, o winie „dyplomatów", co przegrali krymską okazję. Jest w tym tylko część racji.

Na dręczące pytanie, dlaczego Polska w 1853—5 roku nie powstała i tym już *a priori* przesądziła porażkę 1863 roku — tragiczny człowiek tego powstania nieudanego, odszczepieniec z rozpaczy Oscar Aweyde — odpowiada najprościej: „Do tego stopnia byliśmy bezsilni..." Ta inna część racji naprawdę polega na winie „dyplomatów", generałów dyplomatyzujących, dumnych jeżeli idzie o swoich, zbyt łatwych, jeżeli idzie o zawierzanie się obcym agenturom.

Nie było swarów namiętnych. Były drobne ale bolesne zagryzania się. Brać emigracyjna boczyła się na siebie, odsuwała się od wszelkiego życia społecznego i zamierała psychicznie w beznadziejnym odosobnieniu. Cóż dziwnego, że Mickiewiczowie żyli w nędzy i opuszczeniu. W ojczyźnie nie tylko szczęścia, ale życia brakło.

I w takiej chwili, czy w takim raczej czasie — wojna krymska wybuchła. Wybuchła nie tam, gdzie się jej spodziewano. Na nieznanym, obcym, dalekim Wschodzie. Nie żadna wojna ludów, ale jakaś rozgrywka między dyplomatami, do której jako hasła wojenne wciągnięto nieszczerze sprawę ludów i ich niepodległości państwowej, już *ex post*, gdy do rozgrywki doszło. Jakże zawiła, skomplikowana sytuacja polityczna. Wojna, której nikt nie chciał. Wojna, która nikomu nic nie dała. Wojna imperialistyczna, można powiedzieć, najbardziej karygodna. A w gruncie rzeczy imperializm wówczas najczynniejszy — rosyjski — obosiecznie ugodził w samą podstawę carskich rządów. Niepotrzebna wojna miała jednak sens ukryty: była początkiem wielkiego kryzysu, który dziś dopiero wyrasta do rozmiarów historycznego przesilenia.

Nie na taką wojnę europejską tęsknie wyczekiwał Mickiewicz. Ale i ona go obudziła. Starzec nie wahał się, tak jak wtedy, w początkach swego wieku mę-

skiego, wieku klęski. I nie licząc teraz na jakieś możliwości stwarzania wokół siebie gromadki straceńców, pokornie wyjechał, przez dyplomatów zaciągnięty, opłacany i karygodnie porzucony. Cóż — był zgrzybiałym, samotnym i osamotnionym człowiekiem...

Nawet i nędza przyszła tam za nim. Upokarzająca, a co gorsze — odbierająca spokój sumienia, nędza straszniejsza niż paryska. Tam w Paryżu, już nawet bez heroicznej matki pozostały dzieci, porozdawane na wychowanie do obcych ludzi. Wysyłał im prawie wszystko co miał. A sam lekceważąc swój stan zdrowia, lekceważąc i to, że wokół grasuje cholera — żył już, jak ostatni rekrut, jadł gdzie mógł, spał na ziemi. Ćmił swą fajkę i przed innymi udawał nadal skąpca, dziwaka. Życiem takim prowokował los, do strasznej cholery sam ręce wyciągając.

(Rafał Blüth — „Konstantynopolitańska katastrofa", Droga 1932)

* * *

Później, później, kiedy do Europy powróciłem, Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastylii, w gmachu biblioteki arsenału, gdzie i bibliotekarzem był. Miejsce to przepowiedziany przez niego człowiek z dynastii Wielkiego Napoleona (dzisiejszy imperator francuski) ofiarował świętej i wiekopomnej pamięci Adamowi Mickiewiczowi — miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla familii licznej poety przynoszące, a ofiarowane mu, zdaje się, dobrze już potem, kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor Kolegium Francuskiego, Adam Mickiewicz i mało liczni inni odmówili przysięgi na wierność imperatorowi francuskiemu. Około to późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy bibliotekarz do imperatora napisał też Horacjusza językiem odę, nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to krótko przed misją na Wschód, na jaką z bibliotekarstwa udał się był pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu biblioteki arsenału, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennymi schodami. Było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę ze sobą miałem. A szedłem go przywitać, więcej niż kiedykolwiek serdecznie, bo bliżej... bliżej zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że wspominał mię, kiedy w Ameryce zostawałem; a kiedy tam odpłynąłem, powiedział tylko komuś: „To on tak, jakby na Pére Lachaise pojechał..." co że zrozumiałem, było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie i dlatego też przyjemnie szedłem przywitać go. Wesoło spojrzał na mnie i uścisnął i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy myślałem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu pan Adam poprawiał nieco węgle kijem.

Ubrany był pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowym suknem powleczone, które, skąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kroju, podżyłości, pytanie ciekawe — bowiem była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach, dobrze od Warszawy oddalonych. W pobliżu wisiała

piękna rycina, przedstawiająca św. Michała Archanioła podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie, czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest, tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Dominikina oryginalny rysunek, komunię św. Hieronima przedstawiający; jeszcze także rycinka mała, z Napoleona I-go przed generalstwem jego portretowana, a pod nią dagerotyp mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym, jak chodzą francuskie inwalidy — a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków, ostatniej wojny... Na biurku zaś, od czasu niedawnego dopiero widzialne u pana Adama dwa niedźwiedzie pasujące się — odlew z gipsu.

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak, że drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań — wrócił więc na jakie półtory godziny jeszcze, przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał był gdzieś iść jeszcze onej półtorej godziny pierwej. Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc, że nieświadomość prawdy tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy, śmierci dotyczących... Aż, kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzie indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi: „No... adieu!" Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie żegnał mię był, a tylekroć razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta, i na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo „... Adieu!"

Przypadek zrządził, że nie mogłem widzieć odtąd pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał — słowem, że to ostatnie było ono dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co, aby jaśniejszym było, dodać trzeba, że nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nie tylko co mawiał, ale i jak mawiał, zatrzymywało się w pamięci...

(Cyprian Norwid — „Czarne kwiaty")

* * *

Te kilka słów relacji ostatnich chwil ś. p. Adama Mickiewicza spisuję jedynie dla stroskanej familii Jego; zgon ten pokrył całą Polskę żałobnym całunem — nim wieki przyszłe wydadzą nam równego męża; teraz już i długo krążyć mogą rozmaite domysły często fałszywe a za prawdę rozgłaszane wypadki. Bo ten nagły przedwczesny zgon Geniusza, Ulubieńca Narodu dla Polski, dla tych co go znali, a dla opłakujących sierot dla świata całego będzie ciągle w myśli, w rozpamiętywaniu.

Ś. p. Adam Mickiewicz od 9 Listopada zamieszkał w Konstantynopolu na Papas-Kiprusz, a zaś 17 dni przed zgonem — zupełnie zdrów, czekając tylko pogodniejszego czasu do wyjazdu w dalszą drogę do Serbii, najmniejszego znaku żadnej choroby ani indyspozycji nie spostrzegłem. Zajęty ciągle rozmo-

wami z rodakami lub też ze Sławianinami, literatami, duchownymi, wojskowymi, podróżnymi w tych stronach garnącymi się na wieść pobytu męża tego w Konstantynopolu — przepędzał czas ten w oczekiwaniu do dalszej podróży — nadto o ile mogę się domyślać z kilku słów rzuconych, oczekiwał na jakąś korespondencję; wspomnieć tu muszę, iż po zgonie wartując święte zwłoki przez dni 32 rozpamiętywałem najdrobniejsze szczegóły nocami — od 18-go na 19-go listopada, w której napisał dwa listy treści politycznej tyczące się organizacyj polskich na Wschodzie, był mocno zadumającym się i to często, prawie każdej nocy przebudzony rozmawiał w materii tyczącej Polski lub domowych jego familijnych wspomnień i interesów — o nieboszczce żonie bardzo wiele i często o dzieciach, ich przyszłości, charakterze i tak np. że ...Aleksander twardego ciała, dobry w gruncie zdaje się, że być może żołnierzem, a że mu wszędzie dobrze będzie — taki jest zakrój jego charakteru. Jan to francuz — da sobie zawsze radę — najwięcej o Józiu, że ten stworzony poetą i z westchnieniem dodawał, gdyby to dziecko mogło tak jak my na wsi wychowywać się z naturą lecz wiejskich wrażeń[?], to pewny jestem, że byłby poetą prawdziwym narodowym — tu dodawał, żeby mógł być z Helenką, to by go w dzieciństwie najlepiej pielęgnowała. Nad córkami żadnych uwag nie robił. Jak mówiłem czas był brzydki, zimno, deszcze ciągłe szczególniej ostatnimi dniami przed dniem fatalnym — tak że parę dni nie wychodził z domu na zwykły obiad na Pera, między godziną 4-tą a 5-tą z południa; 26 listopada o 7 rano wstał raptem z łóżka mając niby mdłości ku womitom, ja przystąpiłem prosząc by język pokazał — odrzekł mi, że to nic, to żółć i zaczął się śmiać mówiąc: ty tak widzę jak Józio w czasie choroby matki — kto tylko się do domu pokazał pytał: „pokaż język". — Z nienacka zaraz śród rozmowy potocznej natrąciłem, żeby może nieźle było doktora się zaradzić — może by uznał potrzebnym dać na przeczyszczenie lub ziółek jakich „Daj pokój to nic — ot każ mi prędzej dać kawy". Wypił jak zwykle koło 8-mej szklankę kawy z koniakiem, gęstą śmietanką, bez cukru i z małym jak dwa palce kawałkiem chleba, zaczął tytoń palić — koło 10-tej z rana wszedł Pułkownik Kuczyński (Skinder-Bey) — rozmawiał długo z ogniem o Polszcze, Polakach, o Melekli-Alim, o Egipcie, bo Kuczyński przyszedł z pożegnaniem. — O godzinie 4-ej zapytał czy obiad przygotowano, że ma apetyt i prosił mnie, bym mu przyniósł butelkę Bordeaux, bo go czuje potrzebę; wyszliśmy tedy oba z Kuczyńskim — ja prosiłem Bednarzyckiego, który tam nadszedł, by chwilę został z Panem Adamem — lecz dla niczego, by mu tylko skrócić czekanie na obiad: — we 20 minut za powrotem zastaję gospodynię domu przy łóżku, która mi opowiada, że P. Adam chciał wstać i omglał. „Słabo mi coś — mam w żołądku kurcz — lecz to przejdzie". Nadbiegł Bednarzycki z doktorem Gembickim, którego na ulicy spotkał — doktór posłał po krople do apteki — nim te przyniesiono, zaczął P. Adam skarżyć się mocniej, że mu źle i natychmiast zachrypł — i już cicho ze mną rozmawiał. Po 5-ej łyżeczce kropli powiedział, że mu lepiej, tylko żeby chciał trochę zdrzymnąć. Po kilku minutach spokoju kazał mi zapytać Doktora, czy jest jakie niebezpieczeństwo — przyjął łyżeczkę kropli — doktór zapytany

przeze mnie odpowiedział: „Ja nie mam wielkiej nadziei uratowania" — struchlałem, lecz rzekłem Panu Adamowi: „Niebezpieczeństwo może zagrozić, gdy się choroba wzmoże, więc nie trwożąc się trzeba lekarstwo brać" — uśmiechnął się na to — po chwili zawsze przytłumionym głosem powiedział: „Weź papier i pióro, będę dyktował". Gdym stanął z papierem przy łóżku dla pisania: „Nie — źle mi — obacz czy nogi i ręce nie sinieją — chciałbym trochę usnąć" — tu pokazał mi palec wskazujący prawej ręki: „Patrz, zgiąć go nie mogę" — na to zgiąłem palec — „aha" —— ręce były zimne — nogi już gorącą wodą ogrzewaliśmy — „Poślij mi po księdza Ławrynowicza" — doktor tymczasem całe ciało pookładał synopizmami — przyjechał Ławrynowicz z Drozdowskim doktorem — wpadł Kuczyński — doktor 3-ci Narkiewicz, dalej 4-ty Szóstakowski. — Już z księdzem nie mógł mówić — tylko na moje prośby czy nie ma co powiedzieć dla dzieci, rzekł słabo: „Powiedz im, niech się kochają" i po pewnym przestanku dodał: „zawsze".

To były ostatnie słowa Adama Mickiewicza. Opuściłem tylko, że przed chwilą kiedy doktorowie i ja nalegaliśmy, by przyjął lekarstwo, dał mi znak ręką i mówił: „Czego oni chcą ode mnie, wypędź ich — ja chcę spocząć" — potem jeszcze widząc nalegania rzekł: „daj mi noża, ja chcę spokoju". Z wielkim trudem uradzili doktorowie, by koniecznie dać lekarstwo przez enemę. W tej chwili przybył P. Levi, towarzysz nasz w podróży. Doktor Drozdowski sam zaczął bardzo mocno nacierać wszystkie członki spirytusami jakimiś — i ja mocno tarłem. Wtedy ksiądz na zdanie doktorów, że źle bardzo, dał ostatnie namaszczenie. Od tego momentu miał P. Adam fizjognomię drzemiącą, nic nie zmienioną — puls widocznie niknął — modliliśmy się — nareszcie przed 9-tą wieczorem na kilka minut, Bogu ducha oddał.

Było osób przytomnych jedenaście: Kuczyński, ksiądz, ja, P. Levi, Bednarzycki, kapitan Rudnicki, kapitan Perkowski, Duchiński, Gembicki, Narkiewicz i Szóstakowski.

Spisując to żadnych uwag sam nie robię. Co inni ludzie mogą gadać, pisać, to ich zdania lub domysły. Nieszczęście tak się stało, nie inaczej.

(Henryk Służalski — Relacja o śmierci Mickiewicza spisana dla rodziny)

* * *

Dzień był grudniowy, posępny, mglisty. Mgła niekiedy zmieniała się w drobniuchny deszczyk, który mżył i moczył. Ulice zalewało błoto. W ścisku nie można się było parasolami osłaniać. Depcąc błoto i moknąc, posuwaliśmy się powoli za wozem, który krok za krokiem ulicami wąskimi, wydobywał się z niziny jeniszerskiej, pod górę perotską i kiedy na górę wyciągnął, odsłonił się oczom naszym widok o ile niespodziewany, o tyle rzewny. Wydawało się nam, żeśmy sami Polacy. Pokazało się, żeśmy się mylili. Poza nami, niby rzeka ujęta w łożysko uliczne, płynęły tłumy ludzi, okrytych turbanami czarnymi. Okiem ich ogarnąć nie można było. Czoło kolumny tej nas dotykało, koniec

gubił się gdzieś w dali niedojrzanej. Ludzie szli w milczeniu, w skupieniu ducha, znamionującym udział w przejmującym nas żalu i smutku. Niespodziankę tę sprawili nam Bułgarzy. Uczcili oni w nieboszczyku geniusz poezji słowiańskiej. Śród nich, z osobistości, które skutek wypadków ostatnich na wierzch się wydostały, przypominam sobie Dragana Cankowa.

Nie sami oni jednak, spośród ludności Konstantynopol zamieszkającej, na eksportacją się stawili. Nie było jeno Turków i okrom ich atoli, wszystkie zresztą narodowości miały swoich w orszaku przedstawicieli. Widziałem Serbów, Dalmatów, Czarnogórców, Albańczyków, Greków, Włochów, Bułgarzy zeszli się najliczniej.

Na ulicy Pera, nieopodal od gmachu ambasady rosyjskiej, znajduje się zamaskowany od frontu domami kościół katolicki. Przed kościołem karawan się zatrzymał. Wniesiono do środka trumnę i setna część ludzi wcisnąć się za nią i wysłuchać nabożeństwa żałobnego nie mogła. Reszta w szeregach ścieśnionych, w błocie i wilgoci, przed kościołem czekała, aż się ceremonia religijna skończyła i wóz ruszył dalej. Znowuśmy szli przez Perę, Galetę do Tophanè, gdzie się znajdowała przystań dla kaików i łodzi, obsługujących statki do Konstantynopola przybywające i z Konstantynopola odchodzące. Trumnę przeniesiono na łódź dużą, za wczasu na ten cel zamówioną. W łodzi ulokowali się ksiądz w komeżce z krzyżem w ręku i osób kilka.

(Tomasz Jeż — Szczegóły niektóre o śmierci i eksportacji zwłok Mickiewicza w Konstantynopolu).

* * *

Pan Adam już odszedł od nas. Na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem i żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów ale z serc tylu żywych i krwawych, f i l a r to b y ł o l b r z y m i, choć rozpękły sam, a teraz dołamał się i runął w przepaśü. I całe sklepienie ono zadrżeć musi, i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem! Największy wieszcz, nie tylko narodu ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje.

(Zygmunt Krasiński w liście do Adama Soltana, 5. XII. 1855).

„LUD WE ŚNIE LEŻY..."

— ... du hast Glück bei den Frau'n, Bel-Ami...
— ... Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży:
— ... Bel-Ami, Bel-Ami, Bel-Amiii!...
— ... Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię...
— Schön ist die Nacht...
— — ... i lud we śnie leży...

— *Fajne*, co?

Podnoszę głowę znad książki. Megafon radiowy po przeciwnej stronie podwórka, u tych niemców z pierwszego piętra, chlapie dalej pomyjami *szlagierów*. Baśka, córka mojej gospodyni, oderwała na chwilę rozmarzoną twarz od okna i, zwrócona do mnie, ponawia pytanie.

— *Fajne*, co?

— Co?

— Ten „fox": tatámtatáta tatámtatáta... — wystukuje bucikiem rytm.

— Nie, Basiu! nie „fajne".

— E, co wy się znacie! — obrzuca mnie i Tadka lekceważącym spojrzeniem.

Tadek przynagla:

— Witek, kończże już i chodźmy! Spóźnimy się szkaradnie! — Wpadł po mnie po drodze na „zebranie" i od pięciu minut stoi nade mną, jak kat nad skazańcem. — Słuchaj!... podnosi palec — nie jestem sam...

Rzeczywiście z podwórka słychać świetnie naśladowane szczekanie psa. Uśmiecham się:

— Ach, Jasia! Czemuż nie weszła z tobą? Zmarznie tam.

Jasia to żona Tadka. „Szczekanie" to jej jedyny niewinny nałóg. Ale i „ludzkiego" głosu niemniej doskonale umie używać: pierwsza recytatorka w naszej „paczce".

— Już idziemy! Jeszcze te zakładki do cytatów... *Dziady*, *Korespondencja Filomatów*, *Pamiętniki*... Spotkałem Marysię, wiesz? — nie przyjedzie ani dziś, ani jutro: Wyznaczyli ją na nocny „dyżur przeciwlotniczy" w fabryce. Heca, co? Nasza *Rollissonowa* z osęką.

Szczekanie na podwórku ponawia się ze zdwojoną siłą. — Upycham w teczce ostatnie książki i papiery, podczas gdy Tadek stuka niecierpliwie parasolem o podłogę.

— Do widzenia, Baśka.

Milczenie. — Odwracam się: Basia spogląda na nas z jakąś mieszaniną arogancji, zazdrości i smutku. Ułożyła wargi do gwizdania, ale jej jakoś „nie wychodzi". Hm, trochę mi jej żal.

— A ty nie wybierasz się dzisiaj nigdzie?

— A nie. — Mieliśmy iść do kina, ale ten Heniek, gapa, „zawalił sprawę" z biletami. Parszywy świat. — Ziewa szeroko, z przesadną ostentacją. — Kiedy wracasz? — W ostatnim pytaniu drży jakaś świeża nuta. Moje współczucie podnosi się o kilka kresek i niespodzianie nawiedza mnie pomysł.

— Baśka, przeszłabyś się z nami?

— A gdzie? na „pohulaj"? — ożywia się momentalnie.

— Nie. — W krótkich słowach wyjaśniam, co i jak. — Kręci odrobinę nosem, ale się decyduje. — No i — zwracam się do Tadka — mamy *Rollisonową* nr 2, „do dublowania".

— No... — replika Tadka rozpływa się w złożonym i nieokreślonym bliżej geście. Unosi wysoko brwi, odwraca parasol i wpatruje się w jego okucie z takim skupieniem, jakby tam dojrzał resztkę mojego zdrowego rozsądku, w który zapewne zwątpił.

W ostatnim blasku rudej zorzy, gasnącej nad podwórzową studnią, dostrzegamy Jasię. — Głośnik radiowy na pierwszym piętrze milknie nagle. Widocznie „ci niemcy" wychodzą z domu również, inaczej nie wyłączyliby radia. Wrzeszczące pudło jest dla nich nieodzownym składnikiem „kultury" i warunkiem *Gemütlichkeit*. Nie są egoistami, o, nie. Przez cały sezon letni stawiali radio w otwartym oknie. Beztroskie trele *Tanzmusik* i zachłystujący się samouwielbieniem bełkot *Wehrmachtberichtów* kłębiły się w dziedzińcu od rana do późnej nocy. Na balkonach strzelały cekaemy dywanowych trzepaczek, krawiec Staniewicz darł się *Wołga, Wołga*, stolarz na parterze zbijał trumnę, dzieci od stróżki przedrzeźniały maszerujących żołnierzy z *„Heili-heilo"*, a radio zapewniało hałaśliwie o „wiktorii". Potem Staniewicza zamknęli, stolarz pewnego dnia umarł bez widocznej przyczyny, lecz Justynki, Zośki i Kasie trzepały dywany dalej, a radio grało walce z *Wesołej wdówki* i obiecywało szczęście *„für ganz Europa"*.

W bramie wyjściowej ocieramy się o dwie okazałe wyfutrzone postacie. Zawiało ostrą perfumą. Tadek niechcący szturknął parasolem w łydkę eleganckiego pana. Obustronne skinienie głową: „Przepraszam" — „Bitte". Aha! — Rozchodzimy się w dwie różne strony. Tadek wywija parasolem, jak halabardą. „Cholerne „G. G.". Uśmiecham się mimo woli. Parasol i ten czarny, niby księży kapelusz Tadka! Jego „patentowana metoda": „Trzeba wyglądać nieco oryginalnie, wtedy się ma większe szanse. Z w y k ł y c z ł o w i e k bardziej szkopom p o d p a d a. Taki kapelusz, widzisz, zapewnia respekt, a taki familijny deszczochron usypia podejrzliwość. Do tego małżonka przy boku i to małżonka też nie-z w y k ł a, bo w okularach... powiadam ci: P. K. O.; pewność i zaufanie; mur-żelbeton..." — No, okazało się potem, że nie bardzo. System „nawalił" i Tadek, bojowy poeta, niestrudzony aranżer „biesiad literackich", amatorskich „inscenizacyj", bezpłatnych „lekcyj" literatury i historii polskiej, Tadek — w jednej osobie trochę pisarz, trochę teatrolog i teatroman, trochę belfer, trochę fantasta (od tysiąca i jeden pomysłów), a poza tym: Tadek — chodząca i dosłownie „lotna" wypożyczalnia zakazanych książek — inspirator, patron i mecenas naszych „zebrań" — musiał pewnego dzionka „nawiać" do jakiejś podhalańskiej Pipidówki, bez bagażu, bez parasola, a nawet bez żony w okularach...

Na razie jednak nic nie wróżyło niebezpieczeństwa. Nijaki, jesienny dzień wycieka resztkami szarości z zaciemnionej ulicy, jak przedwczoraj, jak wczoraj, jak jutro zapewne — chodzi tylko o to, by „piątka" zjawiła się nareszcie, bo mamy kawał drogi, na drugi koniec miasta, a już dość późno.

— No więc co ty masz właściwie na dzisiaj? — pyta mnie Tadeusz. Zaszyci w najciemniejszy kąt tramwajowej platformy możemy względnie swobodnie porozmawiać — „Nasze panie" siedzą wewnątrz wozu i już widocznie doszły do porozumienia, sądząc po zainteresowaniu, z jakim oglądają swoje sznurkowe torebki i dzielą się sekretami ściegu i wiązania.

— Co ja mam na dzisiaj? Zaraz ci wytłumaczę. Gdy się dowiedziałem, że przygotowujesz czytanie *Dziadów* w naszej „paczce", z próbą kameralnej inscenizacji niektórych fragmentów na zakończenie, pomyślałem sobie, że warto by tę imprezę poprzedzić pagadanką. O czym? To trudno w jednym zdaniu zamknąć. Chodzi o to, żeby tę naszą improwizowaną, dorywczą pracę natchnąć jakimś ludzkim, bezpośrednio dotyczącym nas sensem. Nie, to jeszcze nie to: Wiesz, po prostu, gdy my tam się na tym Salwatorze, czy Zwierzyńcu spotykamy, gdy wymieniamy na powitanie uściski rąk, od pierwszej chwili czuję głodne pytanie tych wszystkich oczu: coście nam przynieśli? Ale taki sam głód jest w twoich i moich oczach. My wszyscy szukamy u siebie jakiejś pomocy, ratunku... Bo po co my się spotykamy? Przecież nie jesteśmy *organizacją*. Ale nie jesteśmy też zwykłym towarzystwem bridżowym, czy dancingowym...

— Tak, Witek, my jednak w równym stopniu, co t a m c i, od bridża, czy dancingu, ulegamy impulsom instynktu samoobrony: bronimy się przed samotnością; przed zagładą każdy z osobna — w pojedynkę; czujemy się osaczeni i zbijamy się w gromadki...

— Otóż właśnie. — Więc dziś — chciałbym choć w cząstce odpowiedzieć na pytania g ł o d n y c h o c z u. Tego się nie da załatwić tak zupełnie wprost. Zresztą za mało się znamy. W doraźnej, osobistej radzie czy pomocy trzeba się mieć bardzo na baczności, by nie urazić, nie dotknąć, nie wpakować się z kaloszami w cudzą intymność.

— Zaczynam rozumieć. Chcesz użyć „mickiewiczowskiej pogadanki", jako pretekstu do omówienia aktualnych bolączek, jako peryfrazy rzeczywistości...
— Po trosze tak; ale nie tylko o to chodzi... Chodzi mi głównie o urządzenie seansu.
— Seansu? Czy myślisz wywoływać duchy?
— Nie, chociaż to harmonizowałoby nawet z *Dziadami*. Nie sądzisz?
Tymczasem „piątka" zatrzymała się na swoim ostatnim przystanku. Wysiadamy i pogrążamy się w czarny tunel ulicy św. Jadwigi. „Nasze panie" znowu idą przodem. Możemy rozmawiać dalej.
— Przypomnij mi, Tadek, kto właściwie będzie na dzisiejszym zebraniu. Znasz ich dłużej ode mnie i lepiej pamiętasz. — A to mi potrzebne do mojej pogadanki.
— No więc my dwaj — wiadomo; moja żona...
— ...„bezrobotna", szarpana przez *Arbeitsamt*, walcząca ze skrupułami sumienia, czy objąć proponowaną pracę w niemieckiej fabryce broni...
— Madzia E. ...
— ...adeptka śpiewu, materiał na dobrą artystkę sceniczną, buchalterka w zakładzie fryzjerskim... tak, wiem. — To u niej dzisiaj będzie zebranie?
— Tak. — Jurek, jej brat...
— ...terminator w warsztacie ślusarskim, uczestnik kampanii 1939, niewola, choroba płuc... wiem.
— Zbyszek, ich lokator...
— ...tak; zdolny skrzypek, robotnik *Kabelwerku*...
— Kazik...
— ...jego kolega, „marzyciel samolotowy" (wpadł na pomysł jakiegoś wynalazku, wiesz?) — woźny w Elektrowni...
— Marek C. — medyk, sanitariusz w fabryce części samolotowych...
— ...wiem; oby tylko nie „wpadł" z tym wynoszeniem materiałów aptecznych...
— Tolek i Janusz K., bracia...
— ...wiem; jeden poeta-mistyk, drugi malarz. Obydwaj tramwajarze. Czy aby mają dziś wolny wieczór?
— Na szczęście tak. — „Horacy Flis", (nie wiem, jak on się naprawdę nazywa). W „kronice" tak się podpisał. Wiesz, ten chudy taki, kościsty...
— ...wiem; lewicowiec, robotnik. Coś bardzo głodno u niego. Ciekawy typ.
— Jędrek M. ...
— ...od Gebethnera i Wolffa. Inteligentna bestia. Ex-polonista.
— Janek „Ale", ten z „Baudienstu"...
— z dwoma siostrami: Zosią „Ach" i Janką „Wydaje mi się". Pocieszne rodzeństwo: hipersceptyk, hiperentuzjastka i hiperindywidualistka.
— Wreszcie Romek „Posępny" — nasz *Ksiądz Piotr* i Jadzia „Ładna", przyjaciółka Madzi. Pełny komplet aktorski. — Nie licząc przelotnych gości, jak na przykład Baśka dzisiaj... Bo wątpię, czy się da „nabrać" na drugi raz...
U Madzi są już prawie wszyscy. Przedstawiam Baśkę: jest nieco zdetonowana, nadrabia miną. Po prezentacji siada przy patefonie i przerzuca płyty. Wygina pogardliwie wargi: same stare. Znów jest sobą, taką jak zwykle. Lekceważy „wytwornie" i traktuje wszystko „per nogam".
Po chwili towarzyskiej paplaniny Tadek ucisza gwar i zagaja zebranie. Słuchają go w skupieniu. Jakżeż wzrusza ten wyraz zaufania i powagi, jaki ogarnia wszystkie te młode twarze z momentem „otworzenia zebrania". Młode twarze! Tak mówię ja — starszy od nich zaledwie o parę lat. Ale te parę lat — to właśnie lata wojny. Niby się nie liczą, niby są, jak martwy staw czasu, bez odpływu — a z drugiej strony wymierzyły tak ogromną odległość od brzegu m o i c h 20-tu lat... Zresztą różnice wieku zaznaczają się w takim czasie sprawami niespodziewanymi: Bywa się teraz s t a r s z y m nawet o jedną książkę przeczytaną w i ę c e j, książkę, której zabrakło, bywa się starszym o autora, którego się zna s p r z e d wojny — ale z drugiej strony bywa się starszym o śmierć kogoś bliskiego, o własne kalectwo lub o więzienie teraz, w c z a s i e wojny... Lecz dzisiaj na „posiedzeniu", obowiązuje ta pierwsza miara.
Tadek próbuje zapowiedzieć temat mojego „referatu".
— Nie, to nie będzie referat — wtrącam.
— ...więc rozmowy...
— Niech będzie „rozmowy". Zaczynajmy. — Powiedzcie mi, jak się to stało, żeście zade-

cydowali czytanie Mickiewicza. To ważne: dlaczego właśnie Mickiewicza? Nikt wam tego nie narzucał. Samiście chcieli.

Milczenie. — Oczywiście: Zosia „Ach" pierwsza.

— Bo Mickiewicz... Bo przecież ze szkoły wiemy, że to wieszcz i największy nasz poeta... I to takie piękne, choć mało znamy...

Podnoszą się głosy sprzeciwu.

— Mało nie mało. — Jak kto zresztą. — Ale się zapomniało, pewnie, takie czasy... pacierza człek zapomni prędko, jak tak dalej...

Sprzeciwy są słuszne. Grono młodzieży w wieku od 16 do 25 lat jest przeważnie dobrze oczytane. Większość uczęszczała przed wojną do gimnazjów. Wojna zastała ich w stadium kształcenia się, nabywania wiedzy i oto jakby w połowie biegu do mety zatrzymał ich ten tragiczny wrzesień 1939, wrzesień, kończący wakacje, lecz nie otwierający nowego roku szkolnego. A otwierający za to nieskończony różaniec beznadziejnych, pełnych udręki dni. Lecz w ciągu tych dni, napęczniałych trudem ponad siły młodych bark, pełnych grozy, bo szło o życie i śmierć — tak, jak przedtem szło tylko o promocję lub „czwórę" z algebry — dawna mdła i przymusowa znajomość z książką zamieniła się w najmocniejsze przymierze. Przymierze tęsknoty: bo wtedy była „pod ręką", a dziś brakło i jej i czasu na nią. W ciągu roboczych godzin po fabrykach, biurach, sklepach, przy budowlach, w *Baudienście*, wielu z tych młodych marzyło o polskiej książce. I dlatego tak gorliwie korzystało z takich „czytań" i „zebrań" jak nasze. Głód chleba, skąpo przydzielanego *für Nichtdeutsche*, wzmógł się o inny jeszcze głód, nieprzeczuwany dawniej.

W ocenie młodzieży wojennej gra się na dwóch skrajnych klawiszach oddzielonych od siebie całą klawiaturą: z jednej strony skrzypi zamszowy trzewik *swingującego* Fircyka, ze strony przeciwnej odpowiada patetyczny okrzyk Bohatera, ginącego na gruzach Warszawy. Lecz nie jest obojętnym cały olbrzymi akord strun pośrednich, ważnych choćby dlatego, że najliczniejszych, że na nich wsparła się wtedy — siłą rzeczy — pieśń jutra. A jutro dźwigają na swych barkach nie tylko ci, którzy dla niego umieją umierać, lecz i ci, którzy uczą się żyć dla niego. — Nie myślę apoteozować młodzieży czasu wojny. Lecz należy słusznie przeciwstawić w naszym bilansie powojennym ustalonej pozycji „złotej młodzieży" po stronie debet — nie mniej ważką pozycję po stronie habet: tych wszystkich bezimiennych, ubogich, borykających się uczciwie z życiem młodych, którzy mieli dość siły i dobrej woli, aby po 10-godzinnej pracy zarobkowej przyjść w dziurawych butach, po błocie, z najdalszych nieraz peryferyj miasta, na czytanie Mickiewicza. I było takich na pewno więcej, jak długobluzych elegantów, tylko że wytarte ubranie mniej się rzuca w oczy, jak tyrolski kapelusz z kitką. A ukryta w zanadrzu książka mniej — jak stercząca z kieszeni flaszka z wódką.

Powstał z miejsca Jurek E. i począł mówić powoli, z rozmysłem:

— To co powiedziała Zosia, o tym wieszczu i że największy i że to takie piękne i że dlatego właśnie trzeba — nie jest takie głupie (daruj, Zosiu!). Bo rzeczywiście, jeśli kto ma tak mało czasu i możliwości dokształcania się, jak my, to nie może sobie pozwolić na luksus samodzielnego dochodzenia do autorów i książek najkonieczniejszych. Chyba, że się siedzi u Gebethnera, jak Jędrek. Ale mało takich szczęśliwców. Więc już lepiej zdać się na to, co mądrzejsi od nas wiedzą od dawna i od tego zacząć. Przecież byłoby głupio człowiekowi, gdyby go ktoś spytał: „A wiesz ty, kto był w Polsce największym poetą?" — „A wiem, Mickiewicz". — „A dużoś ty z tego Mickiewicza przeczytał?" — A ty bracie do mysiej dziury ze wstydu. — No to chyba dlatego.

Z kolei zabrał głos „Horacy Flis".

— Jurek podkreślił w naszym wyborze moment autorytetu. Ale to nie tylko w tym rzecz, że mądrzejsi uznali, a nam się wypada zgodzić. Opowiem wam coś z własnego życia. Wychowałem się na wsi, w biednej chałupie. Jak byłem mały, to raz wpakowali mojego ojca do kryminału. No i posiedział dość długo, rok czy półtora. Mówiło się, że za politykę, ja tam nie wiem: bieda była i las był blisko, a w lesie drzewo na opał i rogacze tłuste... pańskie drzewo i pańskie rogacze. — No i jak z tego kryminału wrócił — to nie uwierzycie, co z sobą przyniósł: Tomik poezyj Mickiewicza. Były tam *Ballady i romanse* i coś tam jeszcze i Bajki na końcu. Te ballady i bajki stały się ojca ulubioną lekturą. Umiał sam czytać, ale wolał, żeby mu „dzieci czytały": że to ładniej. Pamiętam z tego czytania ulubione ojca „kawałki": *Pani Twardowska, Powrót Taty, Lilie*, i bajki: *Żona uparta, Pchła i rabin*... Jeszcze teraz umiem to wszystko prawie na pamięć. Zresztą temu „ładnemu" (zdaniem całej rodziny) czytaniu, zawdzięczam posłanie mnie do gimnazjum.

Przez chwilę trwa milczenie, zasłuchane w dni dzieciństwa. Potem „Horacy" mówi dalej:

— Ale nie uwierzycie, co się u nas w domu z tym Mickiewiczem nie porobiło. Starsze

ode mnie siostry zaczęły o nim mówić, jak o kimś dobrze znajomym i bliskim. Nauczyły się skądś melodyj do niektórych jego pieśni i śpiew ubarwił słowo. Potem zachodził do jednej siostry jakiś akademik i wzbogacił domorosłą „mickiewiczomanię" całą historią Adama i Maryli. Teraz wiem, że puszczał wodę na swój młyn, ale wtedy to były czary jakieś, uroki... Tego nie zrozumie nikt, kto nie zna szarzyzny wiejskiego życia, bez teatru, bez kina, gdzie za to wrażliwość bywa często o wiele więcej spragniona i chłonna... No i Mickiewicz stał się naszym przyjacielem. Brak wykształcenia, brak znajomości dokładnej biografii znosił tę barierę, która mnie jakoś oddzieliła od „pana Adama" potem: barierę czasu, — że to było więcej, jak 100 lat temu. A wtedy, gdyby jakiejś niedzieli przyszedł w odwiedziny ktoś i powiedział: „jestem Mickiewicz" — to wiem, że byłoby tylko wzruszenie i radość, pośpieszne narady w kuchni, co by tu — co by tu — i zaścielanie stołu w alkierzyku jedynym paradnym obrusem — ale nie byłoby zdziwienia. — Więc — jeśli o mnie chodzi — to także dlatego.

Nie zauważyliśmy, że rozmowie przysłuchuje się stary E., ojciec Madzi, ślusarz. Dopiero gdy zabrzmiał jego przychrypły, basowy głos, wszyscy zwrócili na niego oczy.

— ...Widać, że coś w tych książkach Mickiewicza jest, czego ludziom potrzeba.

— Otóż to! — podchwytuje Tolek K. i ciągnie dalej: — nie tylko dlatego, że się powinno, ale głównie dlatego, że się czuje potrzebę. Tak, jak się je z głodu, a pije z pragnienia — a nie z obowiązku, czy dla zwyczaju.

— A jeśli kto zna *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa,* to znajdzie inne jeszcze racje i powody... włącza się swym dźwięcznym, równym głosem Jasia do rozmowy.

Tadek spogląda na swą młodziutką żonę z uśmiechem i jest w tym uśmiechu jakieś ciepło wdzięczności. Mimo woli opasuje ramieniem poręcz krzesła, na którym ona siedzi, potem poprawia w jej włosach grzebyk, grożący wypadnięciem i o chwilkę dłużej, niż potrzeba, zatrzymuje dłoń na jasnej głowie Jasi.

— Poznamy *Księgi* wszyscy i uzupełnimy dzisiejsze racje — obiecuje.

— Te racje — zabiera głos Madzia — przeczuwamy chyba wszyscy, choć ich nawet nie umiemy nazwać. — W każdym razie czuję je choćby wtedy, gdy patrzę na swą koleżankę pracy (w tej fryzjerni, wiecie) — jak między jedną ondulacją, a drugim *manicurem* czyta niemiecki romans zeszytowy... Darujcie — cholera mnie bierze! Panna w moim wieku, w liceum już była — i taka. Mówię jej wczoraj: „Ciśnij to świństwo. Nie szkoda ci czasu?" A ona do mnie z pyskiem: „Zazdrość ci? Żeś w „budzie" „lufy" raz po raz z niemieckiego „obrywała", to się mścisz? Ja tam wolę to, jak te twoje bzdury. Przyda mi się".

— Tak, tak — kiwa głową stary E. Przyda się jej; pewnie; już się niejednej „przydaje"...

Jakoś bezwiednie szukam wzrokiem Basinej twarzy. Siedzi wciąż przy patefonie i obraca w rękach płytę „*Telefunken*". Spotykamy się oczyma. Rumieni się nagle, kładzie płytę, ucieka od moich oczu skośnym spojrzeniem, w kąt pokoju. Odwracam szybko głowę. Jest mi czegoś nieprzyjemnie, a równocześnie czuję słuszną satysfakcję.

Już mam zamiar przystąpić do rzeczy, gdy Janek „Ale" nieśmiałym uniesieniem długi objawia chęć przemówienia. Nie mogę oprzeć się wzruszeniu, gdy spoglądam na tę piękną twarz, przekreśloną rysem dziwnej udręki, przebijającej spod dalekiego, jakby nieobecnego uśmiechu.

— ...Bo ja jednak ciągle jeszcze nie wiem, ciągle nie wiem, po co my się tu schodzimy i po co te czytania i to wszystko... a chciałbym tak jakoś naprawdę się dowiedzieć i uwierzyć, że warto... Bo ze mną to było tak, że zawsze szukałem czegoś — formuły, zasady, no, wiary, powiedzmy — bo bez tego nie widziałem sensu, a nawet możliwości życia... No to sobie co jakiś czas coś takiego wynalazłem, czego się trzymałem, chyba, że się przesypało przez palce i trzeba było dalej.... A tak jakoś przed wojną wydało mi się, żem nareszcie znalazł coś trwałego. Nie śmiejcie się, ja wiem, że to śmieszne: Człowiek! Taki przez duże „c", rozumiecie. Postawiłem go na swoim ołtarzyku i dalejże okadzać: że z natury dobry, że szlachetny, że godny wiary, nadziei i miłości i Bóg wie co jeszcze... I chodziłem sobie wesół, zadowolony, uśmiechałem się do wszystkich ludzi na ulicy i zaglądałem do cudzych okien, a każde takie spojrzenie to było — mówię wam: duma i błogosławieństwo... I sam z siebie też byłem zadowolony bardzo, że też niby taki „człowiek przez duże „c"... Aż tu spadły bomby we wrześniu 39 i wtedy tego rzeźnika z naszej kamienicy zabił pocisk na trzecim piętrze, bo wylazł ze schronu po zapomniany zegarek... I leżał tam prawie trzy dni, aż się ciało psuć zaczęło, bo się rodzina bała wyleźć z piwnicy... A jak bomba gruchnęła w pobliżu, to się stróżka zaczęła głośno spowiadać przed nami, że niby księdza nie było — i — strach, ile, ile śmierdzących śmieci może się pomieścić w duszy takiego zwykłego, najzwyczajniejszego człowieczka... A pani radczyni i pani dentystowa i inne —

a i mężczyźni też — to ze strachu przed gazami... na ręczniki i dalejże do twarzy przykładać... A jak się żarli wszyscy o miejsce przy oknie rezerwowym... I to było wszystko: chciwość, strach zwierzęcy, okrucieństwo, egoizm — i małość, małość... A to przecież był zaledwie początek — cóż opowiadać — wiemy wszyscy. — No i cóż? — widzicie: w *Baudienście* jestem... Tam raz w naszych oczach zastrzelili niemcy 40 żydów — a i naszych było kilkunastu — i kazali nam doły kopać dla nich, bo *tamci* nie dali już rady — przed śmiercią — choć bili ich, ach, jak bili... No i kopałem... Teraz przyjechałem na urlop — myślę: odpocznę. No to zaraz w pierwszy dzień zabrali jednego lokatora z pierwszego piętra — w nocy z kartką przyszli — zabrali. Przyleciała do nas jego żona — głową o ścianę tłukła — włosy darła... A na drugi dzień znaleźli ludzie nad Rudawą jednego takiego, z naszej kamienicy, z dziurą w brzuchu — zabitego. I mówią, że to konfident, że to za tamtego, zabranego przez niemców... Więc gdy sobie pomyślę o tym moim ołtarzyku z „Człowiekiem"... Dlatego proszę was, powiedzcie mi: po co ta nasza literatura, te Mickiewicze... Może to wygląda trochę, to co mówię, że „co ma piernik do wiatraka", ale ja czuję, że jednak coś ma... Bo wszyscy o n i, t a m c i, ci poeci, ci nasi bohaterowie narodowi i tak dalej, to żyli w jakimś innym czasie i inni wtedy byli ludzie i choć było czasem strasznie to była w tej straszności jakaś wielkość i szlachetność... Tak się z tych książek czuje... Więc jak o n i mogą nam coś pomóc, jak na to poradzić, żeśmy tak zmaleli, skarleli, że się żremy, jak stado głodnych psiaków, byle tylko kąsek w pysk złapać, byle przeżyć, byle na wierzchu, byle do jutra... W sam raz doły kopać... najwyżej to... Jędrek mi mówi: „Na taki czas trzeba przestać być idealistą. Trzeba idee zawiesić na kołku". A ja nie mogę. Mnie się wszystko w głowie kotłuje i kotłuje. I choć gardzę, wciąż muszę myśleć o tym „człowieku". Jędrek mówi: „to było, ale to niemcy zepsuli. Trzeba niemców wyrżnąć, a potem można sobie znowu zdjąć idee z wieszadła". A mnie w głowie huczy: „nie zabijaj". A Jędrek (bo najczęściej ze sobą gadamy): „no to oni ciebie zarżną". To ja znowu muszę myśleć: co słuszniejsze — tak właśnie po „Człowieczemu" słuszniejsze — dać się zarżnąć — czy uderzyć wcześniej — i tym uderzeniem odciąć ostatnią nić tej dawnej wiary i wzgardzić sobą i przekląć matkę, co mnie urodziła w czasie, kiedy można wybierać tylko między śmiercią, a pogardą — między szlachetną głupotą tej śmierci, a mądrą podłością tego życia, wybronionego nożem... Nie wiem... nie wiem...

Janek „Ale" ociera chustką czoło. Drżą mu wargi, jak dziecku, które ma zapłakać.

Rozglądam się dookoła i widzę kilkanaście par pytających oczu. Patrzą na mnie i na Tadka. Czekają na odpowiedź. Jestem pełen bezradnej trwogi. — Tym bardziej, że czas mija szybko, że dziś musimy zakończyć zebranie, by wszyscy mogli powrócić do domu przed „godziną policyjną". Spoglądam na zegar: najwyższy czas! — Ojciec Madzi potwierdza to głośno:

— Zostawcie sobie, dzieci, dalszy ciąg na jutro. Czas się rozchodzić, bo i tak nie możemy wyjść wszyscy razem.

Umawiamy się na jutro, w domu Jadzi „Ładnej".

Podchodzę do Janka:

— Przyjdziecie, kolego? Bardzo mi zależy, żebyście przyszli.

Patrzy na mnie znowu z tym swoim zwykłym dalekim uśmiechem:

— Przyjdę, ale...

Oczywiście: Janek „Ale"!

Ostatnią rozmowę odbyłem tego dnia już w domu, z Basią. Zanim poszła spać, podeszła do mnie z zapytaniem:

— No więc czy ja mam przyjść też jutro?

— Dlaczego „no więc" i dlaczego „też"? Umawialiśmy się ogólnie, wszyscy, więc chyba jasne — jeśli tylko chcesz.

Nie odchodzi. Waży coś w myśli. Głośnik za oknem niespodzianie bluznął jakąś melodią, lecz nie podniosła nawet głowy.

Wreszcie wzdycha, takim raptownie dobytym westchnieniem, jakim kończy się czasem łkanie i ze śmieszną skruchą, cichutko wymawia to jedno słowo: „dziękuję". Lecz wrodzona przekorność zatrzymuje ją w drzwiach: odwraca się i z wyzywającym podrzutem głowy pokazuje koniec języka.

Następnego dnia zebraliśmy się u Jadzi „Ładnej", mieszkającej z rodzicami w miłym, willowym domku, na uboczu, bo prawie na końcu długiej ulicy św. Jadwigi. Mieliśmy z Tadeuszem i „naszymi niewiastami" mały kłopot zaraz na wstępie „wyprawy": Zapomnieliśmy

numeru domu, a sam opis okazał się niewystarczającym, bo zaraz w sąsiedztwie stało kilka podobnych, małych will w ogródkach. Nie spodziewaliśmy się, że ten drobny „incydent" powróci raz jeszcze tego wieczoru w tok naszych spraw — w odmiennej, co prawda, wersji.

Przez cały dzień głowiłem się nad tym, jakiej użyczyć satysfakcji Jankowi „Ale" z racji wczorajszego wystąpienia. Żaden dobry pomysł nie przyszedł mi na myśl i dziś, (t. zn. naprawdę d z i ś, kiedy to piszę), widzę, że satysfakcja nie została dana. Wyznaję ze skruchą, że brakło mi wówczas wewnętrznej dyspozycji, zanadto byłem sam przybity i znękany, by przeciwstawić jakąkolwiek mocną afirmację życia pesymizmowi Janka. Nie wstydzę się tego wyznania, gdyż t a k b y ł o. Szło już czasami tylko o to, by utrzymywać w sobie i w innych wątły płomyk nie ochoty, ale zdolności do trwania. Było ciężko. Ciemność zdawała się ogarniać cały świat. Ciemność i śmierć: jesień 1942 r. „*Deutschland siegt an allen Fronten...*"

A jednak życie samo rozwiązało „sprawę Janka". Chociaż stało się to nieco później, opowiem rzecz już teraz, gdyż nie mieści się ona we właściwych ramach „salwatorskich seansów". — Z tym zamordowanym konfidentem, o którym Janek wspomniał, nie poszło tak gładko: za kilka dni zabrała policja kilkunastu mężczyzn z tej kamienicy „na przesłuchanie", między innymi ojca Janka. Jego samego nie było wówczas na szczęście w domu. Część aresztowanych zwolniono tego samego dnia, w tym ojca Janka również, resztę zatrzymano. Zdawało się, że sprawa na ten raz się wyczerpała, lecz po paru dniach przyszło w nocy *gestapo* — właśnie po Janka — i właśnie była to jedna z licznych naszych „białych nocy", w których „Ale" uczestniczył. Uniknąwszy szczęśliwie po raz drugi aresztowania, Janek zdecydował się tym razem i dał drapaka, na razie do znajomych w miechowskiem, a z wiosną do lasu. Jak to często bywa, osobiste zagrożenie zniwelowało z miejsca co najmniej połowę subtelnych skupułów moralnych. — I jak to często bywa — gdy spotkałem go kiedyś (to znaczy teraz, przed kilku dniami, 1945 r.) w czapce medyka, wymieniliśmy ukłony i uśmiechy nacechowane jak gdyby wzajemnym zawstydzeniem — niby świadomi jakiejś bardzo zawiłej obustronnej winy — ale szliśmy obydwaj w różne strony i obaj nie mieliśmy czasu. To dobrze; są koszmarne sny, które nie liczą się po przebudzeniu.

Powracam do wspominków.

Pamiętam, iż nawiązałem wówczas do słów „Horacego".

— Przystępujemy do czytania *Dziadów*. Ma to być wstępem do zawarcia bliższej znajomości z Mickiewiczem. „Horacy" miał wczoraj rację mówiąc, że poczucie, „iż to się działo przed 100 laty z górą" — odsunęło go od „pana Adama". Trzeba rzeczywiście przy każdej próbie zbliżenia się do przeszłości wyzbyć się lęku przed „przepaścią czasu". Jest to warunek konieczny, gdyż nasze odczucie c z a s u i odczucie w i e l k o ś c i splata się w złośliwy węzeł; rozwikłamy go wspólną dobrą wolą. Stosunek nas, przeciętnych ludzi, do wielkości obfituje w paradoksy: Jeśli coś w i e l k i e g o stało się wczoraj, to my albo zbagatelizujemy to w i e l k i e dlatego właśnie, że stało się zaledwie wczoraj, albo je uznamy, ale wtedy to w c z o r a j cofnie się w naszym odczuciu głęboko wstecz: czasami o pół wieku, o wiek lub więcej. Właściwie jest coś poniżającego w tym fakcie, że umiemy odkrywać geniuszy pod sarkofagami, a nie umiemy kłaniać im się na ulicy. Może zresztą tak ma być: nie ogląda się Tatr z nosem przyłożonym do ściany Giewontu, ani się nie bada bloków skalnych przez mikroskop. Rozmiar ocenia się odległością i wielkość w ten mechaniczny prawie sposób zapewnia sobie respekt. Lecz czasami z tej wielkości chcemy czerpać ciepło. I wtedy trzeba się jakoś zbliżyć. Trudno ogrzać się od ogniska, płonącego na horyzoncie...

Słuchajcie: Czasy, w których powstawały, dojrzewały i dojrzały Mickiewiczowskie *Dziady* — są oddalone od nas — nie! źle mówię! — sąsiadują z nami zaledwie o miedzę. Czy sto dwadzieścia kilka lat to naprawdę tak wiele? To okres, objęty w wielu domach żywą tradycją rodzinną...

— Pewnie, szczególnie, gdy się spełniają imieninowe toasty „100 lat" — przerwał mi ze śmiechem Marek C., „sanitariusz". (Jemu zawsze picie w głowie: wpływ fabrycznej apteczki!)

— No właśnie. Zresztą poradzimy sobie jeszcze lepiej. Wybierzemy się wszyscy, jak tu jesteśmy, do Wilna — do Wilna z lat 1817—1824. Taka magiczna wycieczka w czas i przestrzeń. Spotkamy tam „pana Adama" i ludzi, wśród których żył. Poznamy powietrze, jakim oddychał on i jego przyjaciele, przedstawieni w *Dziadach* — część trzecia — i klimat, w jakim rosła jego sztuka — i glebę, kryjącą korzenie jego życia i twórczości. To będzie taki seans z wywołaniem starego Wilna. — Listopad, *Dziady*, seans — pełna harmonia.

Potrzebny nam *cicerone*. — Jest!

Teodora Krasińskiego znacie? Nie? Poznajcie się więc: wasz kolega. Ma lat 19, studiuje od r. 1816 na uniwersytecie wileńskim. Należy do tych, którzy poza książkami — widzą świat.

Patrzy na ten świat bystrymi, ciekawymi oczyma i gdy idzie wileńską ulicą w swoich obcisłych, kanarkowych spodniach, w zielonym surducie o wysokim kołnierzu, z laseczką o misternie rzeźbionej rękojeści — to nie ujdzie jego uwadze najmniejszy objaw toczącego się wokoło życia. Lubi się dzielić spostrzeżeniami, posłuchajmy go więc. Niedawno był w teatrze (nie wzdychaj, Madzia! przyjdzie i na nas kolej) — uczestniczył w obchodzie na cześć miłościwie panującego Aleksandra — (czemu tak patrzycie, kolego Janku?) — niechże więc opowiada:

„...Wieczorem poszedłem na teatr. Grana była... nowa opera w 3 aktach, oryginalna Niemcewicza, pod tytułem: Jadwiga, królowa polska, czyli połączenie Korony z Litwą. Sztuka ta reprezentowana była najpyszniej, jak nigdy nie widziałem. Rzecz narodowa, obyczaje i zwyczaje dawnych Polaków wydane są w największej okazałości... Wszyscy aktorowie znakomicie dziś się popisywali. Scena, kiedy Królowa walczy między miłością, powziętą ku Wilhelmowi, książęciu rakuskiemu, a powinnością zadośćuczynienia żądaniom narodu dla dobra poddanych, rozrzewniła do łez słuchaczów, — miejsce zaś to, gdzie ci czuli kochankowie czynią sobie ostatnie pożegnanie, na nieustanne wołanie spektatorów: fora, powtórzonem było. W akcie trzecim Jagiełło walczy z Konradem, wielkim mistrzem krzyżaków... zwycięża i zabija przeciwnika. Naówczas Jadwiga podaje mu berło i koronę, umieszcza obok siebie na tronie i okrzykami zgromadzonego ludu: „Niech żyje Władysław i Jadwiga“ — sztuka się zakończa“.

Warto zobaczyć jeszcze dwa spektakle oczyma naszego kolegi wileńskiego — tym razem z kwietnia i z maja 1817.

„d. 10 Aprilis. Dzisiejszy afisz ogłaszał dawną i ulubioną operę pt. Krakowiacy i Górale... Zdawało mi się, że na żadnej jeszcze sztuce aktorowie nie egzekwowali lepiej, jak teraz... Aszpergierowa w roli Basi niewymownie mi się podobała... Wesołe tańce krakowiaków, ich ubiory gustowne, żwawi znowu górale i ich skoczne i zabawne aryjki po kolei zabawiały... Wyszedłem z teatru wesoły...“

„d. 20 maja. „Przybył długo oczekiwany i pożądany aktor wzorowy, j. p. Bogusławski... Ukaże się w tragedii sławnej Horacjusze, w roli starego Horacjusza...“ (Po spektaklu) *„...Skoro wystąpił stary Horacjusz, runęły ze wszech stron oklaski... Cóż powiedzieć o końcu trzeciego aktu, który jest... miejscem najgłówniejszym w tej sztuce! Kiedy stary Horacjusz, niepewny o losie bitwy trzech jego synów z trzema Kuracjuszami... odebrawszy wiadomość od Julii, iż dwaj jego synowie pobici, a trzeci przeciw trzem mając walczyć, uciec musiał z placu, przeklina go — i pytającej się Julii, cóż miał czynić, gdy sam jeden przeciw trzem pozostał, daje odpowiedź: „Umrzeć!“ Odpowiedź, która jest wzorem prawdziwej górności uczucia... Nie podobna było od łez się wstrzymać w tem miejscu...“*

Zbyszek i Kazik chrząkają głośno, ale udaję, że nie słyszę. Dostrzegam parę wyciągniętych dłoni, domagających się głosu, lecz prowadzę rzecz dalej.

— A teraz — na odmianę — fragment innych przeżyć, innych dreszczy. Sza! Wkraczamy w mroczny świat metafizyki.

„...Poszedłem o g. 10 rano do Lachnickiego. Wkrótce potem przyszedł Bohdanowicz... ale że on teraz jest zupełnie zdrów, więc tylko co dwa tygodnie Lachnicki go magnetyzuje... Posadziwszy go na kanapie, siadł naprzeciw niego i na stoliku przy nim będącym kazał postawić szklankę wody. Kazawszy pozamykać drzwi wewnątrz i zapuścić firanki u okien, rozpoczął dopiero operację rękami, obwodząc w rozmaitych kierunkach od głowy aż do kolan... W przeciągu onego magnetyzowania począł blednąć... głowa mu na piersi zwisła... pochylił się na poduszkę. Lachnicki... zapytał: „Czy śpisz“. — „Śpię“. — „Jak się teraz masz?“ — „Jużem zdrów...“ „Czy pijesz lekarstwo, coś sobie wyznaczył?“ — „Zawsze piję; zobacz na łokciu, już dobrze skutkuje“. Zobaczyliśmy na łokciu, w którym w swej chorobie doznawał wielkiego łamania, znaczną wysypkę... Niechże mi teraz kto powie, że magnetyzm jest niczem!...“

Teraz moje audytorium buntuje się zdecydowanie. Rozlegają się pokrzyki i szemrania.

— Coś się nie możecie pogodzić z kolegą Teodorem — żartuję.

— A nie! bo my w bzdury nie uwierzymy, choć nie tacy uczeni, jak on.

— I chyba nigdy nie był głodny — tak to coś wygląda.

— I nie musiał się za siebie oglądać, czy go kto nie „capnie“.

— Taki panicz we fraczku. Chłopi mu się na scenie podobali — bo ubrani kolorowo!

— A do tego teatru tylko chodził: dużo czasu „gość" miał.

— To nic, że chodził — przebija się głos „Flisa" — ale co go w tym teatrze wzruszało!... Zanosi się na burzliwą dyskusję. Proszę jednak o trochę jeszcze cierpliwości.

— Skrzywdzilibyśmy młodego Krasińskiego, sądząc, że poza Bogusławskim, Aszpergierową i Lachnickim-magnetyzerem świata nie widział. — I tu odczytuję jego wrażenia z obchodu żałobnego *„za sławnego Kościuszkę"*, który się odbył 10/10. 1817. Wspaniałość ceremonii, opisanej bardzo szczegółowo, wystawna pompa nabożeństwa z katafalkiem, który *„wznosił się wśród kościoła pod kopułę"*, z przepychem dekoracyj, tablic marmurowych z napisami *„cyceronowską łaciną przez Groddecka, profesora literatury starożytnej"* ułożonymi i wierszami polskimi, z chórami, orkiestrą — dość powiedzieć, że uroczystość trwała od godz. 6-ej rano do 3-ej po południu — to wszystko głębokie na moich słuchaczach wywiera wrażenie. — A szczególnie patriotyczny wiersz, ustawiony u stóp katafalku:

„W dwóch światach praw człowieka obrońca waleczny,
Konającej Ojczyzny wziął ster niebezpieczny.
Spełnił się wyrok smutny, runął gmach wspaniały!
Padliśmy! — A on nie dał upaść nam bez chwały..."

Audytorium znów się porusza:

— Bez tej „chwały" nic się u nas nie może obejść. Nawet klęska.

— Niech nas walą — byle z „chwałą".

— ...Ale pomyślcie: na t a k i obchód mogli sobie wtedy pozwolić... Niechby to dziś wypadło...

— ...Jednak rozumieli Kościuszkę: *„...obrońca praw człowieka..."*

Akcje Teodora poszły w górę. Wyzyskuję sprzyjający moment i podejmuję pogadankę:

— Znów nowy rok: 1818. Czyż nic innego nie dzieje się w Wilnie? Nic więcej, prócz balów, obchodów, spektaklów, burd ulicznych, maskarad i nabożeństw żałobnych? Cierpliwości! Pod datą 4 maja 1818 znajdujemy następującą notatkę:

„Odbyło się dziś zwyczajne posiedzenie Towarzystwa... Czytało czterech członków dysertacje w różnych materiach. Niejaki zaś Zan, posiadający zdatność i talent poetycki, czytał piękną dumę wierszem, która wszystkim się podobała. Kolej czytania przychodzi na mnie za parę tygodni..."

— Nie czekajmy na to czytanie i nie zabierajmy już więcej czasu koledze Teodorowi. Doprowadził nas do Towarzystwa Filaretów, do Tomasza Zana i czujemy już gdzieś tu bliziutko, za przepierzeniem, obecność Mickiewicza. — A kolega Teodor niech już sam idzie dalej swoją drogą. Prawdopodobnie pójdzie do państwa Müllerów na bal. Dobrze się tam pewnie zabawi, popije szampana, potańczy, może nawet pohazarduje lekko przy zielonym stoliku — a o czym tam będzie z współbiesiadnikami rozmawiał — trudno odgadnąć. Może o balecie *„Flet Zaczarowany"*, wystawionym świeżo w teatrze z okazji przejazdu przez Wilno Fryca, króla pruskiego; może o niedawnym sejmie w Warszawie, na którym miłościwy Aleksander konstytucję Królestwa Polskiego zatwierdził, a na który gmina przedmieścia Pragi delegowała W. Ks. Konstantego, jako swego deputata; może o przedziwnej piękności pomniku księcia Poniatowskiego, wyrzeźbionym w kości słoniowej przez kapitana rosyjskiego, Popowa, na którego postumencie oprócz Pogoni Litewskiej i Orła Polskiego cyfra Aleksandra misternie wyrobioną została; może o dojrzewających wśród światłych ziemian Litwy projektach zniesienia poddaństwa włościan, które wkrótce, bo w grudniu 1818 przybiorą kształt realny w uchwale sejmikowej obywateli gubernii wileńskiej; a może o najświeższych plotkach z *Wiadomości Brukowych* i *Gębacza*...

Teraz buntuje się nawet spokojny zazwyczaj Romek „Posępny".

— Pięknie-ładnie, ale gdzie w tym Mickiewicz? gdzie nasze *Dziady?* Wydawało się przy tym Zanie, że to j u ż i znowu nie...

— Wolnego, kolego — mityguje Zbyszek. — Jak się nie zna miasta, to trudno wprost trafić do kogoś i trzeba pobłądzić... A przy tym widzi się to i owo...

— Tak, ale „to i owo" jest tu tak jakoś poplątane, że się trudno rozeznać, a chciałoby się uzyskać przecież jakiś własny jednolity sąd... — Janka „Wydaje mi się" jest zakłopotana.

— Widzę, że trzeba przerwać nasz „seans" i poukładać nieco pomierzwione wrażenia. Materiał obserwacyjny, zebrany na naszym spacerze, jest rzeczywiście pstrą łataniną okrawków życia różnych zarówno treścią, jak i formą i nastrojem. Lecz chaos ten jest pozorny, a raczej może drażnić tylko tego, kto z góry chce narzucić światu system i klasyfikację. Jednak życie — to właśnie równoczesność spraw ważnych i błahych. To rozmaitość. — Chodzi

mi o to, aby właśnie teraz dopiero, z tych przygodnie i bezplanowo podjętych okruchów, wyłowić sens tamtego czasu. Ale niech to będzie nasz wspólny wysiłek. Wypowiadajcie się, proszę.

Po przerwie namysłu rozpoczyna się ostrożna próba syntezy.

Jędrek (ten mądry od Gebethnera): — Z tego wszystkiego, co usłyszałem i o czym sam czytałem, widzę, że najcharakterystyczniejszą cechą tej doby jest ideowe niezdecydowanie, typowe dla pogranicza dwóch epok. Racjonalistyczny światopogląd już jakoś nie wystarcza, a z tego, co zaczyna kiełkować na rubieżach Oświecenia nie wiadomo jeszcze, co wyrośnie. Waga wartości się waha, czuć niepokój... Uczyli nas w szkole o walce klasyków z romantykami w literaturze — otóż w tym „wileńskim chaosie" widzę pomieszany oręż i jednych i drugich... Na razie to są wszystko niezdeklarowane półtony: moda trupich szkieletów, nawet w prywatnych domach — symbol racjonalistycznego zeświecczenia, idzie w parze z zabobonnością i rozkwitem „nauk tajemnych"...

Tolek „mistyk": — Bo, widzisz, ateizm przyniósł pustkę duchową, poczucie braku, niedosytu — i stąd to szukanie po ciemku, stąd powodzenie tych namiastek, jakimi były np. wystawne ceremonie kościelne, taksowane według kosztowności sprzętów i szat liturgicznych, a nawet długości trwania...

„Horacy": — Sprzeczności są i teraz. Może my też stoimy „na pograniczu dwóch epok". W mojej fabryce pracuje koło mnie dwóch takich robociarzy: jeden mnie karmi przepowiedniami Michaldy, drugi Marksem...

Madzia: — A w dziedzinie kultury też, zdaje się, nie było wtedy ustalonej linii: choćby po tym teatrze wnioskować...

Ja: — Tak; teatr lawiruje pomiędzy klasycyzmem i folklorem, tematyką narodową i tematyką z krainy „Wszędzie i Nigdzie", miota się od baletu do tragedii, od tragedii do opery... Rzut oka na ówczesny repertuar: *Jadwiga królowa polska* — Niemcewicz; *Sługa pożyteczny* — komedia; *Aleksander i Apelles* — opera; *Axur, król Ormus* — opera z francuskiego (Bogusławski); *Jan Kochanowski* — Niemcewicz; *Krakowiacy i Górale; Horacjusze; Nagroda* — opera; *Flet zaczarowany.* — Zestawienie jest chronologiczne i mówi samo za siebie; warto je mieć na uwadze, z myślą, że na te sztuki chodził Mickiewicz.

Janek „Ale": — ...Ale nikt z was nie mówi o tym, co mnie gryzie najwięcej: O zagadnieniach narodowych, o etyce narodu, o etyce Polaka pod zaborem... Kościuszko i Aleksander...

Ja: — Nie tylko „Kościuszko i Aleksander": Również iluminacje na cześć króla pruskiego. Obchody filorosyjskie. A równocześnie: patriotyczne składki i loterie... Jakiś oficer oberwał od studenta... O pewnej pani mówią, że z pewnym oficerem... Ale ta pani oddała właśnie bezcenną kolię „dla Ojczyzny"... Ksiądz Bogusławski chwali się przed carem swoją kolekcją portretów sławnych Polaków — i zachowuje do końca życia niezatarte wspomnienie tej zaszczytnej rozmowy o wielkich Polakach z wielkim Aleksadrem. Powtarza ją każdemu, wzruszony do łez; poczciwy staruszek!...

Ciężkie milczenie, jakie zapadło, przerywa trzęsąca się z emocji Zosia „Ach":

— Ależ to „nasza" okupacja! To nasze „G. G."!

— Niezupełnie. Jest podobieństwo kolorytu, opartego o światłocień. Ale proporcje światła i cienia są inne tam, inne u nas. Wczorajszy okrzyk Janka, jego skarga, że doskonała, niepokalana przeszłość nic nam pomóc nie może, nie jest skargą tak zupełnie słuszną. Wydawało nam się wczoraj, że tam jest tylko blask, tylko biel bez skazy, oddzielona przepaścią od naszej nocy, straszliwej nocy błędu, winy i upadku. A oto ukazuje się, że są tam cienie, wzbudzające w nas zgrozę, nie do pomyślenia u nas, przez nas. Okazuje się, że wiele stronic naszego życia jest szlachetniejszych i lepszych. Że nasza moralność jest twardsza i hartowniejsza. Że — jeśliby przyjąć jakąś przeciętną poziomu naszego życia i życia ich — to miara wypadnie w niejednym na naszą korzyść. I zamiast zakrywać twarze w uczuciu bezmiernego poniżenia, hańby i samopogardy — powinniśmy być dumni. Tym bardziej, że o ileż trudniej nam dziś obronić godność ludzką i godność Polaka! O ileż gorszy dziś ucisk!

A jednak czuję, że napięcie u moich słuchaczy trwa, że nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione i powiedziane. Niespodziewana uwaga Janki „Wydaje mi się" potwierdza to wrażenie i — na szczęście — odsłania na czas niebezpieczeństwo.

— No więc, jeśli tak jest, to myślę, żeśmy powinni być na wzajem dla siebie bardziej pobłażliwi i... wyrozumiali. To może my się zanadto męczymy i może zanadto chcemy, żeby wszyscy byli święci... A tu każdy z nas ledwo zipie...

Z niespodziewanym impetem wpada jej w słowa Janusz K.:

— O, nie, przepraszam! To niby miałbym pochwalić sąsiada, który został *Volks-*

deutschem, bo się zmęczył biedaczek! Albo tego konfidenta z kamienicy Janka, bo mu żona chorowała i potrzebował forsy! Albo te panienki, co łażą z Niemcami, żeby zarobić na pończoszki, bo w łydki marzną... Nie, po stokroć nie!

Rośnie gwar. Krzyżują się riposty. Jeden gada przez drugiego.

Burzę uśmierza Tadek:

— Dajcie Jance spokój — ona tego tak nie rozumiała. Tu chodzi o wczorajsze wystąpienie Janka. Jeżeli Witek wprowadza porównanie i to porównanie na naszą korzyść, to nie po to, aby nas zachęcić do obniżenia poziomu. Założenie jest jedno nieugięte: Żyć z honorem; choćby w największym ucisku; nie ugiąć się, nie ustąpić ani na pół kroku. Ale robić to z wiarą w siebie, wiarą w swą godność. Przeciwstawić poczucie własnej wartości i słuszności tej podłocie, która nas ciemięży. Ocknąć się z psychozy, umiejętnie „robionej" przez szwabską propagandę, że jesteśmy zdegenerowaną *„mindernation"*. Trucizna wsącza się niewidocznie w nas — i stąd ten wstyd i samopotępienie i mała wiara — i ta gotowość nie do życia, lecz co najwyżej do honorowego samobójstwa. — Tak trzeba rozumieć pogadankę Witka. — Zwraca się do mnie: — czy nie?

Teraz już jestem spokojny. Powiedziane zostało wszystko. Jakieś tchnienie ulgi powiało po zgromadzeniu. Gwar ucichł. Można mówić znowu bez podnoszenia głosu.

— Tak, o to właśnie chodzi: Żeby w siebie uwierzyć; żeby się podnieść z upadku ducha. — Czy sądzicie, że tylko kolega Janek myśli tak, jak mówił wczoraj? Było was więcej — którzyście przychodzili ze swoimi zwątpieniami, ze smutną tęsknotą za Polską bohaterów, za Polską Skrzetuskich, Podbipiętów, Kmiciców... Zwróciliście się ostatnio do Mickiewicza i będziemy tu wspólnie czytać *Dziadów część trzecią:* Historię bohaterskiej wileńskiej młodzieży. — I znowu przybędzie jeden jeszcze argument, zmierzający do porównania nas z nimi, porównania zakończonego zwątpieniem o sobie... O ileż efektowniejsza i świetniejsza jest cela Konrada od pokoików, w których się zbieramy, od naszych warsztatów pracy... o ileż bardziej „bohaterska" martyrologia Filomatów od naszych skromnych sabotaży i drobnych, codziennych utarczek... Argumenty literackie zawsze zagrażają stylizacją prawdy i muszą być skonfrontowane z argumentami życia... Dla sprawy prawdy i sprawiedliwości; dla tej sprawy — aby, bez pomniejszania cudzej zasługi, nie skrzywdzić samych siebie. A właśnie „argument życia", wysnuty z dzisiejszej przechadzki po Wilnie, pozwala na ułożenie sprawiedliwego równania między w c z o r a j i d z i ś. — Teraz już bez obawy możemy nawiązać przerwany seans.

Słuchajcie! Podczas gdy w Wilnie modne towarzystwo, znudzone jesiennym dżdżem, urządza po czekoladzie popołudniowej „magnetyczne" sesje, gdzieś na zapadłej wsi rozpoczyna się uroczysty obrzęd „Dziadów". — Między tymi dwoma brzegami, oddzielonymi przepaścią, stoi na czarodziejskiej kładce Adam Mickiewicz...

Pamiętam jak dziś: Przerwałem — była cisza. I w tę ciszę wtargnął zgrzyt otwieranej od ulicy furtki, a potem bełkot jakichś przekleństw i tupot ciężkich butów. — Jasia „Ładna" uniosła ostrożnie zaciemnienia — wyjrzała. Za nią Baśka.

— Niemcy!

Wypadki nastąpiły szybko po sobie. Wpadł z kuchni ojciec Jasi: „Zgaście światło — i cicho" — po czym cofnął się zamykając dokładnie drzwi. Wszyscy znieruchomieli. Gwałtowne pukanie z sionki do przejściowej kuchni. Głos ojca Jasi: „Wejść". Skrzypnięcie drzwi i podniesiony, ale jakimś pijackim rozbawieniem drgający głos: *„Heitla, wo bist du, Marie?"* — I drugi głos skrzeczący jak sroka: *„Mariechen — Liebchen — halloo"*.... Potem cisza. Potem pierwszy głos, ale innym tonem: *„Mensch, wo ist Fräulein Marie?"* *„Wer?"* (to głos ojca Jasi). I zaraz ten obcy, zniecierpliwiony: *„Na, kruzahimmel, Marie, Fräulein Marie Hansen"*... — podczas gdy sroka swoje: *„Mariechen, Mäuschen, wo hast du dich versteckt?"* Ojciec: *„Ich verstehe nicht.* Tu nie ma żadnej Mariechen. My tu sami". Ciężkie kroki w stronę naszych drzwi: Matka Jasi: „Cicho, panowie, dzieci śpią, *Kinder,* K i n d e r. Znów cisza — kroki — ktoś się opiera z tamtej strony o drzwi — pewnie ojciec — bo głos jego tuż za deską: *„Kinder* śpią, panowie, do cholery, co..." I nagle jakieś plaśnięcie. Krzyk matki. Rechot „sroki". I ten drugi — z wściekłością: *„Du verfluchter Pole! Du hast Sie ermördert...* Tyś ją zamordował..." Znów plaśnięcie. Matka: „Jezusie!" Jakiś szczęk.

Muszę się cofnąć w tym wspomnieniu o kilka chwil i opowiedzieć, jak wtedy było w naszym pokoju. Po tym pierwszym odgłosie uderzenia ktoś z nas się zerwał i rzucił się ku drzwiom. Lecz jeszcze szybciej skoczyła Baśka. To było bardzo szybko. Otwarcie drzwi. Moment grozy. Smuga światła liznęła kilkoro z nas. Janek „Ale" z podniesioną pięścią. Lecz drzwi już się zamknęły — i głos Baśki, z tamtej strony, w kuchni: *„Aa, Herr Chef, guten Abend"!* Pauza. I nagle głos sroki: *„Bahbaha-Schätzchen, was machst du hier?"* *„Ich?* — noo,

ja tu mieszkam." *„Ach, soo..."* *„...und sie? Was für Lärme machen sie, zum Teufel!"* Głos Baśki lodowaty i pewny siebie. *„Na, na, sei nyszt so böse, du — du freches Mädel..."* Ale w tym *„freches"* słychać nutę pijackiej czułości, a *„Mädel"* rozpływa się w rozmamłanym, zaślinionym pożądliwie dźwięku. *„Sie haben Fräulein Hansen gesucht?* Ona mieszka tu obok, w następnym domu. *Na, Herren, gute Nacht!* Dajcie spać spokojnym ludziom". Krótkie mamrotanie grubego głosu ze sroczym. *„Bahbaha — entschuldigen sie! Na, küß mich, Bärbel!"* *„Geh weg! Łapy przy sobie! Gute Nacht!"* Znowu tupot butów, skrzypnięcie drzwi, odgłos kroków na wąskim chodniczku ku furtce... Zdarzenie przypłynęło i odpłynęło.

Okazało się, że Baśka poznała swego „szefa" już przez okno. Noc była księżycowa. Głos ją utwierdził w pewności — zainterweniowała więc w krytycznym momencie, licząc na to, że „szef ją lubi". Pracowała w olbrzymich magazynach mundurowych w kancelarii. — Pytamy Janka, co on chciał zrobić.

— Nie wiem sam. Gdy usłyszałem ten krzyk mamusi Janki... — Okazuje się, że można wybrać prędzej, niż się ma czas pomyśleć...

Trudno się ocknąć z koszmaru. I to tak ciągle. Dzień po dniu. Ile razy zapomni się o rzeczywistości, ona sama uderza cię znienacka w łeb.

O rozejściu się do domów nie ma już mowy. Godzina policyjna minęła. Rodzice Janki „Ładnej" zatrzymują nas stanowczo. „Panienki pójdą do naszej sypialni, a panowie zostaną w tym pokoju, gdzieście sobie nakopcili tymi papierosiskami".

— No więc — ponieważ do rana daleko — urządzimy sobie „Dziady" już dzisiaj.

Propozycja Tadka spotyka się z ogólnym uznaniem.

— Dwa upiory już były. — Ale my nie od tej części zaczniemy czytanie. Nawiążemy do sprawy naszych Filomatów.

Tadek rozkłada na stole egzemplarze książki, rozdziela „role". W czasie tego zamieszania podchodzi do mnie Baśka. Znowu staje przede mną tak, jak wczoraj wieczór na pożegnanie.

— Pamiętasz, co panna Madzia mówiła wczoraj? o tej swojej koleżance? I co potem mówił jej ojciec?

— Pamiętam.

— ...wiesz, oni mieli rację. Ale czasem, gdy się zna wroga, to się naprawdę przydaje... Wiem, co oznacza niepokój jej oczu. Chciałaby, aby jej zapomnieć te drobne, dziecinne błędy z niemieckimi piosenkami, z kinem, z „pohulajem"... — Więc zamiast mówić z nią o tym wszystkim, pieczętuję przymierze tym samym słowem, którym ona zakończyła wczorajszą rozmowę:

— Dziękuję.

Tymczasem role już rozdane. Rozpoczyna się czytanie. W głębokiej ciszy, pulsującej tykaniem ściennego zegara, ściele się miękką, jasną falą głos *Anioła Stróża* — Madzi.

...Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem,
Stałem, jak lilija biała...

Matka Janki „Ładnej" sunąca na palcach przez pokój, z prześcieradłem i poduszką, zatrzymała się, wpatrzona z dobrym uśmiechem w grzędę głów jasnych i ciemnych, dziewczęcych i męskich, kwitnącą w kręgu stołowej lampy. Łagodne światło ogarnia pomarańczową obręczą najbliższą przestrzeń, po kątach tuła się mrok.

Teraz z granicy światła i cienia podrywa się głos *Więźnia.* — Twarz Janka pozostaje w mroku i tylko słowa wymawiane zrazu drżącym półszeptem, potem z mocą wzrastającą, zdają się żyć życiem samoistnym.

...Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz...

Mimo woli zwracam oczy ku oknu, lecz zamiast gwiazd napotykam całun „zaciemnienia". Wiatr tłucze się na polu, wciska się szparami — szeleści lekko naddarty papier rolety.

...Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży...

Gdzieś całkiem blisko na ulicy pada strzał. Po chwili znowu dwa. Patrole działają.

Lecz w tym domu, w kręgu lampy, pod przyjaznym tykaniem zegara, wśród szelestu przewracanych kart, jest spokój i bezpieczeństwo. Siedzimy ciasnym kołem. Ramię przy ramieniu. I On jest z nami.

WILHELM MACH

SPRAWOZDANIA

O WYDANIU SEJMOWYM I O WYDANIU NARODOWYM MICKIEWICZA

Wojna przerwała kilka dla kultury literackiej doniosłych wydań zbiorowych naszych pisarzy: Norwida, Asnyka, Orzeszkowej, (dziwne fatum! to samo ich spotkało w czasie pierwszej wojny światowej), dalej Dygasińskiego; nie ukazały się już ostatnie, trzecie tomy *Listów* Orzeszkowej, Przybyszewskiego, zniszczeniu uległy korekty trzech tomów *Listów* Wyspiańskiego.

Do tych wydawnictw przerwanych przez wojnę należą również: „Adama Mickiewicza *„Dzieła wszystkie,* zebrane i opracowane staraniem Komitetu Redakcyjnego", czyli tak zwane wydanie sejmowe.

Historia wydania sejmowego była długa, nawet zbyt długa. Przedstawiać całego jej przebiegu nie mam zamiaru ani możności.

Początek temu wydaniu dał wniosek posła Antoniego Anusza, uchwalony przez Sejm Ustawodawczy 18 grudnia 1920 r., aby rząd podjął wydanie dzieł Mickiewicza. Wniosek miał pobudki ideowe: nie mogło zbraknąć Mickiewicza przy stawianiu zrębów duchowych odrodzonej Polski, a wydawcy stronili wtedy od większych przedsięwzięć.

Powołany przez Ministra Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. komitet redakcyjny — w pierwszym składzie: Artur Górski jako przewodniczący, Wilhelm Bruchnalski i Stanisław Pigoń — doszedł do przekonania, że naczelnym obowiązkiem nowego wydania, podejmowanego pod patronatem Państwa, jest dać nieskazitelne teksty Mickiewicza, że należy zatem opracować najpierw wydanie krytyczne o charakterze naukowym (a takiego wydania p e ł n e g o dotychczas nie było!), a dopiero na jego podstawie dokonać wydania popularnego, masowego.

Całość wydania rozplanowano na 16 tomów: 4 tomy poezji, 8 tomów pism prozaicznych, wykładów i przemówień (V — XII), 3 tomy listów, 1 tom rozmów. Opracowania całego bloku poezyj podjął się W. Bruchnalski, tomy prozy rozdzielono pomiędzy kilku współpracowników dobranych według ich specjalności. Sędziwy wiek prof. Bruchnalskiego i jego swoisty tryb pracy spowodowały, że przygotowanie poezyj do druku odwlekało się, że wcześniej były gotowe niektóre tomy prozy. W ten sposób doszło do przesunięcia punktu ciężkości z poezji na prozę, co było niewątpliwie sprzeczne z intencją uchwały sejmowej. Komitet mógł mieć na swoje częściowe usprawiedliwienie to, że poezje Mickiewicza były bądź co bądź łatwiej dostępne, a dla pełnej jego znajomości ważniejsza wydawała się sprawa krytycznego wydania jego prozy, przedrukowywanej od dziesiątków lat cząstkowo i niepoprawnie.

Po próbach kontaktu z różnymi firmami powierzono druk i administrację Kasie im. Mianowskiego, której przedstawicielem w komitecie został Józef Ujejski. Kierownictwo graficzne wydania objął Adam Półtawski. Druk rozpoczęto w r. 1931 od tomu V. W ciągu lat 1933—36 wyszło osiem tomów: IV *Pan Tadeusz*, V, VI *Pisma prozaiczne polskie*, VII *Pisma prozaiczne francuskie* I część, IX *Literatura słowiańska* II kurs, XI *Przemówienia*, XIII *Listy* I część, XVI *Rozmowy*. Potem nastąpiła dłuższa przerwa z przyczyn finansowych, dopiero w połowie 1937 r. wznowiono druk: zaczęto składać tom VIII *(Literatura słowiańska* kurs I), później dwa inne tomy.

Były one bliskie skończenia, gdy wybuchła wojna: dość powiedzieć, że z tomu VIII odbito 45 arkuszy, podpisany do dru-

ku był ostatni, z tomu II *(Powieści poetyckie)* wszystkie arkusze były odbite albo podpisane do druku, z wyjątkiem ostatniego, jeszcze w szpaltach, z tomu XIV *(Listy* cz. II) niemal dwie trzecie były złożone.

Wojna przerwała druk, ale nie przerwała prac nad dalszymi tomami. Ten odcinek wojenny zasługuje może na dokładniejsze przedstawienie jako przyczynek do poznania wysiłków i strat w czasie ponurej okupacji.

W podbitym świeżo Krakowie śp. Ignacy Chrzanowski dopisywał ostatnie stronice przedmowy do *Literatury słowiańskiej.* Rękopis jej leżał na biurku w dzień, kiedy autora wraz z innymi profesorami Almae Matris uwięziono. Wacław Borowy skończył ustalanie tekstu I tomu *Poezyj* i redagowanie mozolnie zebranych odmian tekstu; St. Pigoń ustalił tekst i odmiany *Utworów dramatycznych* dla tomu III. Ja zrewidowałem dokonany dawniej przekład III i IV kursu *Literatury słowiańskiej* i dokończyłem komentarz. Kasa im. Mianowskiego nadal opiekowała się wydaniem i jego współpracownikami; w jej lokalu odbyło się w czasie wojny kilka posiedzeń komitetu redakcyjnego. Tymczasem Niemcy zabrali z jej drukarni maszyny, zapasy czcionek, składy gotowe do odbicia. Tym cenniejsze stały się korekty zachowane.

Przyszła nowa katastrofa: zniszczenie Warszawy w czasie powstania. Spłonęła oficyna Pałacu Staszica z lokalem Kasy Mianowskiego; nie wiadomo jeszcze, czy w podziemiach odnajdzie się archiwum wydania. Artur Górski zakopał w kufrze w piwnicy autografy Mickiewicza, materiały do wydania, korekty i rzeczy te ocalały, choć wykopali je i porozrzucali „szabrownicy", ta hańba popowstaniowej Warszawy. W piwnicy mojego spalonego domu ocalały też materiały do ostatniego tomu *Literatury słowiańskiej.*

Sroższy okazał się los dla tomów wydrukowanych. Reszta nakładu 8 tomów wydanych spaliła się w różnych magazynach wydawnictw Kasy, bądź też została wywieziona przez Niemców na przemiał. Spalił się cały nakład tomu VIII u introligatora (w 1944 właśnie miano tajnie dodrukować ostatni arkusz, tom zbroszurować i puścić w obieg z datą przedwojenną). Egzemplarze odbitych arkuszy tomu II ocalały wprawdzie w podziemiu spalonej drukarni Kasy, ale żadne kłódki nie zabezpieczyły ich przed rozkradaniem: w jednym z sąsiednich spalonych domów na Nowym Świecie widziałem sklepik spożywczy „wytapetowany" arkuszami *Grażyny* z wydania sejmowego! Obecnie arkusze tego tomu znalazły schronienie w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej.

I tak powstały nowoczesne „białe kruki": jedyny ocalały (w Krakowie) egzemplarz tomu VIII, jedyny pełny egzemplarz korektowy t. II, jedyny maszynopis dodatku krytycznego do t. I. W sumie jednak można powiedzieć, że zasadnicze prace potrzebne do dokończenia wydania mimo wszystko ocalały z jednym bodaj wyjątkiem: dotychczas nie zdołano odnaleźć rękopisu wstępu i komentarza do *Trybuny Ludów,* pióra śp. Stanisława Szpotańskiego. (Przy sposobności prośba osobista: może ktoś z czytelników natrafi kiedy na egzemplarz I tomu *Cours de Littérature slave* w wydaniu z 1860, w oprawie czerwonej, interfoliowany: na wprawionych kartach były zaznaczone odmiany tekstu z rękopisów spalonych w gmachu Bibl. Krasińskich, a więc bardzo cenne; egzemplarz ten skradziono z piwnicy mego domu gdzieś w lutym br.).

*

Głównym grzechem wydania sejmowego było zbyt powolne tempo. (Do winowajców należał m. in. i piszący te słowa). Powolność wynikała jednak nie tylko z jakichś trudnych już dziś do ustalenia błędów organizacyjnych, ale także ze skrupulatności, z jaką traktowano pracę.

Jakież są ważniejsze osiągnięcia wydania? (Tu uwzględniam oprócz tomów wydanych i inne, gotowe do druku). W dziale poezji: ustalone krytycznie teksty z usunięciem usterek przeoczonych w najlepszych nawet wydaniach dotychczasowych, nieznany dotąd poemat młodzieńczy: *Mieszko* i pełniejszy tekst *Kartofli.* W prozie wymienić można pierwsze komentowane wydanie pism politycznych (St. Pigoń), historycznych (Kazimierz Tymieniecki), nowy, znacznie pełniejszy tekst *Wykładów lozańskich* (Jerzy Kowalski), nowy, zrekonstruowany tekst *Literatury słowiańskiej* z komentarzem źródłowym; wśród *Przemówień* co najmniej trzecia część po raz pierwszy pojawiła się w druku (opracowanie St. Pigonia). *Listy* po raz pierwszy zostały wydane ściśle według autografów i skomentowane (opracowanie śp. Jana Czubka, uzupełnione przez St. Pigonia). Pierwszy też raz zebrano ze źródeł drukowanych i rękopiśmiennych tzw. *Rozmowy* Mickiewicza (St. Pigoń).

Wydanie sejmowe wyzyskało wszystkie wyniki badań nad Mickiewiczem i znacznie je posunęło.

*

Faktycznie uchwała Sejmu Ustawodawczego nie została spełniona. Do realizacji wydania powszechnego, którego plan opracowano w komitecie (sześciotomowy wybór pism) nie doszło.

I oto — jakżeż to znamienne — odradzająca się ponownie Polska znowu sięga do Mickiewicza! Z inicjatywy Departamentu Literatury Krajowa Rada Narodowa powzięła 5 maja uchwałę o narodowym wydaniu Mickiewicza, które ma „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym".

Z początkiem lipca odbyła się w Departamencie Literatury konferencja wstępna, na której ustalono, że wydanie narodowe ma oprzeć się na wynikach wydania sejmowego, które równolegle ma być doprowadzone do końca. Najpierw jednak ukaże się w druku wydanie narodowe, a później dopiero niewydane jeszcze tomy sejmowego (a więc odwrócono niejako kolejność wydań). Na pierwszym zebraniu Komitetu redakcyjnego omówiono stosunek obu wydań do siebie: narodowe przyniesie te same, ustalone krytycznie teksty, z pominięciem aparatu filologicznego; wstępy i objaśnienia zostaną ujęte inaczej, dostosowane do poziomu jak najszerszych warstw.

W obecnej fazie prac jest rzeczą najważniejszą, a szczególnie trudną określenie poziomu objaśnień, skoro po kilkuletnim kataklizmie narodowym, po olbrzymich zmianach demograficznych stan kulturalny społeczeństwa przedstawia właściwie wielką niewiadomą. Spróbowano drogą ankiety, z podaniem konkretnych przykładów, zebrać do działaczy oświatowych pewne wskazówki orientacyjne co do potrzebnych objaśnień.

We wstępach zejdą na dalszy plan zagadnienia historyczno - literackie, górujące z natury rzeczy w wydaniu sejmowym jako naukowym. Wstępy powinny ułatwiać odczucie i zrozumienie utworów Mickiewicza, a zarazem odsłaniać wiecznotrwałe wartości poety i działacza jako wyraziciela ducha narodowego, przewodnika na drodze doskonalenia się etycznego i postępu społecznego.

Wkrótce rozstrzygnie się sprawa postaci graficznej i ewentualnych nowych ilustracji (przynajmniej do poezyj).

Ukazywać się będą nie poszczególne tomy, ale 3—4 tomowe serie stanowiące pewną całość. Wydawnictwo zacznie się od czterech tomów poezyj, nad którymi podjęto już pracę. Całość ma ukazać się w druku najpóźniej do końca 1946 r. I miejmy nadzieję, że się ukaże w tym terminie.

Leon Płoszewski.

WYKAZ TREŚCI

Str.

ADAM MICKIEWICZ: NIEZNANE PISMA FIŁOMACKIE 7
FILOMACKIE RECENZJE UTWORÓW MICKIEWICZA 22
JULIAN PRZYBOŚ: Słowo ostateczne 34
KRYSTYNA GRZYBOWSKA: Niebieskie koralki 42
KSAWERY PRUSZYŃSKI: Podrzucona książka 59
JULIUSZ KLEINER: „Konrad Wallenrod" 75
WACŁAW KUBACKI: Monolog Konrada 93
LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW: Tradycje gdańskie w rodzinnych stronach Mickiewicza 145
OSTATNIE LATA MICKIEWICZA 152
SPRAWY I TROSKI
WILHELM MACH: „Lud we śnie leży" 160
SPRAWOZDANIA
LEON PŁOSZEWSKI: O wydaniu sejmowym i o wydaniu narodowym Mickiewicza . 172

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski i Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 40 zł. Prenumerata kwartalna 120 zł, półroczna 240 zł.

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA"

Biblioteka społeczno-polityczna

STANISŁAW EHRLICH: Strategia zwycięstwa . . . . . „ 12.—
WIKTOR GROSZ: Na drogach powrotu . . . . . „ 15.—
A. HORAK: Wojna polsko-niemiecka 1939, II wyd. . . . . „ 12.—
STEFAN LITAUER: Zmierzch Londynu . . . . . „ 15.—
Kpt. Z. ORANOWSKI: Materiały z dziejów powstania warszawskiego. I. W oczach Londynu . . . . . „ 10.—
Chłopska reforma rolna . . . . . „ 12.—

Prawo

JÓZEF GIEBUŁTOWICZ: Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów . . . . . „ 70.—
J. NAMITKIEWICZ / A. RAKOWER: Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych. Komentarz . . . . . „ 180.—
J. SAWICKI / B. WALAWSKI: Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim i zdrajcom narodu . „ 45.—
Kodeks postępowania karnego . . . . . „ 100.—
Ustawa o prawie autorskim . . . . . „ 20.—

Literatura piękna

HENRYK SIENKIEWICZ: Krzyżacy . . . . . „ 120.—
JÓZEF KRASZEWSKI: Stara baśń . . . . . „ 80.—
POLA GOJAWICZYŃSKA: Krata . . . . . „ 85.—

Biblioteczka młodego Czytelnika

STEFAN ŻEROMSKI: Doktor Piotr . . . . . „ 12.—
MARIA DĄBROWSKA: Marcin Kozera . . . . . „ 15.—
Dalsze tomiki w przygotowaniu

Poezja

JULIAN PRZYBOŚ: Miejsce na ziemi . . . . . „ 95.—
ANDRZEJ NOWICKI: Podróż do świętej ziemi . . . . . „ 25.—

Dla dzieci i młodzieży

L. KRZEMIENIECKA: Kariera Franka Żyrafy . . . . . „ 50.—
E. ZAREMBINA, H. OŻOGOWSKA, Z. BATOROWICZ: Czytamy I . . . . . „ 5.—

Biblioteka Błękitna

KAROL MAŁCUŻYŃSKI: Od atomu do bomby . . . . . „ 5.—

Teki graficzne

Z. TOŁKACZEW: Majdanek . . . . . wyczerpane
M. RYGIER: Dni wyzwolenia . . . . . „ 75.—

Różne

JÓZEF GRYCZ: Bibliotekarstwo praktyczne w zarysie . . . „ 120.—
Dr JADWIGA KOBENDZA / Dr ROMAN KOBENDZA: Materiały przyrodnicze do projektu rozplanowania puszczy Kampinoskiej . . . . . „ 55.—
STANISŁAW ŁEMPICKI: Słowo o Grunwaldzie . . . . „ 30.—
T. OSTROWSKI: Czapki zdjąć . . . . . wyczerpane
Majdanek — Rozprawa przed specjalnym sądem karnym w Lublinie . . . . . wyczerpane
Z. DROŻDŻ / WŁ. MILCZAREK: Zakochani w Pomorzu . . „ 15.—
J. DOMINKO: Z minionych lat . . . . . „ 15.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

037.4608

CZYTELNIK